



KAZIMIERZ CZYŻOWSKI

MACIEK
KRÓL POWIETRZA

L S W

KAZIMIERZ CZYŻOWSKI

**MACIEK
KRÓL POWIETRZA**

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY



LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA • WARSZAWA • 1958

I. PIERWSZY LOT „ORŁEM”

Maćka zbudziło stukanie w okno, za którym różowił się pogodny, piękny ranek.

— Maciek, chodź no, coś ci powiem!

Chłopak przetarł zaspane oczy i zobaczył w otwartym oknie głowę Bartka Paciorka. Kapral Bartłomiej Paciorek był mechanikiem lotniczym z dywizjonu kapitana Tataro i przyjacielem Maćka.

— Co się stało, Bartek?

— Chodź tu prędzej!

Maciek w kilku susach znalazł się przy nim. Kapral Paciorek, przykładając rękę do ust, cicho powiedział:

— Wczoraj wieczorem dostałem rozkaz przygotować na dziś rano „Orła”.

— „Orła”? To ten nowy aparat polskiego typu, który tatuch teraz oblatuje?

— Ten sam. Mam go przyszykować do dalszej drogi.

— Z tego by wynikało, że tatuch na nim gdzieś dalej polecą.

— Rozumie się. Właśnie idę zameldować kapitanowi Tatarowi, że za pół godziny wytoczę aparat na lotnisko.

Usłyszawszy tę nowinę, Maciek od razu otrząsnął się ze snu. Tymczasem kapral mówił dalej:

— O jedenastej ma przyjechać na lotnisko generał z komisją.

— A my dzisiaj akurat o jedenastej kończymy naukę.

— Więc przybiegnij ze szkoły prosto do hangarów, będzie, co oglądać.

Kapral Paciorek zeskoczył z okna i oddalił się szybko.

W pół godziny później Maciek, już ubrany, wszedł do pokoju ojca, który właśnie siedział przy śniadaniu.

— Dzień dobry, tatuchu!

— Jak się masz, Maćku! Tyle mam w ostatnich dniach roboty, że cię rzadko widuję. Jak tam w szkole?

— Wszystko w porządku. Za dwa tygodnie rozdawanie świadectw, ale teraz, przez te upały, mamy skrócony czas nauki i właściwie powtarzamy to, czegośmy się w ciągu roku nauczyli.

— Myślę, że mi żadnej dwójki do domu nie przywieziesz?

— Twój syn, tatuchu, przynosi tylko czwórki i piątki!

— No, w zeszłym półroczu znalazła się i jedna trójka.

— Eh, ze śpiewu, i to, dlatego, że miałem długo chrypkę.

— A jak w twojej harcerskiej drużynie?

— W lipcu mamy obóz w Krościenku. Może pod koniec lipca zostanę zastępowym. Tymczasem zdałem egzamin z topografii, wiesz, z mierzenia terenu, rysowania i czytania map.

— Wiem, synu, wiem, i ja to w swoim czasie przechodziłem. Takie czytanie z mapy daje wiele przyjemności.

— Ale najwięcej w powietrzu, kiedy można oglądać i mapę, i ziemię.

Kapitan uśmiechnął się i przymrużył lekko oczy.

— Ty, Maćku, o czymkolwiek by się z tobą mówiło, zawsze skręcisz na latanie.

— Bo dla mnie, tatuchu, nie ma nad to nic piękniejszego.

— W takim razie, jeśli dziś masz tylko parę godzin nauki, przyjdź około południa na lotnisko, zobaczysz jak będę oblatywał „Orła” w pełnym rynsztunku.

— Och, żebyś mnie mógł zabrać z sobą!

— Tym razem nie mogę, bo to będzie lot komisyjny. Ale może cię wezmę po południu.

— Dziękuję ci, tatuchu! Ja zawsze mówię, żeś ty mój najlepszy kolega. A ja bym bardzo chciał zostać takim lotnikiem, jak ty.

Kapitan wstał od stołu, podszedł do Maćka i kładąc mu rękę na ramieniu, powiedział poważnie:

— Posłuchaj, synu, co ci powiem. Od kilku już lat zabieram cię w powietrze i uczę latać. Masz już za sobą kilkadziesiąt lotów samodzielnych i wiem, że umiesz obchodzić się z aparatem. Jednak żeby zostać dobrym lotnikiem, trzeba mieć prócz zdolności i wiedzy także odpowiednie siły fizyczne i doświadczenie, a tego nabiera się dopiero z latami.

— Ależ, tatuchu! Ja jestem bardzo silny! Kładę na łopatki nawet starszych od siebie!

— Może nie tyle jesteś silny, Maćku, co wytrzymały i zręczny. Ale to jeszcze za mało.

Maciek już otworzył usta, by dodać coś na swoją obronę, ale ojciec nie miał czasu na dalszą rozmowę. Pocałował chłopaka w czoło i nakładając czapkę, rzucił na pożegnanie:

— A przyjdź, chłopcze, w południe na lotnisko!

W kilka godzin później Maciek stał w grupie podoficerów i oparty o ścianę hangaru przypatrywał się lotowi „Orła”, błyskającego w słońcu srebrnym kadłubem. Rozmaitym wężłom, loopingom, świeczkom i beczkom, wykonywanym przez „Orła”, towarzyszyła to przyciszona, to głośna, biegnąca aż pod strop nieba muzyka motoru.

Któryś z podoficerów krzyknął z podziwem:

— Jak ten motor gra! To organy nie motor! Z takim silnikiem można by polecieć nawet na księżyc!

— Silnik silnikiem, ale patrz, jaki chwyt mają skrzydła! — Udana maszyna, jak cacko!

Tak rozmawiali podoficerowie, a obok komisja z generałem na czele obserwowała „Orła” wykonującego skomplikowane ewolucje.

Próba lotu nie trwała długo i skończyła się znakomicie. Ptak, po zakreśleniu podniebnego łuku i kilku ósemek, sfrunął lekko na ziemię i zatrzymał się tuż przed komisją.

Do wysiadającego pilota podszedł generał z oficerami. Rozpoczęli żywą wymianę spostrzeżeń oglądając równocześnie aparat. Maciek oczywiście znalazł się pomiędzy nimi i pilnie przysłuchiwał się rozmowie. W grupie znajdowało się dwóch panów w cywilnych ubraniach, do których wszyscy zwracali się z zapytaniami. Byli to dwaj młodzi inżynierowie, konstruktorzy aparatu.

Nagle Maćkowi serce mocniej zabiło, a on sam niemal się w słuch zamienił. Oto pan generał zwracając się do ojca mówił, że ten właśnie aparat nadaje się znakomicie do zamierzonej dalekiej podróży. Zatem dziś jeszcze wszystko będzie przeczyszczone, doładuje się zapas benzyny i oliwy; mapy, busole, reflektory i inne aparaty znajdują się już na swoim miejscu.

— A więc panie kapitanie, jutro o godzinie piątej rano odlot, a za tydzień oczekujemy pana z powrotem.

Z dalszej rozmowy wynikało, że „Orzeł” leci jako wzór polskiego aparatu bojowego. Ktoś wprawdzie wtrącił, że z tej samej serii jest już wykończony i gotowy do lotu drugi aparat o nazwie „Jaskółka”, ale generał oświadczył, że wchodzi on w rachubę tylko jako rezerwa.

Gdy cała grupa rozmawiając poszła dalej obejrzeć drugi aparat, Maciek ze ściśniętym sercem pozostał na miejscu.

„Jak to? Więc jutro ojciec sam poleci? Wróci dopiero za tydzień, wtedy aparat na pewno rozbroją i on, Maciek, nie spróbuje nawet lotu na tym bojowym przepięknym ptaku?”

Gdy tak stał i dumiał, poczuł nagle rękę ojca na ramieniu. Kapitan dotrzymał słowa i po odjeździe komisji zabrał syna na obiecany przelot „Orłem”.

Maciek obeznany już z lotami na rozmaitych aparatach, tym razem czuł się jakoś niezwyczajnie, jak by po raz pierwszy wsiadał do samolotu. Bo też „Orzeł” był imponującą maszyną — ogromnym jednopłatowcem liniowym, o potężnym silniku i zgrabnej kabinie, krytej od

góry daszkciem, z nietłukącego się szkła, z pomieszczeniem dla załogi złożonej z trzech osób: pilota, obserwatora i strzelca względnie mechanika. Maszyna, prócz serii bomb ukrytych w spodzie kadłuba, miała dwa działka i dwa karabiny maszynowe. W kabinie, na tarczach przed pilotem, znajdował się komplet najdokładniejszych przyrządów lotniczych wraz z aparacikami słuchowymi. Rozpiętość skrzydeł „Orła” wynosiła przeszło 15 metrów. Maszyna obciążona pełnym ładunkiem osiągała szybkość 500 km na godzinę, a długość jej lotu bez lądowania przekraczała 4 000 km. Konstruktorzy tego aparatu mogli być dumni ze swego dzieła. Ale dumny mógł być również i pilot kierujący tak wspaniałym ptakiem. Maciek wypytywał ojca zachłannie o najdrobniejsze szczegóły związane z prowadzeniem pięknej maszyny, która całkowicie podbiła serce chłopca.

Już zmierzch zapadał, gdy powrócili do domu. Mieszkali w dwóch skromnych pokojach, we dwójkę, gdyż matka Maćka umarła kilka lat temu. Wspólne życie, i tu, na ziemi, i tam, w powietrzu, wspólne zainteresowania, tak zbliżyły ojca i syna, że czuli się niemal braćmi. Żadna troska jednego nie uszła przed okiem drugiego, wszystkie kłopoty i radości przeżywali razem.

Toteż teraz, gdy lampa w pokoju zajaśniała, Maciek poznał od razu, że ojciec ma jakieś zmartwienie. Szybko opanowując swoje ostatnie wrażenia, chłopak wziął ojca za rękę i spytał go, co mu dolega.

— Nic, głupstwo, synu. Do jutra rana przejdzie.

— Jutro masz przecież, ojcze, wylecieć na cały tydzień.

— A ty skąd wiesz o tym?

— Słyszałem, jak rozmawiał z tobą ten pan generał.

— Stąd też płynie moje zmartwienie.

— Czyżbyś się bał o mnie?

— Nie, Maćku. Wiem, żeś rozsądny chłopak i że dasz sobie radę. Na ten tydzień przeniesiesz się do ciotki i tam na mnie zaczekasz.

— To czego się martwisz, tatuchu?

— Bo widzisz, nie przyznałem się do tego na lotnisku... czuję się trochę niezdrów.

— Tatuchu drogi, co ci dolega?

— Boli mnie głowa i mam dreszcze, sam nie wiem, co to znaczy.

— No to nie możesz lecieć!

— Za późno! Już otrzymałem rozkaz, a ty wiesz, że musi być spełniony. Zresztą, może to tylko przemęczenie. Zażyję proszki, prześpię się i na pewno do rana mi przejdzie.

Nie pomogły żadne prośby i namowy. Ojciec Maćka był twardym żołnierzem i nawet słuchać nie chciał o tym, aby zameldować się jako chory.

Przez chwilę krzątał się jeszcze po pokoju, spakował rzeczy potrzebne do podróży, wydał kilka poleceń Maćkowi, po czym szybko się położył i wkrótce zapadł w niespokojny sen.

Maciek bardzo się przejął złym samopoczuciem ojca. Obawiał się, że może zbliżyć się atak febry, która już nieraz dawała o sobie znać. Może w nocy przyjdzie gorączka, może ojciec straci przytomność i przez kilka dni nie będzie mógł opuścić łóżka, jak to już nieraz bywało. A przecież otrzymał rozkaz i jutro wczesnym rankiem ma udać się w daleką podróż. Jutro, 9 czerwca, o godzinie 5 rano. Tymczasem już noc zapadła i on, Maciek, pozostał sam ze swoimi obawami. Nie może już nic przedsięwziąć, aby uprzedzić dowództwo, odwołać rozkaz.

Spojrzał na śpiącego ojca. Wyglądał bardzo źle. Dotknął ręką jego czoła. Co prawda, na razie nic nie znamionowało gorączki, ale przecież może przyjść nagle. Ojciec nigdy nie narzekał na swoje samopoczucie bez istotnego powodu. Jeśli się tak zdarzyło, to zawsze potem ciężko chorował.

Maciek postanowił czuwać przez całą noc przy ojcu. Poprawił na nim kołdrę, jeszcze

raz dotknął czoła śpiącego. Wreszcie usiadł w fotelu u nóg łóżka i zaczął rozmyślać nad tym, co zrobić, jeśli jego obawy w stosunku do ojca się potwierdzą. W pewnej chwili uprzytomnił sobie, że czeka go jutro w szkole powtórka z geografii, że należałoby się do niej przygotować, ale chciał najpierw uporządkować wrażenia, których mnóstwo dostarczył dzisiejszy dzień. Przede wszystkim — niezapomniany lot „Orłem”. Co za wspaniały ptak! Kiedyż, on, Maciek, będzie mógł wreszcie sam latać na takich aparatach, odbywać dalekie podróże, przeżywać wielkie przygody na bezkresnych powietrznych szlakach?

Z wolna myśli zaczęły się plątać, powieki ciążyły jak ołów... Ale musi przecież czuwać, musi coś postanowić na wypadek, gdyby ojciec istotnie zachorował... musi postanowić... musi...

* * *

Jasna jak błyskawica myśl przeszła nagle umysł chłopca:

„Lecieć zamiast ojca!”

Myśl była tak wspaniała, że Maciek aż zadrżał, a twarz jego zalał gorący rumieniec.

Tak! On ojcu udowodni, że nie jest już wcale dzieckiem, a z latania potrafi zdać egzamin celująco. W ten sposób i rozkaz będzie wykonany, i ojciec będzie miał czas wyzdrowieć.

Ale dokąd miał lecieć?

Zerwał się z miejsca i począł szukać papierów, o których ojciec wspominał. Istotnie, znalazł je w teczce, zalakowane w kopertach. Odczytał dwa adresy: jeden był do rządu Jego Królewskiej Mości Króla Rumunii w Bukareszcie, a drugi do Naczelnego Dowództwa Wojsk Tureckich w Konstantynopolu.

Maciek był dobrym uczniem w szkole, geografię znał świetnie i wiedział dokładnie, gdzie jest Bukareszt, a gdzie Konstantynopol.

W tej chwili nie namyślał się wcale, czy trafi do tych miast samolotem. Wystarczało mu to, że wiedział, gdzie leżą.

Z chwilą gdy dotknął tych ważnych papierów, ogarnęła go jeszcze większa gorączka czynu, a myśl o samodzielnym locie jak by mu kilka lat dodała.

Spojrzał na śpiącego ojca i w oczach jego błysnęły łzy rozczulenia.

— Ty mi to, tatuchu, darujesz — szepnął — ja to przecież i dla ciebie robię.

A potem, drżąc, by się ojciec nie obudził, cicho na palcach chodził z kąta w kąt i gorączkowo przygotowywał się do podróży.

Wyjął z szafy swoje skórzane ubranie, w którym zwykle latał, czapkę skórzaną, rękawice i przebrał się szybko. Potem do małej walizki zapakował trzy zmiany bielizny, jedzenie, które znalazł w kredensie, no, i jako porządny uczeń, trochę papieru i dwa ołówki. Nie zapomniał też spakować swojego najlepszego ubranka, bo przecież może go spotkać jakaś parada.

Teraz wyłoniła się trudna rzecz: nie można udawać się w tak daleką podróż bez pieniędzy.

Miał wprawdzie w puszcze swoje oszczędności, ale tego było niewiele. Pokręcił więc głową, rozłożył ręce, jak by chciał powiedzieć: „No, trudno, ojcze, i to mi też daruj, ja ci oddam, gdy będę miał” — i z ojcowskiego portfela wziął jeszcze kilka banknotów.

A potem usiadł przy biurku, zapalił małą lampkę i napisał trzy listy.

Do Pana Generała, tego co oglądał „Orla”!

Panie Generale, pan kapitan Tatar, mój tatuch, wczoraj wieczór bardzo ciężko zachorował, ma silną gorączkę, bredzi i ma febrę. Ale niech pan General będzie spokojny, bo ja polecę na „Orle” zamiast tatucha i rozkaz będzie wykonany. I niech pan General się nie boi, bo ja latam bardzo dobrze i „Orla” już poznałem, i te ważne papiery oddam według adresów, a gdy wrócę, złożę raport Panu Generalowi. Ale niech Pan General każe jakiemu lapiduchowi, aby posiedział przy tatuchu, bo się odkrywa i rzuca na łóżku. Ciocia też będzie.

*Cześć, Panie Generale.
Maciek, syn kapitana Tatar*

Do kochanej Cioteczki Zosi!

Kochana Cioteczko, przyjdź do nas zaraz, bo tatuch jest chory, i posiedź koło niego, dopóki ja nie wrócę, bo ja muszę zamiast tatucho lecieć z ważnymi rozkazami. Za tydzień wrócę, to Cioteczkę uściskam.

Maciek

Najdroższy Tatuchu!

Nie gniewaj się na mnie, ale boję się o Ciebie, to zamiast Ciebie ja na „Orle” polecę, a Ty tymczasem poleż w łóżeczku aż będziesz zdrow. Nie bój się o mnie, bo Ty wiesz, że mnie samoloty lubią i „Orzeł” też polubi i nic złego nie zrobi, a mapy mam i Twoją torbę z papierami zabrałem. Pożyczyłem sobie od Ciebie trochę pieniędzy, ale jak zarobię, to Ci zaraz oddam. A do pana generała też list napisałem, że Ty jesteś chory, ale że ja jestem Twój syn i za Ciebie lecę spełnić rozkaz. Jakby mi się co złego stało, to Ci zaraz napiszę list. Bieliznę i jedzenie też wziąłem. Smutno mi tylko Ciebie samego zostawić, ale rano przyjdzie Ciocia i pan generał przysła lapiducha, to posiedzą przy Tobie aż wyzdrowiejesz.

Całuję Cię, Tatuchu kochany, i nie gniewaj się na mnie, bo ja bym się na takiego syna nie pogniwał.

Twój Maciek

Wszystkie trzy listy zalepił w koperty. Dwa schował do kieszeni, a trzeci, ten do ojca, położył na stole.

Po chwili Maciek z walizką w ręce zbiegał po schodach. Brama już była otwarta, stróżka zamiatała chodnik.

Maciek przystanął, podał stróżce list do ciotki i poprosił, by mimo wczesnej godziny zaraz go odniosła.

— A dokądże z walizką? — zapytała stróżka.

Zmieszał się Maciek i odpowiedział wykrętnie:

— Ja... ja do apteki.

— A, do apteki? Z taką walizką? — Stróżka pokiwała głową, ale on szybko się odwrócił i pobiegł przed siebie.

Na lotnisku „Orzeł” stał już przygotowany do lotu. W bramie wartownik przepuścił Maćka, bo przecież wszyscy żołnierze z lotniska znali go dobrze. Maciek podszedł wprost do aparatu. Bał się, by go nie zatrzymał jakiś podoficer dyżurny. Ale szczęście mu widać sprzyjało, bo po drodze nie spotkał już ani żywej duszy. Lot miał nastąpić o godzinie piątej, a do tego czasu brakowało jeszcze pół godziny.

Maciek wyjął list do pana generała, położył na progu hangaru i przycisnął kamieniem, by go wiatr nie porwał. Potem szybko wsunął się do aparatu, walizkę ułożył z boku i począł wodzić oczami po wnętrzu kabiny, by zbadać, czy wszystko jest w porządku. Nagle zmartwiał w bezruchu. Oto na tylnym siedzeniu, przeznaczonym dla obserwatora, drzemał kapral Bartek Paciorek. Maciek, opanowując wzruszenie, zajął miejsce przy kierownicy, oparł stopy na orczykach i odwrócił głowę ku Bartkowi

— Kapral Paciorek, bacność!

Bartek poderwał się, wstrząsnął głową i rozwarł szeroko oczy.

— Rozkaz, panie kapi... — Zobaczywszy jednak przed sobą Maćka, zamiast kapitana, Bartek jeszcze szerzej otworzył oczy.

— A, to ty, Maciek? A gdzie kapitan?

— Do startu brakuje jeszcze pół godziny. Przez ten czas rozgrzejemy trochę maszynę.

— Co? Chcesz w ostatniej chwili jeszcze sam polatać? A co na to powie kapitan?

— Ha, to trudno przewidzieć. Ale myślę, że najpierw będzie się gniewał, a potem mnie pochwali.

— Co ty wygadujesz, Maciek? To kapitan nic o tym nie wie?

— A może mnie o to prosił?

— Hm, to byłaby inna sprawa... Ale nie mógł tego zrobić.

— Dlaczego nie, czy uważasz, że tatuch mi nie ufa?

— No nie, tak nie uważam...

Po chwili Maciek już włączył kontakt i ręką nacisnął dźwignię, motor zawarczał. Śmigło ruszyło zrazu wolno, potem prędeżej, coraz prędeżej.

Bartek bezwładnie opadł na swój fotelik.

— Maciek, czy ty wiesz, cośmy zrobili?

— Siedź cicho, Bartek, i nie przeszkadzaj teraz. W powietrzu ci odpowiem.

Na warkot motoru z bram wybiegło kilku żołnierzy. Za późno. „Orzeł” był już wysoko i srebrną pierśią pruł rześkie powietrze wschodzącego ranka.

II. NA POWIETRZNYCH BEZDROŻACH

Tak szybko się wszystko stało, zaczynając od pierwszej myśli o locie w zastępstwie chorego ojca, a kończąc na oderwaniu się podwozia samolotu od ziemi, że dopiero ostre powietrze, bijące przez otwarte okienko, przywołało Maćka do opamiętania.

I nagle dreszczem przejęła go myśl, że ma lecieć tak daleko, nie wiedząc jeszcze dobrze jak, i że tatuch będzie się z pewnością bardzo gniewał.

Ale już w następnej chwili ogarnęła go niesłychana radość. Oto spełniło się jego marzenie: jest na „Orle” i ptak mknie jak szalony. Przy tym Maciek tak dobrze poczuł się na nowym aparacie, że najmniejsze nawet drgnienie nie uchodziło jego uwagi.

Ziemia zapadała się coraz głębiej, na wysokościomierzu odczytał, że jest przeszło 800 m w górze. Nacisnął drążek steru. Ptak wyrównał swój lot, śmigając gładko i lekko, tylko niesłychanie głośno oddychając swoimi stalowymi płucami.

Odczytał szybkość lotu: 160 km na godzinę. Doskonale idzie. Ojciec nie powstydzi się swego syna.

Przez sekundę zawahał się, czy trafi do Bukaresztu. Ale przecież miał przed oczami mapy i busolę, na których znał się dostatecznie.

Wtem posłyszał w słuchawkach, wiszących tuż obok, szum, trzask i jakieś bulgoczące słowa. Zrozumiał, że to pewnie Bartek usiłuje się z nim rozmówić. Założył więc słuchawki na uszy i usłyszał wyraźny, bliski głos Bartka:

— No, Maciek, już piętnaście minut rozgrzewamy maszynę. Pora wracać, bo pan kapitan będzie się wściekał.

— Wrócimy, Bartek, ale za tydzień.

— Co takiego? Coś ty powiedział?

— Powiedziałem, że wrócimy za tydzień.

— Co to znaczy?! — Bartek gwałtownie zachnął się.

— Siedź spokojnie, Bartek, bo jesteśmy w samolocie na pełnym gazie i ja muszę pilnować sterów.

— Ale co to znaczy, że wracamy dopiero za tydzień?!

— To znaczy, że tatuś bardzo ciężko zachorował i ja zamiast niego lecę do Bukaresztu i do Konstantynopola z pismami, które dał pan generał. A ty lecisz ze mną jako kapral-mecha-

nik.

— Ależ ja nie dostałem takiego rozkazu! Miałem lecieć z kapitanem pilotem Tatarem.

— Ja, Bartku, nie jestem wprawdzie kapitanem, ale nazywam się Maciej Tatar i jestem, jak widzisz, także pilotem.

— Tere fere kuku! Czyś ty, Maciek, oszalał? Ja nie chcę być zdegradowany i dostać się do paki. Wracaj natychmiast!

— Gdybym teraz wrócił, to ja bym dostał w skórę, a ty właśnie zaleciałbyś prosto do paki. A jak wrócimy za tydzień, to tatuś na pewno mnie pochwali, a ty dostaniesz order i awansujesz na plutonowego.

— To mówisz, że kapitan tak ciężko zachorował?

— Opowiem ci dokładnie, jak wylądujemy.

Po dłuższej chwili milczenia Bartek znów się odezwał:

— To wszystko jedno! Gwałtem porwałeś mnie z lotniska.

— Za kilka godzin darujesz mi to.

— Za kilka godzin? Ależ ja jestem bez śniadania i głód mi kiszki skręca!

— Tak mi mów, kapralu! — Maciek sięgnął jedną ręką po walizkę i przesunął ją w stronę Bartka.

— W walizce jest chleb i kielbasa. Bierz i jedz, a przyrządź i mnie dobrą pajdę, bo ja też już zgłodniałem.

Cóż miał robić kapral Paciorek? Nie mógł się przecież szarpać z Maćkiem przy sterze, by go zmusić do powrotu. Westchnął więc ciężko i zabrał się do szykowania jedzenia.

Maciek odetchnął z głębi piersi, bowiem przeprawa z Bartkiem przeszła lżej niż się spodziewał. Teraz już klamka zapadła na dobre. Musiał lecieć przed siebie, musiał do końca spełnić wzięte na siebie zadanie.

Tymczasem słońce wschodziło. Przez otwarte okienko wpadało chłodne powietrze i z boku myło twarz. Skrzydła aparatu sunęły gładko. Gdzieś hen, na dole, wlokły się lekkie poranne opary. Maciek zniżył trochę lot i na wysokości 400 m znów puścił aparat poziomo. Tuż przed nim, na prawo, wisiała mapa w przezroczystej okładce z zakreśloną czerwonym ołówkiem drogą do Bukaresztu i Konstantynopola. Po chwili wahania Maciek zdecydował, że musi skręcić bardziej w lewo, na wschód, a potem lecieć już wprost przed siebie.

Na mapie zanotowane były także odległości. Droga do Bukaresztu wynosiła około 1 000 km, a z Bukaresztu do Konstantynopola jeszcze przeszło 400 km. Maciek puścił motor na pełne obroty, osiągnął szybkość 250 km na godzinę i począł obliczać, że w Bukareszcie powinien stanąć jeszcze przed południem. Gdy sobie wyobraził, że tak olbrzymią przestrzeń przeleci w ciągu najwyżej sześciu godzin, fala szczęścia załała mu pierś.

Aparat sunął w powietrzu jak najlotniejszy ptak, od czasu do czasu kołysząc się lekko, jakby w takt wyobraźni Maćka.

Mgły się już rozpierzchły nad ziemią, i cała jej krasa widziana z góry wylaniała się w ciepłym i jasnym słońcu porannym. Wsie za wsiami przepływały w dole, tu i tam mignęła jakaś spiczasta wieża kościelna, ówdzie las się zielenił jak gruby kłęb mchu, gdzie indziej mieniła się niebieska, jasna rzeczka.

Maciek założył rękawice, okienka bowiem zasuwać nie chciał, a od zimnego powietrza ręce mu trochę zgrabiałały.

Tymczasem Bartek dobrawszy się do prowiantów w walizce, przyrządził dwie tęgie pajdy chleba z kielbasą i obaj lotnicy przez dłuższy czas pożywiali się gorliwie. Gdy już zaspokoiili głód, w słuchawce znowu zaterkotał głos Bartka:

— Halo, halo, Maciek!

— Słucham cię, Bartek.

— A co z herbatą?

— Z jaką herbatą?

— Jak to z jaką? Z mokrą, cierpką, słodzoną i gorącą. W walizce nie widzę żadnej butelki.

— Rzeczywiście, o herbacie zapomniałem.

— A to gapa z ciebie. Przecie ta kielbasa bez popicia pomyśli, że ją pieski zjadły.

— Trudno, Bartek. Wypijemy po wylądowaniu.

Bartek przez dłuższy czas milczał i nagle zaterkotał:

— A co będzie, jeżeli wyślą za nami pościg?

— Nim nas dogonią, będziemy w Bukareszcie.

Ale na samą myśl o pościgu Maciek nacisnął dźwignię, by zwiększyć dopływ benzyny.

Aparat lekko pod wiatr zezując, leciał dalej spokojnie. Nisko w dole, wśród przedziwnej szachownicy pól, zamajaczyła jakaś większa rzeka. Maciek sądząc po falistych liniach poletek, zorientował się, że teren jest górzysty, a spojrzawszy znowu na mapę stwierdził, że ta rzeka na dole, to na pewno Prut.

Zdziwiło go wprawdzie, że zamiast lecieć równoległe do niej, jak wskazywała mapa, lot jego raczej przecinał dość ostro jej kierunek, ale uważając, że to na pewno nie rzeka się pomyliła, lecz on, sterem wykręcił aparat ku wschodowi i od tej chwili starał się w miarę możliwości płynąć nad srebrzącą się wodą. Brzegi rzeki, wijącej się wielkimi łukami, stawały się coraz bardziej górzyste. Aby nie stracić kierunku, Maciek wzniósł się jeszcze wyżej, na wysokość 800 m. Zadowolony z dotychczasowego wywiązywania się z lotu, nie spuszczał ręki ze steru, dumny z odczytywania mapy i z poprawiania samej nawet busoli.

W pewnej chwili zauważył, że rzeka coraz bardziej skręca w prawo, a górzyste brzegi pokrywają się wielkimi lasami. A więc tak, nie mylił się, jest nad Karpatami, w miejscu, gdzie Prut skręca ku wschodowi. Teraz musi bardziej zawrócić w lewo. Wprawdzie busola wskazywała, że już leci na wschód, a nie na południe, ale Maciek wołał wierzyć oczom i rzece niż busoli, do której zresztą nie nabrał jeszcze zbyt wielkiego zaufania.

Po godzinnym locie zauważył jednak, że teren zamiast porastać w góry, bo przecież pora już była na główny łańcuch Karpat, wyrównywa się coraz bardziej, ba, przechodzi w rozległy niż. Maćkowi ogromnie to się nie podobało, tym więcej że według mapy nie mógł się absolutnie zorientować, gdzie jest.

Wpatrując się w ziemię z góry, zauważył dwie czy trzy rzeczki równoległe do siebie płynące, a w ciemnych pasach wzdłuż ich brzegów, wyglądających na zalesione jary, kulilo się kilka wiosek. Nie mógł to być w żadnym razie górzysty Siedmiogród, ani tym bardziej Karpaty czy Pokucie.

Zaniepokoił się Maciek bardzo, bo zabłądzić w powietrzu i stracić przez to wiele czasu, znaczyło rzucić cię na swoją służbę lotniczą. Ale w powietrzu nie ma czasu na rozmyślanie. Każda sekunda wymaga skupienia i uwagi. Siłą woli Maciek zapanował nad sobą i pochylił się nad mapą i busolą.

Z wszelkich danych wynikało, że samolot znajdował się około 100 km od granicy rumuńskiej. Biorąc szybkość 250 km na godzinę — można by za niecałą godzinę bezpiecznie wylądować. Maciek przesunął dźwignię i już po chwili szybkościomierz wykazywał 250 km na godzinę. Nie obniżając lotu, by na wszelki wypadek być najmniej widzialnym, jednocześnie badał powietrze. Wiatr zmienił kierunek na południe.

W dali błysnął łuk rzeki. To na pewno Dniestr. Ciemnozielone cienie i jasnozielone plamy lasów i wzgórz widniały w dole.

Maciek westchnął z ulgą. Wskazał ręką w dół i zagestykułował do Bartka. Ten zrozumiał, bo odpowiedział mu uśmiechem.

Maciek postanowił odlecieć nieco od granicy, a potem wylądować w pobliżu jakiegoś miasta, aby się dokładnie zorientować, gdzie jest, i ustalić dalszy lot. Poza tym kiszki pana lotnika poczęły dopominać się pokarmu i napoju.

Po kwadransie znów jasna wstęga jakiejś rzeki przecięła ich drogę i Maciek osądził, że

przelecieli Prut. W pół godziny później wylądowali na prześlicznej łące, tuż pod jakąś wieśką.

Bartek, poczuwszy stały grunt pod nogami, nabrał pewności siebie. Prawą dłonią ścisnął silnie lewe ramię Maćka i patrząc mu prosto w oczy przemówił:

— No, Maciek, teraz porozmawiajmy spokojnie.

— Pogadajmy lepiej w Bukareszcie, bo teraz musimy się śpieszyć.

— Nic z tego, musimy pogadać teraz, zaraz.

Maciek westchnął głęboko i zrezygnowany przygotował się na wymówki ze strony Bartka.

— Mów już, Bartku, jeśli uważasz to za potrzebne. Ale pamiętaj...

— Pamiętam wszystko doskonale, Maćku, i dlatego nic mi nie tłumacz. Miałem czas przemyśleć całą tę awanturę i zdaje mi się, żeś odważnie, ale słusznie postąpił.

Maciek zamrugał oczami i westchnął z głęboką ulgą. Tymczasem Bartek ciągnął dalej:

— Ale teraz sobie zapamiętaj, że ja lecę z tobą służbowo, jako kapral-mechanik, i wszelka obsługa samolotu do mnie należy.

— Zgoda, Bartek! Cieszę się bardzo, żeśmy się dogadali. Ale teraz ty pozostań przy aparacie, a ja pójdę do tego miasteczka i zasięgnę języka.

W tej chwili jednak na drodze wiodącej z miasta ukazało się kilka grup ludzi dążących ku samolotowi, ciekawych widocznie, co to za goście spadli z nieba.

Maciek znał dość dobrze język francuski, a cokolwiek też i niemiecki, łatwo się tedy porozumiał z przybyszami.

Miasteczko nazywało się Botoczany i leżało istotnie na prostej drodze do Bukaresztu.

Botoczanie dowiedziawszy się, że młody chłopak jest polskim lotnikiem, że ma towarzysza, że są głodni i pić im się chce, że lecą do Bukaresztu, zaopiekowali się nimi jak najgościnniej, zapraszając ich do miasta. O tym jednak nie mogło być mowy, bo Maciek chciał jak najprędzej obejrzeć aparat i lecieć dalej.

Botoczanie, widząc tak zdecydowanego, choć młodzieńczego lotnika, dali się porwać entuzjazmowi i w przeciągu kwadransa wokół „Orła” powstał istny biwak.

Pijąc, jedząc i wciąż się uśmiechając, Maciek oglądał swego „Orła”. Stwierdził, że wszystko jest w porządku. Na myśl, że ten ogromny, stalowy ptak posłusznie daje się prowadzić jego drobnym dłońmi, że nie zawiódł jego nadziei, ogarnęło go silne wzruszenie. Ukrywszy się w pewnej chwili przed ludźmi, Maciek pogłaskał chłodną już pierś ptaka i powiedział mu szeptem kilka czułych słów.

Gdy skończył oględziny i wrócił znowu do zachwyconych Botoczan, oczom jego przedstawił się ciekawy widok. Oto pan kapral, Bartłomiej Paciorek, przystrojony w jakiś przedpopy mundur z olbrzymimi błyszczącymi guzikami, który się okazał paradnym mundurem botoczańskiej straży pożarnej, stał na zaimprovizowanym stole, pełnym flasz i kufli, i stujęcym żargonem przemawiał do słuchaczy. Właśnie gdy nadszedł Maciek, pan kapral wskazał go ręką i zakrzyknął:

— Oto heroi, held, bohater, geroi! Ban! Bania-luja-Ispas!

Tym w jednej chwili podchwycił okrzyki, a ten i ów nawet zaintonował jakąś pieśń. Kilku gorętszych Botoczan usiłowało porwać Maćka na ręce, ale on mocno zakłopotany niespodziewanie gorącym przyjęciem, podziękował jak najserdeczniej za gościnę i dał Bartkowi znak do odlotu.

Bartek zeskoczył ze stołu i począł ścisnąć dłonie najbliższych stojących, zwłaszcza naczelnika straży ogniowej, od którego otrzymał swój paradny strój.

Maciek zakomenderował:

— Panie kapralu, siadamy!

Gdy wsunął głowę do kabiny, okazało się, że jest załadowana różnymi produktami.

Maciek podziękował pięknie za dary, chciał ten nadmierny bagaż usunąć, ale Bartek się

sprzeciwił.

— Ho, ho, nie wiadomo jeszcze, co nas może spotkać. Przecież lecimy do Bukaresztu, a później do Turków. A zresztą... obsługa samolotu należy do mnie.

— Ależ to zbyt ciężki ciężar!

— Jak się zje, to nie będzie ważyło. A zresztą, komendancie kochany, trzeba brać, kiedy dają, nie wolno nam zasmucać tak czcigodnych obywateli, odmawiając przyjęcia ich darów.

I kiedy Maciek zajął się dolewaniem benzyny do zbiorników, Bartek tak sprytnie rozmieszczał ofiarowane zapasy, że nikt by się ich nawet nie domyślił.

Zakreśliwszy na mapie dalszą drogę i przygotowawszy wszystko jak należy, Maciek, żegnany huraganem braw i okrzyków, poderwał „Orła” do dalszego lotu.

Przez długą jeszcze chwilę widzieli falę powiewających chustek z pięknego błonia pod Botoczanami. A gdyby nie turkot rozpędzającej się maszyny, usłyszeliby też na pewno dźwięki strażackiej orkiestry, która właśnie w tej chwili nadciągnęła z miasta.

III. W GOŚCINIE U SĄSIADÓW

Niedługo potem samolot wypłynął w rzeźkie górskie powietrze. Czarujący widok dalszych i bliższych podgórzy porwał oczy Maćka i Bartka.

By lepiej móc oglądać cuda bajecznych pasm Karpat Siedmiogrodzkich, Maciek zaleźnie od szczytów obniżał lub podnosił lot, nie zważając na chyboczące aparatem dość znaczne falowanie powietrza, wywołane bliskością gór i lasów. To właśnie chybotanie, w połączeniu z zmieniającym się i niemal tuż pod nogami wyrastającym widokiem, miało w sobie zgoła niesamowity urok. Wspinające się po stokach olbrzymie lasy, rozwarte, ziejące czernią przepaście, drapieżne, poszarpane szczyty nagich skał, jasne, zalane słońcem doliny, przepasane wstążkami rzek i potoków, tworzyły przepiękny kalejdoskop.

Tymczasem łuk górski skręcał ku zachodowi, coraz wyższymi szczytami wspinając się w Alpy Transylwańskie.

Westchnieniem pożegnał Maciek cuda przyrody górskiej i nie zmieniając kierunku lotu, spłynął nad jasną dolinę zarosłą winnicami, wśród których gnieździły się barwne osady, wsie i miasteczka.

Wkrótce na dalekiej, równej linii horyzontu zamajaczyły liczne kominy i wieże.

Z szybkością 250 km na godzinę zbliżali się do Bukaresztu. Piętnaście minut po godzinie drugiej okrążali już stolicę Rumunii, szukając lotniska. Wnet na ich powitanie wzleciał samolot i wskazał im drogę.

Przy lądowaniu Maciek zauważył, że koło hangarów stoi kilku oficerów, którzy go bacznie obserwują. Gdy wyskoczył z samolotu, oficerowie już szli ku niemu. Prowadził ich jakiś starszy oficer ze szlifami i orderami, widocznie generał, który pierwszy przemówił do Maćka po francusku:

— Czy pan jest lotnikiem wysłanym do nas z Polski z ważnymi dokumentami?

Maciek zarumienił się po uszy. Nie mógł przecież potwierdzić, gdyż nie on został wysłany, ale nie mógł również zaprzeczyć, bo jednak on przywiózł papiery. Stanął tedy na baczność i składając ukłon wojskowy, zamiast odpowiedzi, zameldował krótko po francusku:

— Pilot Maciej Tatar melduje się panu generałowi z ważnymi dokumentami z Warszawy.

— Jak to? Czyż Polska ma takich młodych lotników? — zdziwił się generał.

— Tak jesteshti, bano generale! — posłyszał Maciek tuż za sobą koguci dyszkant Bartka.

Tym razem rumieniec zalał twarz Maćka już nie tylko po uszy, ale po same włosy. Obawiając się, by Bartek nie próbował jak w Botoczanach swojego krasomówstwa wobec tej znakomitej świty oficerów, Maciek, nie odwracając głowy, syknął po polsku:

— Milcz, Paciorek!

I zaraz potem krótkimi zdaniem, już po francusku, wyjaśnił sytuację:

— Miał lecieć mój ojciec, panie generale, ale w nocy dostał silnej gorączki i stracił przytomność. Tylko ja jeden byłem przy nim i dlatego musiałem lecieć, by ratować jego żołnierski honor.

Wprawdzie francuszczyzna, którą Maciek przemawiał, nie była bez skazy, ale od biedy można go było zrozumieć.

Generał patrzył na Maćka jakimś dziwnym, przenikliwym wzrokiem. Chłopak zdrętwiał. Przez moment wydawało mu się, że oto zaraz spotka go coś strasznego za zuchwalstwo, którego się dopuścił, wyruszając samowolnie w tę podróż. Już szukał w myśli gorączkowo słów na usprawiedliwienie, że to nie zuchwalstwo, nie samowola, że zmusiła go do tego konieczność i troska o żołnierski honor ojca... Ale generał, jak by odczytując uczucia Maćka, uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

— Młodzieńcze, jestem pełen podziwu dla twojego wyczynu.

Fala szczęścia zalała serce Maćka, silnie uścisnął rękę generała, a później po kolei przyjmował gratulacje od pozostałych oficerów. Równocześnie zauważył że wszyscy, prócz generała, patrzą na niego z rzewnością i uśmiechają się, jak do małego dzieciaka. Takie przywitanie zmieszało go, więc postanowił przy najbliższej okazji dać panom oficerom nauczki. Okazja ta zresztą nadarzyła się od razu. Gdy generał podszedł do „Orla”, by mu się przyjrzeć z bliska, jeden z młodszych oficerów, wyglądający na adiutanta, zapytał Maćka:

— A gdzie papiery, dzielny chłopcze?

Maciek spokojnie wskazał na teczkę, którą trzymał pod pachą, i odpowiedział wyraźnie:

— Dzielny chłopak ma je przy sobie, ale doręczyć je może tylko według adresu, to jest do Kancelarii Wojskowej Jego Królewskiej Mości, Króla Rumunii.

Ku zdumieniu Maćka oficer szybko przystąpił do niego, ujął go pod ramię i przemówił dość poprawną polszczyzną:

— Ach, daruj, przyjacielu, nie chciałem cię urazić wypominając ci twój wiek. Zazdrość ci tylko i chciałbym być z tobą na koleżeńskim stopie.

Maćkowi zrobiło się zarazem głupio i przyjemnie, ale nim zdążył odpowiedzieć, już usłyszał za sobą okrzyk:

— Wiwateszti! Banialuja-Ispas!

Okrzyk ten tym razem zwrócił uwagę samego generała, który spojrzał na Maćka i spytał uśmiechając się:

— Czy to towarzysz lotu?

Bartek, usłyszawszy słowo „camarade”, wyprostował się i zameldował:

— Bartłomiej Paciorek, kapral-mechanik trzeciej eskadry melduje się panu generałowi!

— Comment, comment? — zapytał generał, przypatrując się delikatnie bajecznemu mundurowi Bartka.

Maciek przełożył meldunek na język francuski.

— Skąd ten mundur?

— Otrzymał w darze od Botoczan.

— Jak to? Byliście tam? Czyżbyście mieli jakiś wypadek?

— Zabłądziliśmy w powietrzu. Musieliśmy wylądować.

— Tak, teraz rozumiem wasze dwugodzinne opóźnienie. Zdaje mi się jednak, chłopcze, że twój pułk ma do ciebie zupełne zaufanie, bo myśmy otrzymali tylko krótką depezę, że

liniowy samolot „Orzeł” wystartował o godzinie piątej do Bukaresztu.

Maćkowi na tę wiadomość aż oczy zabłyśły ze szczęścia. Słowa te były dla niego jakby cudownym rozgrzeszeniem, bo mimo wszystko, w swoim sumieniu, był bardzo niespokojny, czy postąpił słusznie.

Gdy więc doszli do samochodów oczekujących przed hangarami, Maciek zwrócił się z prośbą do generała:

— Panie generale, proszę przede wszystkim o możliwość nadania depeszy do ojca, że wylądowałem w porządku.

— Bardzo słusznie! Widzę, że spełniasz służbę jak stary żołnierz. — Po tych słowach generał zwrócił się do adiutanta i wydał mu polecenie natychmiastowego nadania odpowiedniej depeszy do Warszawy.

„Orla” wtoczono do hangaru i oddano pod opiekę żołnierzy. Generał z Maćkiem, Bartkiem i całą świtą wsiedli do samochodów i ruszyli w stronę miasta. Po drodze generał wyjaśnił Maćkowi, że jest szefem kancelarii wojskowej króla i ma rozkaz odebrać papiery, ale że król, gdy się dowie, jaki to lotnik jest polskim posłem, na pewno zechce go poznać.

Nie było rady. Maciek wręczył więc papiery generałowi, sam zaś wysiadł przed pięknym hotelem, w którym miał czekać na wiadomość z królewskiego dworu.

W hotelu dano im dwa ślicznie urządzone pokoje z łazienką. Bartek zachwycony tym powtórzył trzykrotnie swoje: „Banialuja — Ispas“.

Okrzyk ten, tylokrotnie przez Bartka używany, zwrócił nareszcie uwagę Maćka.

— Powiedz mi, Bartek, co znaczy to twoje „banialuja-ispas“?

— Ja sam nie wiem dokładnie, ale na Rumunach to robi wrażenie, bo zaraz patrzą ze zdziwieniem i uśmiechają się. Myślę, że to coś takiego, jak nasze „do jasnego pioruna” albo „psiakrew do pioruna”.

— A skądżeś ty to wziął?

— W Botoczanach wyczytałem te słowa na jakimś słupku. Sam muszę się przy okazji dowiedzieć, co to znaczy.

— Poza tym chciałem ci zwrócić uwagę, że dziś w obecności pana generała i panów oficerów zapomniałeś chyba, że jesteś żołnierzem. Nie pytany wtrąciłeś się do rozmowy, wypychałeś się naprzód.

— A cóż to, komendancie? Czy nie jestem kapralem-mechanikiem lotniczym. Taki kapral to przecież duża szarża dla piechoty, a tym bardziej gdy zlatuje prosto z nieba.

Maciek wiedział, że Paciorek ma w pułku opinię niezwykłego gaduły i kolorysty, ale że przy tym jest doskonałym mechanikiem i dzielnym żołnierzem, machnął więc tylko ręką w odpowiedzi i rozebrawszy się szybko, poszedł do łazienki, by się odświeżyć.

Zaledwie jednak zdążył się wykapać i wsadzić Bartka do wanny, w pokoju zjawił się poznany na lotnisku młody adiutant generała, ten sam, który tak dobrze mówił po polsku. Uśmiechając się oficer stanął na baczność i oznajmił Maćkowi służbowo, że Jego Królewska Mość oczekuje go w pałacu.

Maciek z trudem opanował ogarniające go wzruszenie i poprosił o chwilę czasu, aby mógł się przebrać w swój mundurek. Bartek słysząc odgłosy rozmowy już zdążył wyjść z kąpieli i narzucić na siebie ubranie. Wyciągnął szybko mundurek Maćka z walizki, ale ubranko okazało się straszliwie wygniecione. Kapral od razu postawił swoje veto.

— W tym mundurze nie możesz iść, bobyś wyglądał, jak byś psu z gardła wylazł.

Maciek bardzo się zmartwił, ale adiutant szybko rozstrzygnął kwestię, oznajmiając że król na pewno będzie wolał zobaczyć go w kombinezonie i w skórzanej kurtce.

Wydawszy Bartkowi dyspozycję, by się nie oddalał z hotelu, bo w każdej chwili mogą nadejść z Warszawy ważne wiadomości, Maciek w towarzystwie adiutanta ruszył w stronę królewskiej siedziby.

Samo miasto Bukareszt, po rumuńsku Bucuresti, bardzo się Maćkowi podobało. Poło-

żone nad rzeką Dymbowicą, czyste i schludne porywało oczy masą zieleni i kwiatów oraz nadzwyczaj barwnych wystaw. W tłumie przechodniów można było często zauważyć kolorowe stroje ludowe, rogate kapelusze, szerokie pasy skórzane, a tu i ówdzie wschodnie zawoje i czerwone lub niebieskie fezy. Ruch na ulicach był bardzo żywy. Gdy na jakimś skrzyżowaniu ulic zatrzymało się królewskie auto, wiozące młodego chłopaka w lotniczym ubraniu i oficera gwardii, na chodnikach zebrały się od razu większe grupy przechodniów. Ktoś podszedł do szofera i o coś zapytał, szofer odpowiedział i w pewnej chwili z obu stron auta wyleciały w powietrze czapki, zatrzepotały chustki, a wokół zabrzmiały okrzyki:

— *Vive la Pologne!*

— *Traiasca Polonia!*

Maciek z uśmiechem odpowiadał ręką na powitania, wreszcie, gdy auto już ruszyło, krzyknął w tłum:

— Niech żyje Rumunia!

Pojechali dalej.

— Nie przypuszczałem — odezwał się Maciek — że Rumuni tak lubią Polaków.

— Jakże to? Przecież Rumunia i Polska to dwaj sąsiedzi, którzy mają wiele wspólnych interesów. Poza tym mamy u siebie dość dużo Polaków, którzy są dobrymi obywatelami naszego państwa, a równocześnie gorąco miłują swoją ojczyznę. Cenimy ich i dlatego też sentyment do Polski jest u nas powszechny.

— Bardzo się cieszę — odpowiedział Maciek — bo i u nas Rumuni są przyjmowani jak dobrzy sąsiedzi i przyjaciele.

Wóz zatrzymał się przed pałacem królewskim. Maciek pierwszy raz oglądał z bliska siedzibę władcy jakiegoś państwa. Za chwilę miał stanąć przed samym królem. Czuł się mocno skrępowany w swoim skromnym stroju lotniczym, ale w gruncie rzeczy był rad, że nie jest w gimnazjalnym mundurku, bo bądź co bądź, strój ten byłby chyba mniej poważny.

W jednej z sal czekał już na nich znajomy generał i teraz w towarzystwie obu oficerów Maciek przechodził przez bogato urządzone pokoje i zarumieniony ze wzruszenia odpowiadał skinieniem głowy na pełne szacunku ukłony lokajów i kamerdynerów Jego Królewskiej Mości.

Wreszcie zatrzymali się w jakiejś sali pełnej obrazów i książek a generał przeprosiwszy Maćka wszedł sam do sąsiedniego apartamentu, skąd po chwili wrócił, by wprowadzić gościa do sali audiencyjnej.

Maćkowi wydało się, że ma za dużo rąk i nóg. Mimo to starał się wejść jak najpewniejszym krokiem.

Pod oknem stał mężczyzna w wojskowym mundurze i uśmiechał się do niego.

Maciek domyślił się, że ma przed sobą króla, chociaż był trochę rozczarowany, że król jest bez korony.

Generał stojąc na baczność zameldował Maćka.

— A więc to pan, młodzieńki przyjacielu, przywiozłeś mi z Polski te ważne papiery? — Król wskazał ręką na stół, na którym leżały świeżo odpieczętowane dokumenty.

— Tak jest, proszę Waszej Królewskiej Mości! — odpowiedział Maciek, którego generał pouczył wpierw, jak się do króla przemawia.

— Spisałeś się bardzo dzielnie, młodzieńcze, jak słyszałem, miałeś lot z przygodami.

— Nie mam się czym chwalić, proszę Waszej Królewskiej Mości. Zabłądziłem.

— Nawet najlepszemu pilotowi może się to zdarzyć i nie masz czym się martwić. Ale ciekaw jestem tej przygody.

— To dłuższa opowieść, a ja nie śmiem zabierać czasu Waszej Królewskiej Mości.

— O, z przyjemnością posłucham przy obiedzie, na który cię, drogi chłopcze, zapraszam.

Gdy weszli do jadalni, zastali piękną starszą damę o srebrnych włosach, która się

okazała matką króla. Rozmawiała z jakimś marszałkiem dworu i z generałem. Po ceremonii przedstawienia i powitania zasiedli wszyscy do stołu. Maciek jeszcze raz odniósł wrażenie, że ma o wiele za dużo rąk. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się jeść w tak niezwykłym towarzystwie. Potrawy podawane były z takim ceremoniałem, że trzeba było dobrze uważać, aby je nabierać i jeść tak jak inni. Wszystkie te formy i ceremonie zdawały mu się mocno sztuczne, toteż przemógł w sobie zakłopotanie, a widząc, że król patrzy pilnie w swój talerz, zabrał się z pasją do jedzenia.

Przykład jego zdawał się podzielać na resztę towarzystwa, które już po chwili mniej sztywno, a za to z większym smakiem zjadało podawane potrawy.

Po skończonym obiedzie król zwrócił się z uśmiechem do Maćka:

— Miło nam jest, chłopcze kochany, gościć cię przy naszym stole. Teraz musisz nam opowiedzieć o swoim locie.

Maciek w krótkich słowach opowiedział kolejno o wszystkich zdarzeniach, jakie zaszły od wczorajszego dnia, a opowiadanie jego przerywały tylko okrzyki zdziwienia lub podniety ze strony słuchaczy.

Wtem, gdy zaczął opisywać przyjęcie w Botoczanach, za oknami rozległa się muzyka orkiestry wojskowej, na której głos generał-adiutant podniósł się i zameldował królowi, że to kompania honorowa ustawia się do raportu.

Ku zdumieniu Maćka okazało się, że to on we własnej osobie ma przejść z królem przed frontem kompanii.

Wnet cała świta znalazła się na dziedzińcu, gdzie przyboczna kompania królewska stała już w pogotowiu. Z chwilą ukazania się króla i idącego obok niego Maćka kompania sprezentowała broń, a orkiestra odegrała hymny rumuński i polski.

Po odebraniu raportu i przejściu przed frontem kompanii, król, ku niezmiernemu zdumieniu chłopca, zwrócił się teraz wprost do niego, odpinając równocześnie z piersi jeden z błyszczących orderów.

— Za twój wspaniały czyn, najmłodszy polski lotnik, oraz za oddaną z narażeniem życia przysługę naszemu królestwu, mianujemy cię kawalerem orderu Gwiazdy Rumuńskiej.

Kompania znowu sprezentowała broń, orkiestra powtórnie zagrała hymny narodowe, a król własnoręcznie zawiesił na piersiach Maćka promienisty order.

Maciek ani drgnął, choć ogarnęło go silne wzruszenie. Żegnany przez wszystkich serdecznie, wracał autem do hotelu. Ten dzień miał już wolny do wieczora.

Gdy dojeżdżał do hotelu, zatrzymał go w drodze wielki tłum ludzi. Maciek zdumiony spojrział wokoło i po chwili zrozumiał wszystko.

Po odjeździe Maćka do króla Bartek pozostał w hotelu, ale ani myślał czekać biernie na powrót przyjaciela. Ubrał się jak najspieszniej w paradny mundur botoczańskiego strażaka, zadzwonił ostro na służbę i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Gospodarz hotelu wiedząc, że Maćka przywieźli oficerowie królewskiej gwardii, zwracał baczną uwagę na zajęte przez niego pokoje. Toteż na dzwonek Bartka pośpieszył sam i stając we drzwiach, złożył ukłon, przypatrując się z zainteresowaniem mundurowi pana kaprała.

Bartek rozpoczął rozmowę w swoim żargonie:

— Komprandeszti bano direktoro...

— Niech się pan nie trudzi i mówi po polsku, bo ja pochodzę z Czerniowiec, gdzie jest wielu Polaków.

Bartek w pierwszej chwili zaniemówił ze zdumienia, ale szybko się opanował i z radości omal nie rzucił się gospodarzowi na szyję.

— Z nieba mi spadasz, dyrektorze, bo mnie już z języka drzazgi lecą od tego ciągłego łamania, a mam ważną rzecz do załatwienia.

— Jestem dyrektorem hotelu i moim obowiązkiem jest służyć panom wszystkim, czym będę mógł.

— Najpierw, czy pan wie, kim my jesteśmy?

— Dyrektor hotelu musi wszystko wiedzieć, więc i ja zdołałem się już zorientować jak dostojnych ludzi mam zaszczyt gościć. Panowie zapewne przybyli z jakąś ważną misją?

— Z misją? A cóż to, my księża jesteśmy czy misjonarze?

— Ach, ja myślałem o misji politycznej, o ważnych zadaniach.

Bartek szybko się połapał, że popełnił gafę. Chcąc ratować sytuację, roześmiał się, jak mógł najswobodniej, i mrużąc oczy rzekł:

— Słusznie, słusznie, dyrektorze, właśnie w politycznej misji przybyliśmy tu. Jest to jednak tajemnica wojskowa. Prosiłem pana do siebie, ponieważ jest mi potrzebna pańska pomoc, dyrektorze.

— Słucham uważnie, panie attaché...

Bartkowi bardzo pochlebił ten tytuł, więc uśmiechnął się z zadowoleniem i ręką wskazał na fotel.

— Najpierw niech pan usiądzie, dyrektorze.

Dyrektor zagłębił się w fotelu i z zaciekawieniem pochylił się ku Bartkowi.

Tymczasem Bartek w myśli szybko układał plan działania. Wprawdzie przelot do Bukaresztu się udał, ale pan kapral wiedział, że po powrocie do Warszawy czeka go surowa odpowiedzialność za współdziałanie w samowolnym wyczynie Maćka. W wypadku jednak gdyby lot młodziutkiego lotnika stał się głośny, wzrosłyby szanse zmniejszenia kary, a może nawet jej darowania. Zależało to, w pojęciu Bartka, od rozgłosu i sławy.

— Przede wszystkim musi pan wiedzieć, panie dyrektorze, że ten młody lotnik, który w tej chwili je obiad z waszym królem, jest jednym z najwybitniejszych asów lotnictwa i w tych dniach otrzyma nominację na pułkownika. Ja jestem jego adiutantem i szefem-mechanikiem szturmowej eskadry. Samolot, na którym przylecieliśmy, jest czołową maszyną eskadry.

— Co słyszę? — zdziwił się dyrektor. — Ten młody chłopaczek jest pułkownikiem i asem lotnictwa?

— Sam pan przecież widział, jakie honory mu oddają.

— Zdumiewające! Zdumiewające!

— Jeszcze bardziej się pan zdziwi, jak panu powiem, że Warszawa—Bukareszt to był sobie taki pierwszy skok, a jutro będzie drugi skok: Bukareszt—Konstantynopol, a potem... a potem... ech! Kiedy mi nic więcej powiedzieć nie wolno. Rozumie pan, panie dyrektorze.

— Jestem wzruszony, że tyle mi pan powiedział, panie adiutancie.

— Teraz chyba pan rozumie, kto zamieszkał w pańskim hotelu! Banialuja-Ispas!

— Przepraszam, że co?

— Co „że co”?

— Pan adiutant zdaje się powiedział: Banialuja — Ispas?

— No tak, więc co z tego?

— Czy panowie i tam się wybierają?

— Gdzie „tam”?

— No, do Banialui i do Ispas.

— Coś podobnego! A czy ja pana wysyłam do jasnej i do cholery?

— Bardzo pana przepraszam, panie adiutancie, ale nie wiem, czym sobie zasłużyłem na pańską złośliwość.

— Przecież to pan pierwszy wysyła nas do Banialuja-Ispas.

— Za pozwoleniem, ale to pan pierwszy wymienił nazwy tych dwóch miejscowości.

— Miejscowości? — zdumiał się Bartek.

— Przecież Banialuja i Ispas to są dwie podgórskie miejscowości na Bukowinie.

— Ach tak, tak... hm, naturalnie. — Chrząknął Bartek mocno skonfundowany odkry-

ciem znaczenia napisu na słupie przydrożnym w Botoczanach.

— W każdym razie, panie dyrektorze, marszruta dalszego naszego lotu jest tajemnicą.

— Wobec tego czym ja mogę panom służyć, bo przecież pan wspomniał, że oczekuje pan jakiejś pomocy z mojej strony.

Z miny gospodarza Bartek wywnioskował, że trochę przeciąga strunę w swoim kluczeniu, więc postanowił przystąpić wreszcie do rzeczy.

— No, dość żartów. Sam pan widział, powtarzam, kto nas przywiózł i dokąd pułkownik pojechał na obiad. A ja chciałem omówić z panem pewną sprawę. Chodzi o to, abyś mi pan wynalazł jakiegoś obrotnego chłopca, który pod moimi rozkazami zrobi koło naszego lotu trochę szumu.

— Ach, nic łatwiejszego! — Dyrektor zaczął powracać do równowagi duchowej i humoru. — Jednym z portierów u nas jest mój rodak z Czerniowiec, który był w wojsku austriackim w jakiejś propagandzie. Bardzo sprytny młody człowiek, od razu pozna się na rzeczy. Nazywa się Petro Bosko.

— Dawaj go pan tu! A gdybyś mi pan przysłał tymczasem jakiegoś ptaszka domowego w rosoli i jakieś świńskie niemowlę pieczone z kaszą z dodatkiem butelczyny wina, nie odmówię przyjęcia, bo dawno już chciałem się bliżej zapoznać z waszą gastronomią. Rachunek, naturalnie, na reprezentację.

— W tej chwili zarządzę, co potrzeba.

I gospodarz szybko wycofał się ku drzwiom, jeszcze mniej wiedząc, z kim ma do czynienia, aniżeli w chwili gdy wchodził do pokoju. Kiedy jednak otworzył nagle drzwi, na podłogę sypnął się jakiś długi dryblas, który widocznie podsłuchiwał pod drzwiami i nie dość wcześnie odskoczył. Bartek parsknął śmiechem.

— Zdaje się, że o wilku mowa, a wilk już jest w pokoju — powiedział domyślnie pan kapral.

— Ach, ty niezgrabo! Nie możesz odczytać się podsłuchiwania pod drzwiami?! — dyrektor zgañił dryblasa, który gramolił się z podłogi.

— Najmocniej przepraszam za to przedstawienie, ale właśnie przechodziłem...

— Nic nie szkodzi i zdaje się, że to pana miał dyrektor do mnie przywołać?

— Tak, właśnie ja jestem Petro Bosko.

Zdradził się portier z faktu podsłuchiwania, ale Bartek nie zwracając na to uwagi, przystąpił od razu do rzeczy.

— Jesteś mi pan potrzebny.

— Czy jakaś propaganda, reklama, rozróbka?

— Mniej więcej. Manifestacja, demonstracja.

— Ech, co tu dużo mówić, panie szefie. Słyszałem wszystko przez drzwi, bo byłem bardzo ciekaw, i orientuję się sam, o co chodzi.

— Tym lepiej, bo obejdzie się bez długiego klarowania. Chodzi o to tylko, czy potrafisz pan, panie Bosko, zrobić mały huczek koło nas.

— Nikt panu tego lepiej ode mnie, panie attache, nie urządzi. Jestem członkiem zarządu Zrzeszenia Portierów Hotelowych, członkiem Międzynarodowego Klubu Łazików, wiceprezesem Towarzystwa Klakierów Teatralnych, sekretarzem...

— Dość! Dość! Wystarczy! — przerwał Bartek potok wymowy Petra Bosko. — Siadaj pan, panie prezesie, i pogadajmy.

Poufną konferencję przerwał na chwilę kelner, który wniósł na olbrzymiej tacy wspałały obiad i dwie butelki wina. Bartek, co rychlej odprawiwszy kelnera przy pomocy Petra, szybko zmiatał obiad, zakrapiając go sownie winem, a równocześnie wydawał krótkie dyspozycje.

Po upływie godziny Bosko opuszczał pokój z oczami mocno rozognionymi, a w parę minut później w hotelu nastąpiło istne piekło.

Wiść o nadzwyczajnych gościach lotem błyskawicy obiegła wszystkie portiernie hotelowe i jak bomba wypadła na miasto.

Zadzwęczały telefony, zaturkotały auta i dorożki wiozące fotografów i reporterów, jednym słowem, w czasie gdy Maciek jadł obiad przy królewskim stole, kilka słów Bartka i energia Bosko potrafiły poruszyć całe miasto.

Naturalnie, że dla potwierdzenia wiadomości telefonowano i do królewskiej kancelarii. Stamtąd odpowiedziano, że właśnie król przypina order młodziutkiemu bohaterowi.

Legenda o Maćku, podawana z ust do ust, rosła jak na drożdżach. On sam tymczasem w towarzystwie królewskiego adiutanta zbliżał się do hotelu.

Tam czekał już na bohatera cały tłum i na jego widok zawrzał z entuzjazmu. Wymachując czapkami stłoczył się koło wjazdu.

Zaskoczony Maciek, nie wiedząc, co to wszystko znaczy, powstał z miejsca, a wtedy tłum zobaczył błyszczący order na jego piersiach. To dopełniło miary entuzjazmu.

Znalazły się tu też jakieś dwie orkiestry. Każda z nich grała co innego i starała się zająć miejsce przy wejściu do hotelu. Tam zaś stanęła drużyna piłki nożnej hotelarza i ani słyszeć nie chciała o ustąpieniu z zajmowanego miejsca. To dało powód do żywej wymiany słów i kto wie, do czego by doszło, gdyby nie bombardon i helikon drugiej orkiestry, które nagle zahuczały jak stado bawołów.

Tymczasem strapionego Maćka pocieszał jego towarzysz, że to jest zwykły objaw gorącej krwi rumuńskiej ulicy, która czci, jak umie, każdą niezwykłość.

Maciek przypomniał sobie, że przecież i warszawska ulica podobnie zachowywała się zawsze, ile razy zdarzyło jej się przeżywać jakieś niecodzienne zdarzenie.

Nie miał jednak czasu rozmyślać nad tym zbyt długo, bo oto nagle uciszyło się zupełnie, tłum jak by zastygł w oczekiwaniu, kierując swoje spojrzenie na balkon hotelu. Maciek również podniósł głowę do góry. Oto na balkonie stał Bartek Paciorek, w swoim paradnym mundurze, w otoczeniu kilku osób, i kłaniając się na wszystkie strony, dawał znak podniesioną do góry ręką, że chce przemówić:

— Baniałuja... — już rozpoczął swoim powiedzonkiem, ale nagle zaciął się, machnął ręką i wskazując na stojącego obok dryblasa w liberii portiera hotelowego, powiedział krótko:

— Bano prezeseshti Bosakieshti wamo tuti parlando!

Ale zgromadzonym pod hotelem widocznie wystarczyło tych kilka słów przemowy, bo oto w jednej chwili przerwano kordon, kilkaset rąk porwało Maćka i jego towarzysza i wśród grzmotu okłasków wniosło ich do hotelu.

Trzeba było wielu zjednoczonych wysiłków policji i strażaków, ażeby zbiegowisko jako tako uspokoić, do czego zresztą głównie przyczyniło się zamknięcie bramy hotelu.

Mimo to Maciek nie zaznał spokoju do końca tego dnia. Musiał się dawać fotografować rozmaitym fotografom, podczas gdy Bartek z miną dumną i swobodną udzielał posłuchania reporterom najrozmaitszych gazet.

W wywiadach nie omieszkął wtrącić, że celem ich podróży nie jest sam Bukareszt, ale że mają już zapowiedzianą wizytę w Turcji, a później... później... (tu Bartek robił tajemniczą minę)... jeden z afrykańskich królów na głowie staje, żeby tylko ich ściągnąć do siebie.

Początkowo Maciek starał się protestować, ale Bartek od razu zbił go z tropu oznajmiając reporterom, że pan pułkownik czyni to przez skromność.

Nie było innej rady: Maciek musiał do końca wysłuchać wszystkich hymnów na swoją cześć.

Nie można zresztą powiedzieć, że cała ta manifestacja nie sprawiała mu przyjemności. Owszem, dowody wielkiego uznania i serdeczności wzruszyły go, a order nadany przez króla otwierał mu drogę do marzenia o wielkich triumfach i lotach na wspaniałym „Orle”.

O siódmej wieczorem dano mu znać, że dwóch oficerów chce się z nim zobaczyć.

Bartek wyprosił grzecznie wszystkich reporterów i fotografów, a do pokoju wszedł

jeden oficer rumuński i drugi... polski.

Maciek zerwał się na równe nogi. Serce ścisnął mu niepokój: w przybyłym oficerze poznał dobrego znajomego i kolegę ojca, również świetnego lotnika, kapitana Roję, który w chwili odlotu Maćka z Warszawy był na urlopie. Widocznie coś ważnego musiało zajść, skoro go odwołano.

Kapitan Roja, widząc zaniepokojenie Maćka, uśmiechnął się doń serdecznie i wyciągnął obie ręce na powitanie.

— Witam cię, panie kolego, i w imieniu dowódcy oraz całej załogi składam ci serdeczne powinszowania za znakomity lot.

— Czy tylko po to pan tu przyleciał, panie kapitanie?

— O, nie tylko, ale myślę, że dowiesz się przyjemnych dla siebie rzeczy.

Maciek odetchnął z ulgą.

— A jak się ma tatuś?

— Już znacznie lepiej, ale niestety, musi przejść dłuższą kurację. Tymczasem ty...

— Co ja? — zapytał Maciek z nowym niepokojem.

— Jeśli się czujesz na siłach i masz ochotę dalej nadstawiać karku, możesz polecieć ze mną do Konstantynopola.

Maciek nie chciał uszom wierzyć i tłumiąc w sobie radość, odpowiedział spokojnie:

— Właśnie mam w teczce listy...

— Wiem, Maćku. Tu załatwiłeś wszystko jak potrzeba i ja wysłałem już odpowiedni meldunek do naszego dowództwa. W zastępstwie kapitana Tatara spełniłeś rozkaz, jak przystało na jego syna. Ale ponieważ dalsza misja jest bardziej skomplikowana i musi ją spełnić oficer, a ty nim jeszcze nie jesteś, więc dowództwo mnie wysłało. W dowód uznania dla twoich umiejętności i odwagi masz pozwolenie, jeśli ci sił starczy, polecieć ze mną jako pilot prowadzący „Orła”.

— Panie kapitanie, ja na pewno dam radę. Nie jestem wcale zmęczony, tylko tyle, że mi się trochę spać chce.

— Ho, ho, panie kapitanie, on nas obu zakasuje, taki z niego twardy chłop.

To ostatnie zdanie padło z kąta, z którego równocześnie na środek pokoju wystąpił kapral Bartłomiej Paciorek.

— Co widzę, do pioruna! Przecież to kapral Bartłomiej Paciorek — zdumiał się kapitan niezmiernie, widząc kaprała ze swego pułku.

— Ten sam, panie kapitanie!

— A skądżeś ty się tu wziął?

Reszta dnia upłynęła im na opowiadaniach.

IV. BURZA

Wczesnym rankiem obudziły Maćka jakieś odgłosy dochodzące z sąsiedniego pokoju, w którym spał Bartek. Przypomniawszy sobie skłonności pana kaprała do płatania zakawskich figłów, Maciek zerwał się z łóżka i szybko wszedł do pokoju sąsiada. Spóźnił się jednak o parę sekund, bo tam już nikogo nie było. Na stole świeciła się lampka, obok leżała kartka papieru. Maciek sięgnął po nią i przeczytał:

Do Pana Pułkownika Maćka!

Melduję, że jadę na lotnisko dopatrzeć maszyny. Kwadrans przed piątą stawię się według rozkazu.

Kapral Bartłomiej Paciorek

Maciek cisnął zmiętą kartkę do kosza, a sam poszedł obudzić kapitana Roję i zaczął się ubierać. Przed piątą Bartek istotnie się zjawił i zameldował, że był na lotnisku i że wszystko jest w porządku; samoloty skontrolowane, baki z benzyną oraz smary uzupełnione. Gdy opuścili hotel, Maciek wybadał Bartka, czy przypadkiem pan kapral znowu nie zorganizował jakiej manifestacji. Okazało się jednak, że wprawdzie nowy przyjaciel Bartka, pan Petro Bosko, miał zamiar coś urządzić, ale komenda portu lotniczego, ze względu na rozpoczynające się w tej porze loty ćwiczebne, nie chciała nikogo wpuścić na lotnisko.

Toteż gdy rano obaj piloci i mechanik znaleźli się na lotnisku, zastali tam tylko grupę oficerów rumuńskich i polskie samoloty gotowe do startu.

Pierwszy stał wspaniały „Orzeł” o imponującej wprost sylwetce, a obok drugi bojowy aparat, „Jaskółka”, na którym przyleciał kapitan Roja.

Oficerowie rumuńscy z generałem-adiutantem królewskim na czele serdecznie żegnali polskich lotników, życząc im, w myśl zwyczaju panującego wśród lotników całego świata, jak najgorszej drogi.

Pierwszy wsiadł kapitan do swojej „Jaskółki”. Maciek zatrzymał się trochę dłużej, bo ku swemu zdumieniu zauważył, że wewnątrz „Orła” jest znowu załadowane paczkami. Sprytny Bartek, widząc jego zdumienie, mrugnął nań i szepnął:

— To bukareszteńskie podarunki, pułkowniku, tyle tylko, ile się zmieściło.

Po chwili „Orzeł” groźnie warcząc sunął majestatycznie za „Jaskółką”. Długi czas jeszcze oficerowie powiewali czapkami i chustkami, a Maciek spoglądał ku nim, żegnając swoich dorosłych przyjaciół.

„Orzeł” zrównał lot z „Jaskółką” i oba aparaty, wzniosłszy się na wysokość 600 m, szybowały ku południowemu wschodowi. Po kwadransie lotu piękna stolica Rumunii rozplynęła się za nimi w porannej mgle.

Odległość dzieląca ich od Konstantynopola wynosiła około 450 km, więc powinni ją przebyć w niespełna dwie godziny.

Właśnie Maciek wpatrywał się w mapę, chcąc z niej wyczytać, jaką krainę będą mijali, gdy wtem usłyszał koguci głos, piejący mu prosto w ucho:

— Halo, pułkowniku! Wdziej słuchawki na uszy, to nareszcie trochę porozmawiamy.

Maciek założył słuchawki i zapytał opryskliwie:

— Czego sobie kapral życzy?

— Czy pułkownik jest z czegoś niezadowolony?

— Rozumie się! Co znaczyły te wszystkie wczorajsze hece?

— To był spontaniczny wybuch zapalu naszych sojuszników. Dziś pewnie wszystkie gazety o tym piszą, cały świat dowie się o przyjaźni lotniczej polsko-rumuńskiej.

— Ale kto ci na to pozwolił?

— Moje uczucia patriotyczne. Ja miałem zawsze smykałkę do polityki i zobaczysz, synku, co ja jeszcze z ciebie wystrugam.

— Ani mi się waź!

Tymczasem Bartek spojrzął po horyzoncie i zmieniając temat, trochę zaniepokojonym głosem podjął dalszą rozmowę:

— Ale uważasz, pułkowniku, pogoda się zmienia, chyba zanosi się na burzę.

Istotnie, w przeciwieństwie do wczorajszego dnia, bardzo pięknego i słonecznego, ten dzień wstawał chmurny. Powietrze było parne i pełne niepokojącej ciszy. Gdy startowali z lotniska bukareszteńskiego można było jeszcze mieć nadzieję, że się jakoś przetrze i słońce zatriumfuje. Ale teraz od wschodu zaczęły nadciągać zwały ciężkich chmur, a światło ranka zamiast się rozjaśniać, stawało się coraz mroczniejsze.

Przez długi czas lecieli w milczeniu, obserwując zmiany na niebie. Ale widocznie zmiany te zaniepokoiły także kapitana Roję, bo zbliżywszy się do „Orła”, jął dawać Maćkowi znaki sygnalizacyjne.

Bartek, jako kapral-lotnik, obeznany doskonale z sygnalizacją, czytał w mig:

— Lecieć za mną... podnieść lot na 1000 metrów...

Widocznie kapitan chciał uniknąć fali wichru, pędzącej prawdopodobnie tuż nad ziemią.

Wzbili się ponad 1000 metrów i teraz płynęli to nad niskimi, ciemnymi chmurami, to wśród wysokich białawych mgieł, wśród których ledwo mogli się nawzajem obserwować.

Kierując się już tylko busołą i mapą, zwiększyli szybkość do 250 km na godzinę. Tak lecieli niezmiennie dłuższy czas.

Już dawno przelecieli nad szerokim Dunajem i lada chwila należało spodziewać się wlotu nad góry, zwane Małym Bałkanom. Chmury jednak szczelnie zasłaniały im widok ziemi, tak że nie mieli nadziei ujżenia tego pięknego pasma górskiego.

Nagle oba aparaty przechyliły się na prawo jeden po drugim, jakby zalane tą samą falą, i od wschodu przewiał po nich słonawy, wilgotny wiatr. Ale po chwili wróciły do równowagi i dalej leciały wyrównanym lotem.

— Ho, ho, coś się w atmosferze majstruje — piał w tubkę Bartek.

— Czujesz, jaki ten wiatr był słony i mokry? — odpowiedział Maciek.

— Pewnie od morza nas tak zawiąło.

Maciek rzucił okiem na mapę i przekonał się, że Bartek ma rację. Płynęli teraz coraz bliżej morza, od brzegu dzieliło ich na pewno nie więcej jak 30—40 km.

— A wiesz, Bartek, taka burza od morza musi być bardzo ciekawa.

— Wolałbym ją zobaczyć w kinie niż z tego ptaszka na własne oczy.

— Boisz się?

— E, nie. Ale zawsze jak jest burza, to i deszcz, a ja nie lubię moknąć.

— Przecież mamy daszek nad sobą, a zresztą płyniemy nad chmurami.

Nagle Maciek spojrział na „Jaskółkę” i zobaczył, że ta jak by pod tęgim razem przechyliła się w prawo i w tejże chwili olbrzymia fala powietrza przelała się w poprzek „Orła”.

Maciek nachylił skrzydła i przejął wicher pod siebie. Zauważył jednak po wahadłowym ruchu „Jaskółki”, że tym razem nie była to pojedyncza fala powietrza, ale stały wiatr.

Nie chcąc dać się znieść z kierunku, Maciek przechylił aparat, obserwując jednocześnie manewry „Jaskółki”.

Kapitan Roja był doskonałym pilotem, z niejednego już pieca zasmakował chleba i przygód. Wiedząc, że Maciek ma mniej doświadczenia, wysunął teraz aparat przed „Orła”, chcąc mu być wzorem lotu i ruchów.

Wicher wzmagał się z każdą chwilą, a jednocześnie coraz ciemniejsze i gęstsze chmury poczęły otaczać oba aparaty. Ziemia stała się zupełnie niewidoczna. Ciemność tę zaczęły prześwietlać płaskie, olbrzymie błyskawice.

„Jaskółka” wspięła się jeszcze o 500 m wyżej. Przebijając się za nią przez chmury, Maciek kilka razy tracił kapitana z oczu. Nagle, gdy właśnie lot ich znowu przeszedł w poziom i gdy się obaj wyświdrowali z jakiegoś potwornie skłębionego chmurzyska, „Jaskółka” się zachwiała i ryjąc dziobem śmignęła w dół.

— Jezu! Kapitan spadł!

Maciek w jednej chwili szarpnął drążkiem i „Orzeł” przechyliwszy się prawie pod kątem prostym raptownym łukiem wyminął dziurę w powietrzu, w którą trafiła „Jaskółka”.

— Nie krzycz! Kapitan trafił tylko w większą dziurę. Wyrówna, nic mu się nie stanie.

Jak by w odpowiedzi na to, dwie dolne chmury się rozdarły i ze szpary między nimi wysunęła się „Jaskółka” znów pnąca się ku górze.

— Leci!

— Rozumie się!

— Dobrze ci mówić, pułkowniku, kiedy ty siedzisz przy drążku, a ja tu z nudów już drugie pudełko sardynek połykam.

Nie miał jednak Maciek czasu na dalszą rozmowę, bo sytuacja co chwila stawała się groźniejsza.

Szczęśliwy Bartek ufał swemu pułkownikowi i dalej zajadał sardynki. Tymczasem serce Maćka biło gwałtownie, a zaciśnięte zęby świadczyły, że chłopak całym napięciem nerwów panuje nad sobą i nad „Orłem”.

Wiatr, który dotychczas tylko dmuchał, zadął nagle z niezwykłą siłą.

— Przywiąż pasami siebie i mnie. Ale wpraw zasuń szybki w okienkach!

Ledwie Bartek zdążył wykonać rozkaz, a już Maciek zmuszony był do niebezpiecznego manewru: między dwoma uderzeniami wichru musiał nawrócić maszynę i przez jakiś czas dać się nieść niezwykle silnemu prądowi powietrza. Na sekundę przed nim ten sam manewr wykonała „Jaskółka”. Snadź i kapitan Roja uznał dalszą walkę z wichrem za zbyt ryzykowną, a nawet wręcz niemożliwą. Teraz „Orzeł” znalazł się przed „Jaskółką”, którą zresztą po chwili zakryły kłęby chmur. Nawrót udał się znakomicie i lot na grzbiecie wichury stał się od razu o wiele łatwiejszy.

Tymczasem pod nimi burza szalała z nieokiełznaną potęgą, miotając błyskawicami od krańca do krańca horyzontu. Huragan piorunów, ryk wichru i warkot motoru rozdzierały uszy wściekłą, bezustanną kanonadą.

Chmury, przewalane orkanem, rzucały się to w dół, to w górę, a „Orzeł” niesiony wciąż na ich grzbiecie, to spadał na łeb na szyję w zionącą ogniem piorunów burzę, to wyrzucany siłą wichru jak pocisk leciał w górę, by niczym szalony jeździec znów wskoczyć na grzbiet huraganu.

Strzałki wysokościomierza i busoli pod wpływem fal elektrycznych i ciągłej zmiany ciśnienia drgały konwulsyjnie. Maciek zdawał sobie sprawę, że ratunek jego i aparatu polega na jak najszybszym pędzie zgodnie z kierunkiem orkanu.

Rzucany więc siłą burzy to przechylał drążek lub przepychał orczyk i wydobywał „Orła” z niechybnej, zdawałoby się, katastrofy.

Żył na czole i rękach nabrzmiały krwią, policzki płonęły rumieńcami, zęby zacisnęły się z całych sił, ale ciało przymocowane pasem do siedzenia, odczuwało każdy rzut, każdy skok aparatu i natychmiast rękami dyktowało kontra-ruch sterami.

Chodziło teraz tylko o jedno: o jak najdłuższe utrzymanie się w powietrzu i przetrwanie nawałnicy.

Nagle tuż nad nimi, wielką wyrwą wśród chmur, przeleciał ze strasznym warkotem olbrzymi ptak i w tej samej chwili niemal, przebiwszy się przez drugą chmurę, zawirował o kilkadziesiąt metrów niżej. Przerażony Maciek rozpoznał w nim „Jaskółkę”.

— Znowu „Jaskółka”! — wrzasnął do Bartka.

— Tak. Dogoniła nas, ale zdaje się, już po niej!

— Nie znasz kapitana Roi! Na pewno da sobie radę i osadzi „Jaskółkę” jak należy!

A burza zdawała się coraz więcej srożyć. Raz po raz opadali w dziury powietrzne, raz po raz „Orzeł” jak by prężył wszystkie swe mięśnie i nerwy, by się nie dać pokonać. Co chwila aparat oblepiały tak gęste mgły, że na długość ręki nie było nic widać.

Minuta biegła za minutą, a nie było nadziei, by walka miała się wnet skończyć. Od ciągłego napięcia mięśni w rękach paznokcie zaszły mu krwią, a w ustach czuł gorycz i sól.

Dwa dalsze przymusowo wykonane kozły podnieciły go i znów krzyknął:

— Bartek! Masz zegarek?

— Mam!

— Która u ciebie?

— Za piętnaście minut dwunasta!

- Czyżby to już sześć godzin trwało?
- Mnie się zdaje, że sto lat, pułkowniku.
- Boję się, że mnie ręce ustaną.
- O, Jezu! Pułkowniku! Pamiętaj, królem cię zrobię, ale ratuj siebie i mnie!
- Nie wiem, gdzie jesteśmy.
- Wszystko jedno, byle burzę przetrzymać.

W tej chwili ptak szarpnął w górę i znaleźli się w olbrzymim tunelu pomiędzy zwałami chmur. Tunel skręcał ku górze w jakiś lej. Maciek tknięty przecuciem zadarł dziób ptaka i począł z lekka, by nie sprzeciwić się orkanowi, wznosić się ku górze.

Naraz lej z niesłychaną szybkością zamknął się nad nimi. W tej samej chwili z druzgocącym hukiem spadła na nich potężna ulewa, po prostu jeden olbrzymi strumień wody lunął z nieba ku ziemi.

— Koniec! — wrzasnął Bartek do słuchawki.

Jednak wodnista chmura splukała tylko pochylone skrzydła maszyny.

Maciek czując, że orkan miał miotać się, dmie jak gdyby jednostajnie w jednym kierunku, jeszcze bardziej zadarł dziób „Orła”. Zauważył, że chociaż pod nim kłębi się jeszcze czarne rojowisko chmur, wokoło jest jak gdyby spokojnie, a przestrzeń ponad nimi zdaje się nawet rozjaśniać.

Czyżby lecieli tak wysoko, że wreszcie wydostali się z niebezpiecznej i nad wyraz groźnej sfery burzy?

Dowodziłoby tego również pewne uspokojenie się busoli i wysokościomierza, który wskazywał wysokość ponad 1000 m.

— Czy zauważyłeś, pułkowniku, że wiatr wieje teraz w jednym kierunku i że jest gorący i suchy?

— Zauważyłem, panie kapralu.

— A co to znaczy?

— Że dolatujemy do piekła.

— Hi, hi dobra nasza, kiedy żartujesz, synu.

Ale nie do żartów było Maćkowi. Odpowiadając co bądź Bartkowi, usiłował zdać sobie sprawę z nowego położenia. Nisko pod nimi, chyba w odległości najmniej 500 m, ziemię szczelnie zakrywała czarna powłoka chmur. Dokoła nich powietrze się wyrównywało, zlewając się w jednolitą, zamgloną warstwę. Ani jednej błyskawicy, ani kropelki deszczu. Maciek odetchnął z ulgą.

Cóż stąd, że nie wie, gdzie się znajduje, skoro w ogóle jeszcze leci, a „Orzeł” oddycha równym, choć mocno rozgrzanym rytmem. Wściekły atak burzy minął, teraz należy tylko wydobyć się z tej mglistej mazi, opuścić się nisko i odnaleźć jakiś teren dogodny do lądowania. Byle tylko „Orzeł” do końca nie zawiódł.

— Kapral Paciorek, sprawdź zbiornik i motor! — wydał rozkaz Bartkowi, który po przeżytych emocjach zdradzał wyraźną chęć do drzemki.

Po chwili Maciek ku swojemu zdumieniu zauważył, że otaczająca samolot żółtawa mgielka szybko gęstniała. Równocześnie odczuł, że samolot poza własnym pędem jest niesiony silnym prądem powietrza i poprzez warkot motoru usłyszał jakiś jednostajny szum, rozlegający się dokoła maszyny. Zdumiony chłopak odsunął boczną szybkę. W tej chwili wdarł się do kabiny tuman drobnutki, żółtawego pyłu wraz z falą gorącego, suchego powietrza.

Maciek szybko zamknął okienko, ale pył i żar w kabinie już pozostał. Tymczasem mgła na wprost lotu maszyny zaczęła się rozjarzać i w pewnej chwili pokazało się białozółte, rozmazane światło. To słońce przebiło się przez mgłę.

Maciek szczęśliwy, że wypadł poza burzę, zdumionymi oczami oglądał się dokoła.

Nieświadomość, gdzie jest, dokąd pędzi i co się dzieje w powietrzu, które go otacza, jeszcze bardziej go podniecała, więc mimo straszego wysiłku, na jaki się zdobył w czasie

walki z burzą, siedział dalej pochylony nad kierownicą, czując tylko zawrotny pęd aparatu, gnanego potężnym wichrem.

Maciek był młodym chłopcem, pełnym fantazji i pragnienia przygód, więc ta powietrzna awantura, w której wraz ze swym ptakiem zdawał egzamin na pana przestworzy, przejmowała go niemal rozkoszą. Spróbował obniżyć lot, lecz orkan tak silnie pchnął skrzydła od dołu, że Maciek ledwie zdołał uspokoić aparat. Dał więc na razie za wygraną i ograniczył się tylko do utrzymania równowagi na jednakowym poziomie, w kierunku wichru.

I znowu zapatrzonego w przestrzeń wpadł w zadumę. Dopiero po dłuższym czasie przypomniał sobie Bartka i zdziwiony jego długim milczeniem, spojrzął poza siebie.

Na widok kaprała Maciek omal nie parsknął śmiechem.

Oto pan kapral siedział skulony jak trusia i zasłaniając usta czapką oddychał ciężko. Oczy jego były czerwone i z dzikim przerażeniem patrzyły przed siebie.

Maciek, chcąc go pocieszyć, krzyknął do słuchawki:

— Cóż tam, kapralu? Lecimy na księżyc?

— Zdaje się. I co tam będziemy robili?

— Gdzie?

— Ano, na księżycu. Chyba zalecimy w gościnę do pana Twardowskiego.

— A wiesz, Bartku, że my jesteśmy zaledwie 2000 m nad ziemią?

— Pułkownik chyba żartuje! Zaledwie 2000 m. To głupstwo! A tymczasem człowiek dusi się od żaru, jak by na słońce leciał.

— I mnie to dziwi, bo na tej wysokości powinno być zimno.

— Ładnie zimno! Taki żar, że oddychać nie ma czym!

— Strasznie sucho i gorąco!

Maciek czuł, że głód mu zaczyna dokuczać, ale nade wszystko paliło go pragnienie.

Bartek rozluźnił pas, zakrzętnął się koło paczek i po chwili podał mu butelkę herbaty i kawałek sera. Maciek, zaciskając prawą rękę na sterze, lewą przyjął wpierv płyn, a potem jedzenie, z wdzięcznością myślał o Bartku, który przezornie zaopatrzył samolot w cenne teraz zapasy.

Po zaspokojeniu głodu odczuł obezwładniające zmęczenie. Widocznie to samo działo się z Bartkiem, bo zameldował przez słuchawkę:

— Pułkowniku, jestem tak zmęczony naszą walką z burzą, że chyba zdrzemnę się trochę. Niech więc pułkownik teraz sam trochę maszynę poprowadzi!

— Dobrze, kapralu. A przymocuj się pasami, abyś nie spadł z fotela — odpowiedział mu Maciek, nie zważając na to, że pan kapral już dzielił się odniesionym przez Maćka triumfem.

Bartek zatem począł drzemać, a Maciek zacisnął zęby i próbował opanować ogarniającą go coraz bardziej senność. Jednak nerwy i mięśnie chłopca, nadwerężone długotrwałym zmaganiem z rozszalałym żywiołem, poczęły się gwałtownie domagać odprężenia i wypoczynku. Spuchnięte powieki, raz po raz opadały na piekące oczy. Ale przy pierwszym lekkim zamroczeniu aparat szarpnął się znowu, więc Maciek całą siłą woli zmusił się do czuwania i postanowił za wszelką cenę opanować szaleńczą pokusę snu.

Powietrze jednak z każdą chwilą się pogarszało. Maciek miał wrażenie, że na piersi kładzie mu się jakiś ciężar, jak by zamiast tlenem, oddychał rozżarzoną pyłem piasku.

Według busoli kierunek lotu był południowo-zachodni. Maciek czując, że go siły coraz bardziej opuszczają, postanowił zdać sobie dokładnie sprawę, gdzie się mniej więcej znajduje i ostatecznie wylądować.

Nie przeciwstawiając się orkanowi, który dał teraz prawie prosto ku południowi, zmniejszył szybkość, chcąc doprowadzić stopniowo do zamknięcia motoru, gdyby to się nie okazało niebezpieczne.

Jednego się obawiał, a to, niestety, z każdą chwilą zdawało się coraz pewniejsze. Oto

mniej więcej, obliczając według mapy, busoli i kierunku lotu oraz jego szybkości, przekraczającej dzięki wichrowi 400 km na godzinę, wynikało, że obecnie znajdują się dość głęboko nad lądem Afryki.

Rezultat zahamowania pracy motoru był już widoczny; lot „Orła” coraz bardziej się obniżał i teraz wysokościomierz wskazywał poniżej 1000 m. Lecz równocześnie z obniżeniem lotu, powietrze stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Jasny pył z górnych warstw zmienił się w drobny rozżarzony piasek, który mimo zasuniętych okienek wdzierał się do wnętrza kabiny, tamował oddech i kłuł w oczy jak szpilkami.

Maciek przechylając się lekko, spozjrzał w dół. Na razie nie mógł się zorientować w tym, co zobaczył. Pod nim rozciągała się jednostajna żółta płaszczyna, po której miały się jakieś szaro-żółte cienie, podobne do olbrzymich trąb i wirów. Nigdzie skrawka zieleni, nigdzie drzewka ani rzeczki, choć zdawało się, że ta płaszczyna jest lądem.

Maciek, walcząc z falami zmiennego w tym pasie wiatru, starał się sprowadzić aparat jeszcze niżej. Nagle, na wysokości 500 m, jedna z lotnych chmur, jak by oderwanych od ziemi, wzniosła się ponad aparat i z wysokości kilkudziesięciu metrów runęła zwałem rozżarzonego piasku na „Orła”. Wicher załomotał o skrzydła. Czujny Maciek na sekundę przed wypadkiem dodał gazu i „Orzeł” po spadku do 350 m począł się znowu podnosić.

Ale tych kilka chwil wystarczyło, by rozpalone jak ogień powietrze, zmieszane z piaskiem, przeniknęło we wszystkie części samolotu i nawet w pory ciała lotników. Kroplisty pot wystąpił na czoło Maćka, ogarnęło go dziwne omdlenie, oparł się bezwładnie o poręcz siedzenia, a ręka zaciśnięta na sterze, zdawało się, lada chwila odmówi posłuszeństwa.

Na szczęście, szalony żar i uderzenie trąby powietrznej obudziły Bartka. Przerazony kapral spojrzawszy wokół siebie i nie rozumiejąc co się dzieje, ryknął:

— Pułkowniku! Gdzie my jesteśmy?!

Nie było żadnej odpowiedzi.

Nie zwlekając i nie pytając po raz drugi, Bartek odwiązał się w jednej chwili i zaglądnął w twarz

Maćka. Ten blady jak ściana, z przymkniętymi, szklistymi oczami, siedział nieruchomo; mimo omdlenia ręka jego pozostała na sterze, tak że aparat pracujący już teraz całą siłą motoru wznosił się znowu z kierunkiem orkanu ku górze.

Bartek szybko sięgnął po butelkę z herbatą i przytknął ją do ust Maćka, jednocześnie drugą ręką przytrzymał ster. Maciek pił łapczywie dobrze podgrzany w gorącym powietrzu napój. W pewnej chwili otworzył oczy, oprzytomniał i pochylił się nad sterem. Bartek nacie-rał mu skronie i czoło. Przyniosło to Maćkowi pewną ulgę, tym bardziej że „Orzeł”, jak by czując czyhającą na dole śmierć w rozżarzonego piasku, wznosił się pod ostrym kątem ku górze. W górnych warstwach powietrza żar stawał się nieco słabszy, było w nim znacznie mniej piasku i orkan dał jednostajniej.

W ten sposób wzniesli się znów na wysokość 2000 metrów. Bartek widząc, że Maciek już całkowicie oprzytomniał, usiadł na swoim miejscu i zapytał przez słuchawkę:

— Pułkowniku najdroższy, gdzie my jesteśmy?

— Zdaje się, że nad pustynią Saharą.

— Nad Saharą?! Cóż my teraz zrobimy?

— Sam jeszcze nie wiem, co robić.

— Zawrócić nie można?

— Połamałibyśmy skrzydła, zanim byśmy przelecieli dziesięć metrów.

— No, to co będzie?

— Wylądować też nie można.

— Dlaczego?

— W czasie burzy? Na pustyni? Oj, kapralu, pytasz bez namysłu. Toż to pewna śmierć.

— Więc co będzie?

— Ja myślę, że trzeba razem z wichrem uciekać.
— Dokądże uciekniemy?
— Może trafimy na jaką oazę. Boję się tylko, by nam benzyny nie zabrakło, bośmy jej mieli na osiem godzin lotu.
— Nie, pułkowniku! Wystarczy na szesnaście godzin, bo mi się udało w Bukareszcie napelnić wszystkie baki rezerwowe i trzy banie załadowałem jeszcze osobno. A oliwy i smarów też mamy spory zapas.
— Jak mogłeś, Bartku, zabierać bez mego pozwolenia...
— Ba! Miałem biegać do hotelu, kiedy oni wprost błagali, abym raczył im zrobić tę przyjemność. Teraz widzisz sam, jak to dobrze być uprzejmym i nie odmawiać, gdy ktoś daje.
— Przelej więc benzynę, bo będziesz musiał pomóc mi oczyścić przyrządy z piasku. I tak cud boży, że silnik pracuje bez defektu.
„Orzeł” jeszcze raz zdawał egzamin ze swoich niezwykłych zalet. Odbывał teraz próbę wytrzymałości i największej szybkości. Wprawdzie Maciek wiedział, że maksimum szybkości „Orła” wynosi blisko 600 km na godzinę; ale dotychczas nie ośmielił się przekroczyć granicy 500 km. Teraz, nie mając innej drogi wyjścia z rozpaczliwej sytuacji, zdecydował się powierzyć Bartkowi oczyszczenie maszyny z piasku, a sam chciał przyspieszyć lot i szukać terenu do lądowania.

V. W KRAINIE NIAM—NIAM

Minęła jedna, druga i trzecia godzina szalonego lotu, a krajobraz nie zmienił się ani na jotę.

Ręce Maćka zdrętwiały od ciągłej pracy i naprężenia mięśni. Ścierpnięte nogi wydawały mu się nabite tysiącami szpilek, najmniejszy ruch wywoływał nieznośny ból. Ale zaciśnięte usta i zacięte zęby świadczyły o uporze, o woli wytrwania do ostateczności.

Bartek, zajęty przez tych kilka godzin oczyszczaniem przyrządów i powierzchownym odkurzaniem dostępnych części maszyny, nie zwracał uwagi na Maćka. Mogąc się dość swobodnie poruszać i czując się użytecznym, pan kapral nawet odzyskał humor.

Tymczasem wicher dokoła aparatu zaczął słabnąć. Najpierw zmienił kierunek i szumiał już tylko z jednej strony, potem stopniowo ucichał i zdawał się opadać w dół, po czym nagle ustał zupełnie. Aparat, niczym łódź, wpłynął z bieżącego prądu w cichy bezmiar powietrza. Maciek szybko skontrolował wiatromierz.

— Bartek, wiatr przestał wiać!

— Odstukaj w suche drzewo, pułkowniku, bo to może być zwykły czajnik.

Ale Maciek zamiast odstukiwać wołał sprawdzić, czy istotnie nie jest to tylko jakieś złośliwe zaczajenie się orkanu. Przechylił skrzydła i lekkimi skosami począł obniżać lot. Ta sama cisza do 1000 metrów utwierdziła go w przekonaniu, że albo przebili się przez sferę passatu, albo nareszcie orkan się uspokoił. Na tej wysokości było znacznie cieplej, ale powietrze mniej rzadkie pozwalało płucom lżej oddychać. Nie widząc żadnej zmiany w układzie terenu, Maciek na razie utrzymywał obecną wysokość lotu.

— No, kapralu, zdaje się, że piekło jest już za nami. Nie wiadomo tylko, jak długo teraz będziemy w czyścucu. Szkoda, że nie mamy mapy Afryki, żeby przynajmniej w przybliżeniu wiedzieć, gdzie jesteśmy i czego należy się spodziewać.

— Jak to? Przecież na mapce jest jeszcze Morze Śródziemne i kawałek Afryki.

— No tak, ale z tego kawałeczka możemy tylko tyle wyczytać, że nad Afrykę wlecie-

liśmy gdzieś między Aleksandrią a El Sollumem. I stamtąd lecimy według busoli wprost na południe.

— I lećmy dalej, Maćku, bo jak zmienimy kierunek, to możemy znowu wpaść w jakiś bigos.

Nie zmieniając szybkości, gnali więc dalej w tym kierunku na południe.

Minęła znowu godzina. Na zegarku dochodziła już piąta po południu.

— Aby nas tylko noc nie złapała na tej pustyni, bobyśmy już zupełnie nie widzieli, co z sobą zrobić — oznajmił Bartek.

Wtem Maciek, przecierając obolałe i spuchnięte oczy, począł się wpatrywać w linię horyzontu przed sobą.

— Bartek! Spójrz no! Przed nami, zdaje się, czernieją jakieś zarośla.

— Jak Boga kocham, zarośla, pułkowniku!

— A jeśli zarośla, to tam pewno będzie i woda, i jaki taki chłód!

— A jak woda i chłód, to pewnie i ludzie się znajdą!

— Ależ, Bartek! To Afryka! Zamiast na ludzi, możemy trafić na lwy i słonie.

— Et, co by tu lwy robiły bez ludzi?

— Jak to co?

— A co by żarły?

— Nie martw się za nich. Już tam one dają sobie radę.

Linia zarośli zbliżała się coraz bardziej i niedługo samolot wzleciał nad suchy i spalony, kamienisty step.

Tu i tam ze zwałów kamienia sterczały cierniste krzaki. Wciąż jeszcze nie było widać choćby śladu jakiegś rzeki czy większych drzew. Tylko tyle, że równy, piaszczysty teren przeszedł w kamienne pagórki, gdzieniegdzie dość wysokie, strome i rozległe. Powietrze nad rozpalonymi kamieniami i skałami falowało tak silnie, że kontury ich, chociaż widoczne z tak znacznej wysokości, zupełnie wyraźnie drgały. Mając nadzieję, że niedługo znajdzie się przecież teren odpowiedni do lądowania, Maciek obniżył lot do 300 metrów.

Fala gorąca w jednej chwili oblała samolot i wypełniła jego wnętrze. Równocześnie wzmożyły się drgania zarysów kamieni i zarośli. W pewnym miejscu teren nagle zmienił barwę, a na piaszczystych lachach ukazały się bajora i błota. Widać było, że bardzo niedawno przeszła tędy solidna ulewa.

— Woda! Woda! — wrzeszczał Bartek wymachując rękami.

— Spójrz w lewo, Bartek. Widzisz to stado zwierząt?

— Zobaczyły nas! Wieją, że tylko pośladki im błyskają!

— To antylopy. Musiały przerazić się ryku motoru.

— Patrz! Patrz! Na prawo inne stado! Też wieją!

— To bawoły. Trzeba teraz dobrze patrzeć, bo pewnie gdzieś niedaleko znajdzie się i jakaś wioska.

— Byleśmy tylko nie natrafili na ludożerców!

— Radziłbym ci jednak, szanowny kapralu, na wszelki wypadek baczyć na swoje żeberka i połądwicę.

— Widzę, pułkowniku, że mało ci straszenia bawołów, kiedy i do mnie się zabierasz. Ale ja nie o siebie się martwię. Bo widzisz, rozmawiałem kiedyś z jednym prawdziwym Murzynem, który występował w cyrku, i on powiedział mi, że ludożercy cenią sobie przede wszystkim języczki i mózdzki szczeniaków ludzkich. W razie czego więc wybór między nami dwoma będzie dość łatwy.

— Może masz rację. Mówisz tak inteligentnie, że potrawa z twojego języka byłaby nawet dla ludożerców ciężko strawna.

— Ale humorek jest. Co to znaczy, pułkowniku, lecieć z takim jak ja szczęściarzem.

— Tylko wśród Murzynów się nie chwał, bo cię jakiś królik powiesi na swoich

drzwiach jako amulet.

— Tfu, Maćku! Przestań tak żartować, boś gotów i przy nich głupstwo palnąć, a oni mogą to wziąć na serio. A wtedy nie wiem, czy byś tak łatwo dał sobie radę beze mnie.

Lot teraz zdawał się bardzo szybki. Wrażenie to spowodowane było przede wszystkim ciągłą zmianą i bliskością obrazów. W pewnej chwili skąpe i mizerne dotychczas zarośla zaczęły gęstnieć. Tu i tam zamigotały błękitne zwierciadła wody, otoczone wysokimi trawami, wreszcie ukazały się krzaki i drzewa, a od horyzontu zbliżała się gęstwa zielonego lasu. Coraz liczniejsze stada zwierząt na głos motoru rozbiegały się gromadami na wszystkie strony.

Piaszczysty teren, pełen kamienistych zwalisk, przeszedł z wolna w soczystą zieleń, która wkrótce rozwinęła się w bujny, przeraźliwie gęsty las. Ale dotychczas nie zauważyli nawet śladu jakiegś wsi czy ludzkiego osiedla.

— Pułkowniku, może byśmy zawrócili i lądowali gdzieś nad rzeką, bo przecież ta puszcza połknie nas jak komary.

— Musimy odnaleźć jakąś wieś, aby dowiedzieć się gdzie jesteśmy.

— Jak wrócimy do domu, będę musiał twemu ojcu podszeptać, aby cię wypisał ze szkoły, bo to tylko szkoda czasu. Musiałeś się przecież uczyć o Afryce, a teraz ci ludzi potrzeba, aby się czegoś dowiedzieć.

— Zamiast bawić się w mentora, lepiej popatrz w lewo. Widzisz tę siwą wstążkę, to zdaje się dym!

— Jak Boga kocham, dym! Pułkowniku, cofam wszystkie oszczerstwa!

Biorąc kierunek na siwy słupek mgielki, wysnuwający się spośród drzew, już w kilka minut później Maciek wleciał nad sporą polanę, na której z jednej strony sterczało skupisko charakterystycznych spiczastych chat murzyńskich. Lecąc teraz na wysokości zaledwie 100 m, Maciek zmniejszył równocześnie szybkość i zaczął okrążyć polanę, aby upatrzeć na niej dogodnie miejsce do lądowania. Nagle oczy ich uderzył niesamowity widok. Oto dość obszerny plac, leżący tuż przed wsią, roił się od czarnych postaci, które pierścieniem otaczały olbrzymie ognisko i wykonywały jakieś rytmiczne ruchy. Równocześnie przez parne i przesycone zapachem żywicy powietrze dotarły do uszu Maćka i Bartka równie rytmiczne, ponure i monotonne dźwięki jakiegś niesamowitej pieśni, śpiewanej w takt huczących bębnow.

— Żarty na bok, pułkowniku! Zdaje się, że trafiliśmy naprawdę na ludożerców.

— Tak sądzisz, kapralu?

— Nie tylko sądzę, ale widzę!

— Co widzisz?

— Przypatrz się dobrze: przy samym ognisku sterczy człowiek, przywiązany do pala.

— To biały!

— Co to może być?

— Nie wiem. Ale na razie nic nie świadczy o ludożerstwie...

Tymczasem ryk motoru zwrócił uwagę tubylców. Czarny tłum podniósł głowy do góry i na widok olbrzymiego, widocznie nie znanego sobie ptaka, zastygł na razie w bezruchu i ciszy. Maciek obniżył lot i zdawało się, że leci prosto w tłum. Czarna masa ludzka, ogarnięta panicznym strachem, w jednej chwili zaczęła uciekać w gąszcz lasu. Maciek na wszelki wypadek okrążył jeszcze dwa razy polanę, po czym zamknął motor i po chwili „Orzeł” toczył się po równej jak stół polanie w stronę ogniska.

— Ty, Bartek, czuwaj przy karabinie, a ja tymczasem odwiążę tego biedaka!

Opanowując resztką sił i energii potworne znużenie, Maciek zeskoczył z samolotu i podbiegł do skazańca.

Był to istotnie biały człowiek, chociaż miał twarz spaloną słońcem i wichrami. Nie ogolone, zapadłe policzki pokryte były skołtunionym zarostem, a po bokach potężnego nosa jarzyły się głęboko osadzone ciemne oczy.

Maciek rozciął pęta i delikwent osunął się bezwładnie na ziemię, szepnąwszy tylko:

— *Oh, mon Dieu, mon Dieu...**

Widząc, że tubylcy na razie nie myślą wyjść z lasu, Maciek przywołał Bartka i obaj zajęli się przede wszystkim cuceniem omdlałego. Po upływie pół godziny ocalony mógł już podnieść się o własnych siłach. Ściskając ręce Maćka i Bartka, dziękował im po francusku najgorętszymi słowami.

Francuszczyzna Maćka nie była, jak wiemy, poprawna, ale mimo to już po chwili zawiązała się zwawa rozmowa.

— Gdzie my jesteśmy?

— Ta kraina nazywa się Niam-Niam, zamieszkują ją Murzyni. Są to północne krańce Konga Belgijskiego.

— A kto pan jest i jakim sposobem wpadł pan w ich ręce?

— Jestem Belgiem francuskiego pochodzenia i nazywam się Alfred de la Roche. Z zawodu jestem lekarzem, a z zamiłowania podróżnikiem i badaczem przyrody. Te zamiłowania zagnały mnie aż w te strony, nad rzeczkę Bili, która jest małym dopływem wielkiej rzeki Mbomu-Ubangi. Nad tą rzeczką kilka lat temu udało mi się założyć przy faktorii handlowej stację naukową dla badania tej części Afryki. Jak tu żyłem i co robiłem, opowiem wam może przy innej okazji. Na razie dość wam wiedzieć, że tubylcy napadli na faktorię, obrabowali całe osiedle, wymordowali zwierzęta. Ludziom, na szczęście, udało się uciec, mnie zaś wprowadzili aż tu, do swojej wsi. Męczyli mnie, bym im zdradził termin nadejścia pewnych towarów. Nie mogąc jednak nic ode mnie uzyskać, dziś właśnie odbywali sąd nade mną.

— Przecież tu muszą być jakieś władze. Sam pan mówił, że kraina ta należy do Belgijskiego Konga.

— Niby tak, ale administracja nie do wszystkich zakątków sięga. Przylecieliście samolotem i nie zdajecie sobie sprawy, w jak niezwykle niedostępnej krainie jesteście. Są to bodaj najdziksze okolice z całej Afryki.

— A dlaczego tubylcy napadli na waszą faktorię?

— Przybyliście akurat w czasie niezwykłego podniecenia wśród tutejszych plemion i buntu przeciwko białym, którzy tu sobie zbyt ostro i drapieżnie poczynają. Ale o tych sprawach będziemy mieli jeszcze czas porozmawiać. Tymczasem pozwólcie i mnie się zapytać, jakim cudem panowie tu się znaleźli, bo ze swej strony, muszę to uważać za prawdziwy cud.

Podczas gdy Maciek w krótkich słowach opowiadał Belgowi o swoich przygodach, Bartek krzątał się koło jedzenia. Po chwili wszyscy trzej zajadali zapasy botoczańskich i bukareszteńskich prowiantów, gwarząc przy tym z wielkim ożywieniem.

Tymczasem mieszkańcy wioski przepadli na dobre w dżungli i nie dawali znaku życia.

Maciek, mimo przebytych trudów i zmęczenia, wcale nie uważał, że przygoda jego znalazła bezpieczne zakończenie. Wprost przeciwnie, zdawało mu się, że dopiero teraz rozpocznie się seria niespodzianek. Toteż mimo rozmowy z Belgiem, ani przez moment nie przestawał obserwować lasu i miał się na baczności.

— Widzę, młody przyjacielu, że obawiasz się napaści ze strony tubylców — zwrócił się de la Roche do Maćka, zajęty w tej chwili rozmową z Bartkiem, który mówił nie najgorzej po francusku (jak się okazało, we wczesnej młodości przebywał kilka lat u swego stryja, który był górnikiem we Francji).

— Trochę mnie dziwi ten spokój. Wiś, zdaje się, zupełnie opustoszała — odpowiedział Maciek.

— Tak przeraziłeś jej mieszkańców swoim pojawieniem się z nieba, że aż do nocy żaden z nich nie będzie śmiał nosa wychylić z puszczy. Ale każdy nasz ruch jest dokładnie obserwowany i omawiany. Od tego, co teraz zrobimy i jak się urządzimy, zależy nie tylko ta

* *mon Dieu* (franc.) — mój Boże
noc, ale i dalszy ciąg tej niezwykłej przygody.

— A czy pan zna ich język?

— Owszem, nawet dość dobrze. Nie jest to żaden czysty język, posługują się oni mową kalabarsko-moluwiańską z dość dużą domieszką wyrazów z narzecza Kikongo.

— Czyli od biedy będziemy się mogli z nimi porozumieć.

— Eh, co do tego — wtrącił Bartek — nie ma żadnych obaw. Do jutra wieczora będę znał ich język.

— Zdaje mi się, że na razie musimy przede wszystkim zabezpieczyć samolot i pomyśleć o jakim takim wypoczynku.

— Zupełnie słusznie. Noce zapadają tu bardzo szybko, a w ciemnościach o niespodzianki nietrudno.

— Więc nie marudźmy!

— Przedtem jednak zgódź się, przyjacielu, na jedną propozycję. Otóż, jak już wspomniałem, wszystko, co się tu dzieje, jest bardzo pilnie obserwowane z zarośli. Zachowanie się tubylców świadczy o tym, że całe zdarzenie uważają oni za coś nadprzyrodzonego, a ty w ich wyobraźni, a także ze względu na swój wiek, zdobyłeś sobie już na pewno miano jakiejś potężnej i niezwykłej istoty. Otóż choćby dla naszego dobra powinniśmy ich w tym przekonaniu utwierdzić. Dlatego też zgódź się, że i ja, i twój kompan będziemy ci oddawali szczególną cześć i honorowali ciebie jako naszego rozkazodawcę.

— O — wyrwał się Bartek — to się samo przez się rozumie! Wiedz pan, że ten młody as jest pułkownikiem powietrza!

— Ach, cieszy mnie to ogromnie, jednak honory, które będziemy oddawali pułkownikowi muszą być ceremonialne, jaskrawe i trochę inne, aniżeli te, które świadczymy sobie wśród białych.

Po krótkim porozumieniu, co i jak należy czynić, Roche i Bartek powstali z miejsc i oddali Maćkowi głębokie ukłony, rękami dotykając ust, czoła i piersi. Następnie wszyscy trzej udali się do „Orła”, by go przynajmniej z grubsza oczyścić z piasku i kurzu. Bliższe oględziny, ze względu na zbliżającą się noc, musiano odłożyć do jutra. Maciek tylko pośpiesznie stwierdził, że benzyny i oliwy jeszcze jest pewien zapasik.

Teraz zabrali się do obejrzenia wsi. Składała się ona z kilkudziesięciu prostokątnych chat ulepionych z gliny, pokrytych stożkowatymi dachami z gęsto wiązanej trawy. Wejścia do tych bliźniaczo podobnych chat pozasłaniane były matami z rafii lub skórami zwierząt. Chaty te skupiały się dokoła dość dużego placu, mocno wydeptanego, z olbrzymim drzewem mangowym pośrodku, w pobliżu którego tliło się jeszcze ognisko. Jedna chata, mieszcząca się po drugiej stronie placu, była znacznie obszerniejsza od pozostałych, otoczona dokoła czymś w rodzaju podsienia lub otwartej werandy. Za tą chatą znajdowała się dość obszerna stodoła. Była to zagroda wodza, którą teraz postanowiono zamienić na wspólną kwaterę. Dodać należy, że wieś od strony puszczy otoczona była gęstym, wysokim ogrodzeniem z kolczastej tarniny. Ogrodzenie to stanowiło doskonałe zabezpieczenie przed napaścią dzikich mieszkańców dżungli, wieś bowiem posiadała dostęp jedynie od strony polany i zapewne dostęp ten przez mieszkańców był dość bacznie strzeżony. We wsi trzej biali nie spotkali ani jednej ludzkiej istoty. Snadź dzicy wraz z żonami i dziećmi zaszyli się w gąszczu i należało przypuszczać, że znajdują się gdzieś w pobliżu. Po zagrodach zostało tylko trochę kóz i kur, których uciekinierzy nie zdążyli zabrać z sobą.

W godzinę później kwatera w chacie królika była już urządzona. Z „Orła”, który szczęśliwie stał o kilkanaście zaledwie kroków od tej chaty, przeniesiono dwa karabinki oraz cały zapas prowiantów. W jednym kącie Bartek założył spiżarnię, zaopatrzoną w konserwy, sardynki, suszoną wędlinę, sery i chleb. Na wszelki wypadek reflektor umieszczony na „Orle” i karabin maszynowy przygotowano do natychmiastowego użytku.

Ogniska przed chatą nie rozpalono, gdyż w ekwipunku „Orła” znalazły się nawet lampki elektryczne z naładowanymi bateriami.

Umówiono się, że Maciek, najbardziej zmęczony, powinien spać całą noc, wartę zaś będą pełnić na przemian pan de la Roche z Bartkiem.

Pierwszą wartę objął Belg, podczas gdy Maciek i Bartek, znużeni śmiertelnie, legli na posłaniu z liści i już po chwili zapadli w sen.

VI. KRÓL POWIETRZA

Zapadła podzwrotnikowa noc, a wraz z nią skończyła się panująca wokół cisza. Życie w tej części Afryki rozbrzmiewa dopiero w nocy; w dzień zwierzęta i ptaki przeważnie śpią. Noc to pora łowów i walk, wędrówek do wodopojów, pora zasadzek i niespodziewanych napaści. Toteż wraz z zapadłą ciemnością, w trawach polany rozpoczął się koncert tysięcy świerszczy i koników polnych o niezwykle świdrującym głosie, przerywanym coraz częściej krzykami nocnych ptaków czy też mrozącym krew w żyłach rykiem zwierząt lub ponurym wyciem szakali i szczekaniem hien.

Koncert ten brzmiał tak niesamowicie i potężnie, że Maciek otworzył oczy i wpatrując się w ciemność przez dłuższą chwilę usiłował zdać sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje i co to za muzyka. W szybkich, migotliwych obrazach przewinęły mu się w pamięci ostatnie zdarzenia. Już wiedział, że to Afryka przemawia tym koncertem z ciemności. Wprawdzie tuż obok niego furkotliwym chrapaniem Bartka przypomniawszy się również Europa, ale jakżeż niewinnie i bezbrinnie brzmiało chrapanie strudzonego kaprała wobec tamtej żywiołowej symfonii.

W umyśle Maćka, wsłuchanego w nocny koncert puszczy, poczęły się rozwijać wizje oczekujących go przygód. Przeczytał przecież wiele powieści podróżniczych, był w kinie na kilku obrazach z życia wnętrza Afryki i jej mieszkańców, przypomniawszy sobie, jakie zwierzęta zamieszkują tę część świata. Ale to wszystko razem wobec otaczającej go rzeczywistości zdawało się nikłe i bezbarwne. Szkoła, tatuch i dom, całe dotychczasowe życie Maćka było jakieś dalekie, zamglone, jakby rzeczywistość dopiero obecnie nastąpiła. Wczorajsza przygoda, szalony lot przez burzę i orkan piasku były tylko wstępem do pełnego niespodzianek życia w zadziwiającej krainie — niezmiernie bujnej, zielonej, przepięknej a równocześnie groźnej, dzikiej i niebezpiecznej.

Po wczorajszej straszliwej próbie sił i wytrwałości Maciek jeszcze mocniej uwierzył w swoje szczęście. Ufał teraz niezłomnie, że z tej zawilej przygody wyjdzie cało i zwycięsko. Miał przecież wspaniałego, nieocenionego „Orła”, miał wesołego, dzielnego towarzysza, Bartka, a teraz przybył im znawca tych stron, badacz, i jak się zdaje, człowiek o wybitnym umyśle, a przy tym lekarz, de la Roche. Nie był więc Maciek sam i czuł się zdolny do stawienia czoła wszelkim niebezpieczeństwom.

Zaciekawiało go jednak niezmiernie, jakim to niebezpieczeństwem przyjdzie im jutro stawić czoła, czego trzeba będzie jeszcze dokonać. Usiłował je sobie wyobrazić, gdy nagle uwagę jego zwróciły zupełnie nowe tony, coraz wyraźniej wybijające się na tle nocnego koncertu. Było to głuche, monotonne, rytmiczne dudnienie. Zdawało się, że gdzieś w ciemnej nocy powstaje coś groźnego, że narodziła się w głębi puszczy jakaś wieść i teraz na falach powietrza chce dotrzeć w zakamarki gąszczy, poprzez płataninę drzew, najskrytszymi ścieżkami dojść do polan, ponad dzikimi rzekami i zaroślami dostać się do osiedli ludzkich i rozlecieć się w tej dzikiej krainie, rozmnożyć w tysiące wieści: że biali na olbrzymim, żelaznym ptaku... że napadli na wieś...

W rozgorączkowanej wyobraźni Maćka snuły się już obrazy krwawej walki i obrony,

niemal słyszał wrzask dzikich, widział nieprzeliczone tłumy czarnych otaczających tę opustoszałą wieś — gdy nagle oślepiające światło poraziło jego oczy i Maciek usiadł na posłaniu.

— Co się dzieje?! — krzyknął gotując się już do walki. Ale równocześnie spostrzegł, że wszystkie majaki znikły, tylko koncert dżungli trwa, chociaż już znacznie spokojniejszy, a dalekie dudnienie bębnow „tam-tam” ledwie od czasu do czasu dochodzi.

— Nic. Na razie spokój — odpowiedział mu głos de la Roche'a. — Zwykła rzecz: uciekinierzy z tej wsi dotarli do sąsiadów i teraz rozgłaszają wieść o was po całej krainie. Ale możliwe jest również, że to tylko odgłosy nocnych tańców, odbywających się u niedalekich sąsiadów. Pod pokrywką takich tonów może się tam też odbywać rada wojenna. Dziś jednak możemy spać spokojnie, przed świtem nie zdążą, a w dzień nie będą śmieli nas zaatakować. Wolałbym wprawdzie nie budzić pana kaprała, ale ostatnie przejścia tak mnie wyczerpały, że wprost lecę z nóg, a mimo wszystko do świtu musimy być ostrożni i pilnować się.

— Jestem tego samego zdania — odpowiedział Maciek — tym więcej, że dzicy, o ile wiem, są niezmiernie ciekawi i tajemniczy, olbrzymi ptak na pewno będzie ich bardzo niepokoił.

Po chwili Bartek, obudzony dość bezapelacyjnie przez Maćka, objął wartę, a miejsce jego na posłaniu zajął doktor de la Roche.

Doktor wyciągnął się wygodnie, ale mimo dużego zmęczenia nie usnął od razu. Odczuwał on, być może silniej od przybyszów, grozę sytuacji i chciał dokładnie zapoznać z nią Maćka.

Toteż zamiast zamknąć oczy, ledwie się ułożył, podjął dalszy ciąg rozmowy:

— Trzeba ci wiedzieć, młody przyjacielu, że ten cały spisek i bunt przypisuję robocie pewnego hultaja, Mustagi, który był u mnie służącym. Pewnego dnia uciekł z faktorii, a wkrótce po tym sprowadził na nas napaść współplemieńców.

— Czy pan mu zrobił coś złego?

— Wprost przeciwnie, chciałem go ratować przed śmiercią.

— Nie rozumiem...

— Otóż największą plagą Afryki centralnej, szczególnie krain położonych wśród mokrych dżungli, nad nieprzeliczonymi rozlewiskami rzek i bagien, jest mucha tse-tse, której ukąszenie powoduje śmiertelną śpiączkę. Z tą straszną chorobą walczą całe ekspedycje lekarzy, ale walka natrafia na niezwykle opór ze strony czarnych, podjudzanych przez czarodziejów, którzy doskonale rozumieją, że wraz z cywilizacją zbliża się kres ich czarów i władzy. Śpiączkę uważają tu za zupełnie naturalny objaw rządzenia duchów. Wszelka walka z tą chorobą jest w ich rozumieniu przeciwstawianiem się wyrokowi tych duchów, co według ich mniemania, podsycanego przez czarodziejów, sprowadza klęski i katastrofy nie na białych, ale na nich. Toteż chorych na śpiączkę ukrywają nadzwyczaj skrzętnie, a do ludzi, którzy usiłują walczyć z tą chorobą, odnoszą się z nienawiścią.

Maciek, którego sympatie w dużej mierze skłaniały się ku czarnym, nie chciał w tej chwili wdawać się w rozmowę na temat dla siebie obcy. Postanowił przypatrzeć się tym sprawom bliżej, a teraz powrócił do przerwanej sprawy.

— Zaczął pan opowiadać o swoim służącym, zdaje się, Mustagi.

— Tak, tak, Mustagi. Otóż ten gagatek służył u mnie jako pomocnik sanitariuszy przez blisko dwa lata i przez ten czas niejednego się nauczył. Ale wszystko co sobie z cywilizacji przyswoił, służyło mu jedynie do wywyższania się nad innymi czarnymi. Jest to typek bardzo sprytny i chytry. Ponieważ nie miałem nikogo na jego miejsce, musiałem znosić wybryki Mustagi, często przykre i groźne. Nagle, kilka miesięcy temu, spostrzegłem u niego zupełnie wyraźne objawy czarnej śpiączki. Końcowe stadium tej choroby, poza częstym zapadaniem w sen, przejawia się czasem niezwykle podenerwowaniem po przebudzeniu ze snu. A nierzadko przechodzi ono do napadów szału. W stanie podenerwowania chorzy objawiają stosunkowo wysoki stopień inteligencji i przedsiębiorczości. Mustagi, z natury obdarzony nieprzecię-

tną inteligencją, zaczął nagle brykać. Często znikał z faktorii i włóczył się po okolicznych wsiach, prowadził jakieś konszachty z tamtejszymi królikami i czarodziejami, a gdy się go karało, zaczął szczerzyć zęby. To wszystko razem naprowadziło mnie na domysł, że Mustagi jest zarażony chorobą śpiączki. Wybrawszy więc dwóch zaufanych służących, kazałem go odprowadzić do najbliższej siedziby władzy administracyjnej, gdzie znajduje się również szpital. Odległość tej siedziby od mojej stacji wynosi około 200 km krętej i niezbyt bezpiecznej drogi, prowadzącej przez dżunglę i wzdłuż rzek rojących się od krokodyli, więc powrotu ich nie spodziewałem się przed upływem dwóch tygodni. Tymczasem już po pięciu dniach dokonano napadu na naszą faktorię, rozgromiono i zrabowano wszystko, co się dało. Kto żyw uciekł do lasu, złapano tylko mnie jednego. Przez dwa dni wleczono mnie na sznurze po najgorszych wertepach i wąwozach i tak znalazłem się w tej wsi.

— A dlaczego pan mówi, że napad zorganizował Mustagi?

— Bo on kierował całą akcją. Po ucieczce obsady faktorii, dzicy byliby się ze mną szybko załatwili, ale Mustagi nie dopuścił do egzekucji, chcąc mnie wpierw zmusić do zdradzenia dnia, w którym miał nadejść do faktorii transport soli, perkalików, spirytusu i innych towarów. Ja jednak nie znałem tego terminu, gdyż handlem w faktorii zajmował się kto inny. Lecz Mustagi był przekonany, że ja tylko dla przyjemności zajmuję się badaniami i leczeniem, a naprawdę jestem zwierzchnikiem całej faktorii.

— A czyż nie mógł się pan porozumieć z którymś z wodzów i choćby drogą okupu się ocalić?

— Rzecz w tym, że Mustagi nie dopuścił do mnie żadnego wodza ani królika, a męczyli mnie tylko jego zaufani czarodzieje. Mówiono mi, że królik tej wsi jest niezwykle srogi, ale nic więcej o nim nie słyszałem i ani razu go nie widziałem.

Opowieść ta wprawdzie niezmiernie zaciekała Maćka, przebyte jednak tarapaty tak go wymęczyły, że mimo całej ciekawości nie mógł opanować ogarniającej go senności. Zamiast zatem wypytywać o dalsze dzieje Mustagi, z uśmiechem zwrócił się do doktora:

— Niezwykle ciekawe rzeczy pan opowiada, ale może skorzystamy jeszcze z nocy i trochę się prześpiemy, bo nie wiadomo co nas jutro czeka, a ja jestem jeszcze bardzo zmęczony.

— Ależ naturalnie, pułkowniku! Chciałem tylko z grubsza zorientować cię w sytuacji. No, a teraz dobranoc.

— Dobranoc!

Nie zaznali jednak spokoju tej nocy.

Oto tuż przed świtem powietrze przeszył jeden i drugi huk. Maciek zaprawiony do czujności w jednej chwili zerwał się na równe nogi i wypadł z chaty, a tuż za nim pokazał się doktor z jaskrawą latarką w ręce.

— Co się stało? — zawołał Maciek.

Doktor wskazał w stronę samolotu, pod którym błdził długi snop jasnego światła z latarki. Po chwili Maciek rozpoznał Bartka, czołgającego się na czworakach pod „Orłem”, i w kilku susach znalazł się przy kapralu.

— Co się stało, Bartek?

— Pod samolot skradło się trzech tubylców, więc musiałem poskromić ich zbytnią ciekawością. Dwóch, zdaje się, zwało, a trzeci leży tam, pod krzakiem.

— A co z samolotem?

— Uspokój się, komendancie. Strzelałem tak, że maszynie nic się nie mogło stać. Nie miałem też zamiaru skrzywdzić tych ciekawskich, lecz tylko ich nastraszyć. Ale zdaje się, że ten trzeci jest ranny. Warto by go wziąć na spytki.

Po chwili de la Roche z Bartkiem wnieśli rannego do chaty. Był to młody jeszcze chłopak o silnie karbowanym czarnym owłosieniu, o błyszczących oczach i białych zębach.

Z czarnych oczu chłopca wyzierał niepokój i lęk. Rany jego okazały się zupełnie lekkie

i powierzchowne, więc dość tajemniczym wydało się, że miał uciec z towarzyszami, został pod samolotem.

Podane mu wino wypił bardzo chętnie i od razu złożył głęboki ukłon przed Maćkiem.

Maciek wysłał Bartka z powrotem na placówkę, a sam za pośrednictwem Roche'a począł badać jeńca.

Okazało się, że doktor miał rację w swoich przypuszczeniach. Cała wieś po zjawieniu się Maćka na żelaznym ptaku wpadła w nieopisany strach, uznając to zdarzenie za nadprzyrodzone, a w samym Maćku widząc „króla powietrza”. Szukając naprędce jakiejś nazwy, przezwano Maćka „Mitu-Fitu”. Wprawdzie srogi królik krzykiem i groźbą starał się wieś po ucieczce do lasu uspokoić i żądał odwetu, namawiając do napaści na białych w nocy, ale starszyzna ani słuchać o tym nie chciała, wołąc poczekać do następnego dnia, by odbyć naradę z sąsiadami i wejść z nimi w porozumienie. Królik szalał ze złości i groził nieposłusznym zemstą, starszyzna jednak oparła się stanowczo. Trzeba dodać, że jeszcze przed przybyciem „żelaznego ptaka” w łonie wsi powstała przeciw królikowi pewna opozycja. Zraził sobie bowiem większość wsi swoją dyktatorską postawą.

Otóż ta opozycja postanowiła w tajemnicy przed królikiem wysłać posłów do białych i próbować wejść z nimi w układy. Niestety Bartek nie spodziewał się delegacji i przyjął śmiałości strzałami. Dwóch posłów, na skutek huk i na widok jasnych snopów światła, tryskających z ręki białego, uciekło, a trzeci lekko ranny, a poza tym i najodważniejszy, pozostał, by spełnić swoje posłannictwo.

Okazało się jednak, że młody dzikus, który sam siebie nazywał Maja Gaja Kri, poza chęcią spełnienia poselstwa danego mu przez starszyznę wsi, przede wszystkim pałał chęcią zemsty na króliku i to był bodaj główny powód, iż pomimo lęku przed białymi i ich ptakiem nie uciekł wraz z towarzyszami. Gestykulacją, mimiką i zrozumiałą tylko dla de la Roche'a mową starał się teraz Maćka i jego przyjaciół przekonać, że powinni natychmiast dosięść swego ptaka i jak najprędzej rozprawić się ze złym królikiem. O powodach tak głębokiej nienawiści mieli się biali dowiedzieć już wkrótce.

Maciek po krótkiej naradzie z de la Roche'em przyjął przede wszystkim Maja Gaja Kri do swojej świty, co młodzieniec ten przyjął z entuzjazmem.

— A teraz niech go pan zapyta, jak się nazywa ich wódz.

— M'fumu Huli Guli Han — odpowiedział dzikus.

Na dźwięk tych słów doktor aż podskoczył.

— Kto taki jest waszym m'fumu?

— Huli Guli Han — odpowiedział młodzieniec, mocno zaniepokojony miną białego doktora.

— Czy pan go zna?

— Ależ to Mustagi! Dzicy słysząc, że go często nazywam chuliganem, przewali go huligulihan.

Po tych słowach doktor wdał się w krótką rozmowę z Maja, w toku której dzikus często czemuś potakiwał i wymachiwał pięścią w stronę nieobecnego wroga.

— Teraz cała sprawa jest jasna. Okazuje się, że ten młodzieniec jest synem królika, którego Mustagi przy pomocy czarodzieja zgładził, by zawładnąć godnością wodza. Mustagi był już dawniej w kunszachtach z niedołężnym starcem i po ucieczce ode mnie znalazł tu przytułek. Ale po kilku dniach, pod pretekstem złego podziału łupów, pochodzących z rabunku na faktorii, wezwał królika na sąd, który polega na tym, że obaj sądzący się wypijają „moavi” (truciznę), przygotowaną im przez czarodzieja. Jest to jeden ze zbrodniczych sposobów rządzenia czarodziejów, gdyż prawie zawsze są oni w zмовie z jedną ze stron, która zamiast „moavi” dostaje inny, podobny napój, ale nieszkodliwy. Druga strona po wypiciu trucizny umiera w strasznych mękach, co świadkowie sądu uznają za spełnienie się sprawiedliwego wyroku. Tym razem sąd był o tyle dziwny i niezwykły, że jedną ze stron był królik,

co da się wytłumaczyć nie tylko przekupieniem czarodzieja, ale przede wszystkim jakimś niesamowitym lękiem wsi przed Mustagi. Naturalnie, że ofiarą sądu padł niedołączny starzec, a władzę jego zagarnął Mustagi.

— Ale czemu w takim razie nie chciał przed panem ukazać się w swojej nowej roli?

— Czarni wiedzą, że wszelkie tego rodzaju historie są niezwykle surowo karane przez sądy administracyjne. Administracja tutejsza słynie ze swej energii i rzutkości. Toteż Mustagi, dopiero z chwilą zgładzenia mnie i wciągnięcia wsi we współzbrodnię, mógł być pewny, że jego przestępstwa ujdą bezkarnie.

— Teraz i ja rozumiem, dlaczego ten młody Murzyn tak chętnie oddał się w nasze ręce.

— Przecież to syn właściwego króla i jemu po śmierci ojca należy się władza nad wsią.

— A może byśmy go teraz wysłali z poselstwem do jego braci. Niech im powie, że mogą wrócić do wsi, że im nic złego nie zrobimy, pod warunkiem poddania się Huli Guli Hana.

— Bądź pewny, Maćku, że Mustagi, jeśli się o tym dowie, nie tylko się nie podda, ale wszystkie nasze propozycje wytłumaczy im jako słabość z naszej strony.

— W takim razie niech wracają bez niego. Przecież Maja ma tam swoich zwolenników.

— Z całą pewnością! — potwierdził doktor. — Temu chłopcu dobrze z oczu patrzy, a zraniona duma syna królewskiego każe mu u nas szukać opieki i sprawiedliwości. Sama myśl wydaje mi się zupełnie słuszna. Gdyby nawet wróciła tylko część mieszkańców wsi, zawsze to będzie osłabieniem wroga a wzmocnieniem naszych sił.

Gdy Maja dowiedział się o co chodzi, oczy zapłonęły mu ogniem. Widać było, że propozycja trafiła do jego przekonania. Wprawdzie mogło się również okazać, że Huli Guli Han ma znacznie więcej zwolenników i wtedy Maja byłby nie bardzo bezpieczny, ale młody syn wodza wierzył w poczucie sprawiedliwości swoich współplemieńców, a przede wszystkim w magiczną siłę poselstwa od samego „króla powietrza”, bo po ożywionej rozmowie z doktorem złożył głęboki ukłon przed Maćkiem i wybiegł z chaty, a za chwilę zniknął w gąszczach za wsią.

Wprawdzie ranek już zaczął szarzeć, pora jednak była jeszcze bardzo wczesna, a zmęczone trudami ciała Maćka wciąż upominało się o solidny wypoczynek. Po raz trzeci tej nocy położył się na swym posłaniu i przymknął oczy. Tym razem do snu ukołysał go koncert zupełnie zmieniony. Oto ucichły już dzikie ryki zwierząt, a powietrze rześkie, świeże, przesycone zapachem żywicy, rozedrgało się radosnym śpiewem i nawoływaniem tysięcy ptactwa, piskiem różnorodnych małp. Maciek jednak usnął szybko i spał nieprzerwanie przez kilka godzin.

Słońce dobrze już prażyło, gdy Bartek wszedł do chaty i pochyliwszy się nad śpiochem, niezbyt delikatnym tarposzeniem starał się go obudzić. Ale Maciek ile razy oczy otworzył i wymamrotał parę słów, znowu przewracał się na drugi bok i momentalnie zasypiał...

— Zbudź się i wstawaj, najjaśniejszy panie! Nie zmuszaj mnie, bym na oczach ludu użył innych sposobów, choćby zimnej wody z tutejszymi żabami i krokodylczykami!

Wobec takiej groźby Maciek wreszcie usiadł na posłaniu i z wściekłym błyskiem w oczach spojrzął na natręta. Pan kapral przezornie odskoczył na bok i wskazując ręką na plac przed chałupą, zameldował:

— No, no, pułkowniku, tylko bez kawałów! Melduję posłusznie, że oto lud czeka na placu, aby ci złożyć hołd.

Zanim kapral skończył swój meldunek, Maciek już przez odsłonięte wejście zobaczył zbity w masę dość spory tłum, koło którego uwijał się Maja Gaja Kri, połyskujący białym bandażem na głowie. Maciek ubrał się w kilka minut i już chciał wyjść przed chatę, gdy nagle Bartek przytrzymał go za rękę.

— Ależ, królu! Chcesz się pokazać poddanym ot tak sobie, jak pierwszy lepszy patałach?

— A cóż? Mam wyjść do nich na rękach czy na czworakach?

— Przecież tubylcy czczą blask i wspaniałość, a mamy dość świecideł, abyś się mógł godnie przystroić.

— Świecideła, to nie dla mnie. Co najwyżej mogę włożyć kurtkę skórzaną i za pas wetknąć pistolet.

— A jednak ja bym ci radził pułkownikowi...

— To wystrój się sam w swój paradny mundur i obwieś się świecidełami, bo mnie w zupełności wystarczy błyszczący pistolet za pasem.

— Widzę, że istotnie będę musiał sam ratować honor i godność Europy. Zresztą, zdaje mi się, że władcy powinni być skromni, ale za to ich otoczenie musi błyszczeć bogactwem. Pamiętam przecież, jakim był...

Ale Maciek nie słuchał już dalszego ciągu wspomnień Bartka, tylko zostawiwszy go dla przebrania się w paradny mundur, sam wyszedł na plac.

Rozgadany tłum zamilkł na jego widok i zastygł w oczekiwaniu, wpatrując się w białego chłopca, który w ich wyobrażeniu był istotą nadprzyrodzoną. Wyobrazenie to pogłębiła opowieść o nim Maja Gaja Kri.

Maciek przypomniał sobie z opisów zachowanie się białych podróżników w zetknięciu z mieszkańcami dzikich dżungli, nie podszedł od razu do tłumu, ale wezwał do siebie de la Roche'a, a ten z kolei przywołał Maję Gaję Kri.

Maciek nie odpowiadając na klaskanie Maję w ręce i po biodrach, co oznaczało przyjacielskie powitanie, zwrócił się do Belga:

— Niech go pan zapyta, czy miejsce pod tym drzewem mangowym jest miejscem narad.

— Tak jest, to jest tak zwany plac palarwowy, czyli plac narad.

— Niech mi tam ustawią jakiś stółek. Ja usiądę, a pan i Bartek staniecie za mną. Będę rozmawiał z Mają, żeby wieś wiedziała, że uważam go za spadkobiercę wodza i króla. Reszta winna stać półkołem w odległości dziesięciu kroków od nas.

— Boję się przyjacielu, czy nie za mało znasz ich obyczaje, aby sobie dać z nimi radę.

— Trochę sobie przypominam z opisów podróży.

Maciek wszedł z powrotem do chaty, a tymczasem

Maja Gaja Kri w myśl wskazówek udzielonych przez de la Roche'a zajął się urządzeniem przyjęcia. Maja był mocno zadowolony z obrotu sprawy, ale nie dał nic poznać po sobie, uważając, że wszystko jest tak, jak być powinno. O tym jednak, że nad nieufnością do białych przeważała w nim chęć zaprzyjaźnienia się z przybyszami, świadczyło niezwykle gorliwe przygotowanie posłuchania i związanego z tym ceremoniału.

Wkrótce pod drzewem znalazł się rzeźbiony drewniany tron z małymi figurkami fetyszów na tylnym oparciu, przed tronem zaś Maja własnoręcznie rozłożył skórę lamparta. Przedmioty te znajdowały się w chacie wodza, a piękne, chociaż prymitywne rzeźby na tronie oraz sposób wyprawienia skóry świadczyły o dużych umiejętnościach tutejszej ludności. Mieszkańcy półkołem otoczyli fotel w pewnej odległości i de la Roche poszedł Maćka zawiadomić, że wszystko już gotowe.

Dopiero teraz z chaty wodza wyszedł Maciek w otoczeniu Bartka, de la Roche'a, i postępującego przed nimi Maję Gaję Kri. Tłum, który już przedtem przyjrzał się Maćkowi, nie mógł teraz oczu oderwać od Bartka. Pan kaprał w kolorowym mundurze i kasku straży botoczańskiej, z zawieszoną przez piersi lornetką i torbą na mapy, z karabinem na plecach, a zwłaszcza z lotniczymi okularami, wyglądał imponująco. Mimo skwaru i ciężaru tego niezwyklego ekwipunku, Bartłomiej Paciurek kroczył tak dumnie, jak by reprezentował całe rycerstwo Europy. Toteż na jego widok tłum zaszemrał, a nawet wbrew etykietce odezwało się kilka pochwalnych oklasków po lędźwiach. Tuż obok Bartka postępował de la Roche, który w rękach niósł sporą paczkę.

Gdy Maciek usiadł już na fotelu w cieniu świętego drzewa, obaj jego dworzanie stanęli

za nim, zaś Maja Gaja Kri przystanął przed fotelem i oddawszy kilka pokłonów, wyprostował się, aby wysłuchać przemowy króla powietrza.

Maciek powstał ze swego miejsca i kładąc rękę na ramieniu Maja Gaja Kri, przemówił powoli i poważnie, a doktor de la Roche zdanie po zdaniu tłumaczył głośno i wyraźnie:

— Ja Maciek, król powietrza, mianuję ciebie, Maja Gaja Kri wodzem tej wsi i żądam, byś naprawił wszystkie krzywdy i zbrodnie popełnione przez Huli Guli Hana. Jeśli tego nie spełnisz, „muzimu” (duch) zamordowanego przez Huli Guli Hana ojca twego powróci po śmierci i będzie mścił się nad wsią. Duch ten każe wypić wszystkim straszną truciznę „moavi”, aby przy życiu zostali tylko niewinni, a sprzymierzeńcy Huli Guli Hana zginą w strasznych męczarniach.

Wszyscy zgromadzeni w skupieniu słuchali przemówienia tego młodziutkiego białego, który tak dobrze znał ich sprawy. Na dźwięk słowa „moavi”, tej śmiertelnej trucizny, tu i tam odezwał się jęk, niejednemu bowiem sumienie szeptało, że w mniejszym lub większym stopniu dał się wciągnąć w nieprawości popełnione przez Mustagi. Nikt ze współwinnych więc nie uniknąłby sprawiedliwej śmierci. Maja Gaja Kri stał spokojnie i ufnie, słuchając z dumą przemówienia, bo przecież chodziło tu o sprawiedliwe pomszczenie „muzimu”, jego starego ojca, i oddanie wodzostwa wsi w jego, Maja Gaja Kri, ręce.

Maciek, widząc, jakie wrażenie zrobiło na czarnych jego przemówienie, po krótkiej chwili położył i drugą rękę na ramieniu Maja Gaja Kri i pochyliwszy ku sobie głowę młodzieńca, pocałował go w czoło. Przez tłum przebiegło głębokie westchnienie ulgi. Dopełniwszy tej ceremonii braterskiego pocałunku, wiążącej się z powołaniem Maja Gaja Kri na wodza wsi, Maciek usiadł z powrotem na fotelu i zapytał swobodnie:

— No, a teraz niech wódz Maja Gaja Kri odpowie, gdzie jest główny sprawca wszystkich zbrodni? Gdzie jest Huli Guli Han, który bezprawnie zagarnął władzę królewską, przewodził w napadzie na faktorię i chciał wszystkich namówić do pozbawienia życia niewinnego białego brata, wielkiego uczonego.

Maja Gaja Kri spokojnie podszedł do Maćka i oznajmił mu, że Huli Guli Han z kilkunastoma swoimi zwolennikami uciekł w głąb lasu.

— I pewnie znów knują jakąś napaść!

— Mono kuzaba we (moja nie wiedzieć) — odpowiedział Maja.

— A co wie młody wódz?

— Ba-ja kutina finda (oni uciekli do dżungli). A my jesteśmy przyjaciółmi białych braci.

Na to Maciek powstał z fotela, podszedł do Maja i swoje prawe ramię przycisnął do jego prawego ramienia, czym potwierdził, iż uważa go za wodza wsi i swego przyjaciela. Ten fakt został uczczony przez zebranych nowymi gromkimi oklaskami po bokach i podnoszeniem rąk do góry. Maciek począł teraz obchodzić wszystkich i podawać im po kolei rękę.

Na zakończenie uroczystości wręczył nowo kreowanemu królikowi w darze paczkę przyniesioną przez de la Roche'a. W paczce tej znajdowały się bukareszteńskie konserwy, wino oraz papierosy. Maja z dumą przyjął dar wręczając wzajemnie Maćkowi dwie kury i całą kopę jaj, co zgodnie z miejscowym obyczajem oznaczało, że wieś gotowa jest przyjąć w swoje grono i gości białych przyjaciół.

Poranna uroczystość była skończona i w pół godziny później wieś wróciła do normalnego życia. Wokół „Orła” raz po raz zbierały się gromadki tubylców, z podziwem oglądając żelaznego ptaka. Chcąc uchronić maszynę od zbyt daleko posuniętej ciekawości, Bartek rozkazał Maja Gaja Kri wystawić posterunek przy samolocie, a sam zdjawszy paradny strój i pozostając tylko w koszuli i w spodniach, przystąpił do gruntownego czyszczenia aparatu.

Okazało się, że wszystko, każda śrubka, sprężynka czy zawias, było zanieczyszczone piaskiem. Maćka ogarniał podziw dla niezwyklej sprawności i mocy samolotu, który mimo tak strasznego zakurzenia nie ustał w drodze. Trzeba było wszystko po kolei rozbierać, jak

najdokładniej czyścić i oliwić, co było tym bardziej żmudne, że pozostałym skromnym zapasem oliwy należało jak najoszczędniej gospodarować. Praca ta musiała potrwać co najmniej dwa dni. Przez ten czas naturalnie samolot był niezdatny do użytku. Taki stan rzeczy w znacznym stopniu podważał bezpieczeństwo przypadkowych podróżników, gdyby bowiem tajemnica rozebranego aparatu doszła do wiadomości Huli Guli Hana, drapichrust ten na pewno nie namyślałby się długo, potrafiłby omamić sąsiednie wsie i porwać za sobą w celu zdobycia żelaznego ptaka.

Rozważywszy tę sytuację Maciek przede wszystkim rozkazał Maja Gaja Kri odprawić gapiów do domów, a wartę odsunął od aparatu na należyłą odległość. Następnie polecił wystawić posterunki również dokoła wsi.

Tymczasem Maja Gaja Kri wspólnie ze starszyzną postanowili urządzić wieczorem wspólną ucztę z tańcami przy ogniskach na głównym placu. Cała wieś, chcąc sobie jak najwięcej ująć króla powietrza, z zapalem rzuciła się do przygotowania uczty. Tak więc posterunki wystawione dokoła samolotu niewiele miały do roboty, a trójka białych mogła się swobodnie zająć oczyszczeniem i doprowadzeniem do porządku aparatu.

Jak się rzekło, wieś zawrzała przygotowaniami do wieczornej biesiady. Musieli przecież uczcić aż dwie sprawy na raz: zlot z nieba króla powietrza i obwołanie nowego wodza. Mężczyźni rąbali drzewo i układali je na placu w wielkie stopy, kobiety zaś znosiły pataty (rodzaj ziemniaków), olbrzymie kluski z manioki i kukurydzy — „luku”, stągiewki z oliwą palmową — „matuta”, kopy jaj, „saka- saka” (coś w rodzaju szpinaku), „m'boko” (grzyby), młode pędy palm, a wreszcie o zmierzchu zaczęto znosić „m'biszi”, czyli mięsiwo, rzecz łakomą i rzadką wśród dzikich, ponieważ posiadają bardzo mało zwierząt domowych i to przeważnie kozy oraz bardzo rzadkie i cenne długorogie krowy, a z drobiu kury. Zaś dzikie zwierzęta niełatwo jest upolować. Tym razem jednak wieś poświęciła trzy kozy i kilka kur. Wieczorem pod dowództwem osobistym Maja Gaja Kri ułożono przy głównym stosie cztery młode, świeżo upolowane antylopy. Takie stopy jedzenia znacznie podniosły dobry nastrój wsi i nie tylko zresztą wsi, bo i biali, szczególnie Bartek, strzelali oczami w stronę placu, gdyż napracowali się solidnie i głód zaczął im z wolna dokuczać.

Gdy nadszedł zmierzch, wszyscy trzej, zadowoleni z dotychczasowego przebiegu spraw, udali się do chaty, by się umyć i ubrać na wieczorną uroczystość. Co prawda doktor ostrzegał ich przed kucharskimi zdolnościami dzikusów, Maciek jednak i Bartek ciekawi byli smaku ich potraw, szczególnie że przecież od tak dawna nie mieli nic ciepłego w ustach.

Zmierzch zapadł szybko i nastął drugi ich podzwrotnikowy wieczór.

We wsi rozległy się głuche sygnały bębnow tam- tam.

Na placu palarwowym, pod olbrzymim drzewem mangowym zapłonął potężny stos, otoczony wieńcem mniejszych ognisk. Cała ludność wsi, przybrana w świecidełka i dziwaczne ozdoby, wyległa rojnie i wrzaskliwie na plac. Skóra na ciałach dzikusów, tatuowana w rozmaite ornamenty, błyszczała wysmarowana kolorową gliną. Fryzury, zatłuszczone i zbite w masę za pomocą gliny, piętrzyły się lub opadały na karki najwymyślniejszymi kołtunami i kokami, z których sterczały zęby dzikich zwierząt lub ptasie, wielobarwne pióra. Z przedziurawionych warg, uszu i nosów zwisały dziwaczne, ale piękne, z kości słoniowej wyrzeźbione kolczyki i ozdobne drewnianka. Na ramionach i nogach dzwoniły spiralnie poskręcane metalowe bransolety. Kilku co znacniejszych ze starszyzny obnosiło europejskie półkoszulki, które nie wiadomo jaką drogą aż tu zawędrowały. Najwspanialej wyglądał sam Maja Gaja Kri. Oprócz ozdób, jakie nosili inni jego współplemieńcy, miał na szyi długi łańcuch zakończony medalem, oznaką władzy administracji belgijskiej, nadawaną wójtom i kacykom, którą kiedyś przy jakiejś okazji otrzymał jego ojciec. Na głowie nowego królika sterczała wymyślna czapa królewska, w której również paradował kiedyś jego ojciec na przyjęciach.

Tłum zebrał się wokół ognisk, z których poczęła się roztaczać smakowita woń pieczonego mięsiwa.

Pod chatą wodza zbudowano z trzciny, liści palmowych i rafii kilka wygodnych foteli dla gości i starszyny.

Dudnienie bębnow „tam-tam” stawało się coraz szybsze i głośniejsze, ale zebrani rzucili się do ucztowania, aby dopiero nasyciwszy pierwszy głód oddać się tanom i pieśni.

Jedzenie okazało się wcale smaczne. Dzięki zapasom wodza składało się z bananów, ananasów i fistaszków, a przede wszystkim z pieczeni z antylopy. Jako napój podano w wydrążonych tykwach coś w rodzaju wina, przyrządzonego z soku palmowego.

Przy ogniskach zgromadzona była cała wieś. Mężczyźni, kobiety, starcy, a nawet dzieci. „Tam-tamy” dudniły coraz głośniej. Do wtóru bębnow tłum czarnych postaci podjął monotonna, bez końca powtarzającą się pieśń, złożoną z kilku zaledwie taktów. Z pierścienia przyklaskujących, przytupujących i kołyszących się w takt pieśni coraz odrywało się kilkoro kobiet i mężczyzn, wskakiwało w środek koliska, by odtańczyć swój solowy, niesamowity taniec.

Krwawy ogień rzucał blaski na czarne, spotniałe ciała. Taniec stawał się coraz bardziej zapamiętały. Od ognisk biła nie kończąca się, dzika, groźna, namiętna pieśń. Ogarnięty szaleńcem tańca tłum zdawał się niebacznym na nic, półprzytomny, pogrążony w zupełności w swym tanecznym obrzędzie. Już nie gromadki luźnych tancerzy, ale cała masa ludzka kołysała się, drgała i wiała, przeginała się i wykręcała w tym samym dzikim rytmie. Widok ten na tle czarnej nocy i tchnienia puszczy był niezwykle, przypominał jakiś rozpętany żywioł, huczącą powódź czy pożar.

Maciek siedział w swym fotelu jak zaczarowany, nie mogąc oczu oderwać od tego obrazu. Jakżeż inny tu widział świat, jakżeż innych ludzi. Od chwili odlotu z Warszawy, w ciągu tych kilku zaledwie dni, przeżył tyle gwałtownych, niespodziewanych wrażeń, że teraz, na tle tej pieśni narodzonej w najgłębszej dżungli, zdawał się namacalnie odczuwać wielkość świata, jego rozmaitość i bogactwo, a ponad wszystko moc i potęgę natury.

Zatopiony w swych myślach, całą duszą wchłaniał czar i urok tej nocy.

Z zadumy obudził go głos de la Roche'a:

— Ten śpiew, przyjacielu, jest słyszany daleko stąd i na pewno dociera również do uszu Huli Guli Hana. Łotryk ten ma swoich zaufanych szpiegów i jeśli dotarła do niego również wiadomość o rozebraniu „Orla”, to gotów nam sprawić jakąś niespodziankę.

— Myśli pan, że odważyłby się napaść teraz na tych oszalałych prawie ludzi?

— Masz słuszość, Maćku, nazywając ich oszalałymi. To dudnienie „tam-tam”, ta jednostajna, zaszuchana w sobie pieśń i ten żywiołowy taniec powodują jakby oczadzenie całej gromady. Ale właśnie w tym stanie można ich łatwo zaskoczyć; w tej chwili są oni prawie nieprzytomni i na pewno nie zdają sobie sprawy z tego, co się naokoło nich dzieje.

— Wobec tego my musimy być przytomni i zwiększyć swoją uwagę. Chodźmy. Obejdziemy wpierw polanę, a potem wszyscy trzej aż do świtu będziemy czuwać przy aparacie. Do świtu chyba i oni oprzytomnieją, wtedy się prześpiemy.

Tańce jednak i żywiołowy śpiew trwały do samego rana i dopiero zupełne wyczerpanie zmusiło tubylców do rozejścia się po chałupach.

Cały następny dzień, gdy mieszkańcy wioski pogrążeni w głębokim śnie odpoczywali po ucztach, trójka białych pracowała przy „Orle”. Po południu aparat był gotów do użytku. Po dokładnym obliczeniu okazało się, że przezornie nagromadzony przez Bartka w Bukareszcie zapas benzyny i smarów mógł jeszcze wystarczyć na czterogodzinny lot. Teraz trzeba było naradzić się nad dalszymi poczynaniami. Wszyscy trzej byli zmęczeni, zatłuszczeni, brudni i przepoceni, nie przerywali bowiem pracy nawet w czasie najgorszego skwaru, chroniąc się tylko w cieniu skrzydeł. Bartek jednak szybko zakrzętnął się wokół obiadu i wkrótce cała trójka, ledwie umywszy ręce i twarz, zasiadła do posiłku, składającego się z gotowanej kury, patatów, polenty z sorgo i owoców. W czasie obiadu rozpoczęli naradę.

— Jak daleko może być stąd do jakiejś najbliższej osady czy miasteczka, gdzie mogli-

byśmy dostać benzyny? — zapytał Maciek Belga.

— O ile się orientuję, najbliższą stąd osadą jest Bembii nad rzeką Uelle. Jest tam kilka faktorii i urząd administracyjny. Ale czy dostaniemy tam w dostatecznej ilości benzyny i oliwy — tego nie wiem. Najlepiej byłoby dostać się do Stanleyville nad Kongo. Jest to stolica wschodniego Konga Belgijskiego, wyposażona nie tylko w rozmaite sklepy i urzędy, ale nawet w radiostację.

Na tę wiadomość Maciek aż podskoczył na fotelu.

— Jak daleko może być do Stanleyville?

— Nie dalej jak pięćset do sześciuset kilometrów.

— To jest około dwóch godzin lotu, a nam starczy benzyny na cztery godziny. Jutro lecimy do Stanleyville. Może uda mi się tam połączyć drogą radiową z Warszawą.

— A mnie na samą myśl o drodze powrotnej mimo skwaru mróz przenika — zauważył pod nosem Bartek.

— Ależ, Bartek! Przecież w Stanleyville na pewno dostanę odpowiednie mapy i będziemy mogli wracać z góry opracowaną trasą wzdłuż Nilu, nad którym leży sporo miast posiadających znośne lotniska.

— Ba! Mielśmy lecieć do Konstantynopola, a burza zaniósła nas w sam środek piekła.

— Takie burze nawet nad Afryką rzadko się chyba zdarzają i bądźmy szczęśliwi, żeśmy ją w ogóle przetrzymali.

— Ale wołałbym drugi raz nie próbować. Zawsze lepiej być skromniejszym i nie kusić fortuny!

— Więc jeśli chcesz, to zostań tu i pomagaj królować kacykowi Maja Gaja Kri.

— A co myślisz, pułkowniku, że byłaby to zła posada? Ja myślę, że ze starszyzną naszych czarnych przyjaciół można by się szybko dogadać i takie tu państwo zorganizować, że palce lizać! Przecie tu ziemi w bród, i zwierząt i ptactwa...

— Ho, ho, panie kapralu, nie tak to łatwo organizować państwa wśród dzikich dżungli — wtrącił uwagę de la Roche. — My tu już kilkadziesiąt lat siedzimy, a mimo to niewiele udało nam się dokonać, szczególnie w tej części Konga.

— Bo czegoż można dokonać, panie doktorze wśród ludzi — powiedział Bartek — których ujarzmia się batem i karabinem i każe im pracować do siódmego potu dla cudzego zysku.

Na taką odpowiedź Belg szeroko oczy otworzył i podniósł brwi ze zdziwienia. Bartek widząc zdumioną minę doktora podjął szybko dalszą tyradę:

— Ho! ho! Czytało się i słyszało niejedno, jaką to cywilizację niosą biali czarnym...

— Pan kapral zapomina — udało się wpaść w słowo doktorowi — że dzięki Belgii można było w Afryce zwalczyć handel niewolnikami i uniemożliwić wywożenie ich na inne kontynenty.

— A po cóż ich wywozić, kiedy tu na miejscu są potrzebni. Jedna czarna ręka wykopie więcej niż dziesięć białych. Sedno w tym, żeby kopali dla białych. Już ja się od naszych czarnych przyjaciół zdołałem dowiedzieć niejednego, jak to zacni biali dobroczyńcy myszkują tu za złotem i diamentami.

— A kiedy, jak i od kogo tyś się, Bartku, o tym dowiedział? — zdziwił się Maciek.

Bartek już otworzył usta do odpowiedzi, ale tu znów wpadł w słowo doktor de la Roche.

— Mniejsza z tym, jak pan kapral posiadał te wiadomości. Gorzej że są one bardzo bliskie prawdy. Niestety, biali kolonizatorzy nie obchodzą się z czarnymi tubylcami ani łągodnie, ani dobrze i dlatego czarni odnoszą się do nich z nieufnością, a często wręcz wrogo. Jako badacz i naukowiec jestem bezstronny i muszę przyznać, że sposób postępowania białych z Murzynami jest często nieludzki. Odnosi się to, niestety, do wszystkich białych kolonizatorów.

— Bardzo mądrze mówicie obaj — przerwał dyskusję Maciek — ale dla mnie ważne jest w tej chwili, czy w Stanleyville uda mi się połączyć przez radio z Warszawą.

— Myślę, że tak. Jeżeli nawet nie bezpośrednio, to przez Kair albo przez Alger. Władze nasze na pewno przyjdą panu z wydatną pomocą.

Zaraz po obiedzie Maciek dla wypróbowania aparatu odbył krótki, kilkunastominutowy lot. Zaalarmowani warkotem motoru tubylcy wylegli tłumnie na polanę. Grupa wyrostków mając możliwość z bliska oglądać start i lot żelaznego ptaka nie posiadała się wprost z radości, czemu dawała wyraz klaskaniem, podskokami i wymachiwaniem rąk. Tylko Maja Gaja Kri stał na uboczu i z niepokojem śledził lot Maćka, jak by się obawiał, że król powietrza już nie powróci na ziemię. Toteż gdy Maciek wylądował, młody wódz pierwszy znalazł się przy nim i starał się o czymś białego władcę przestworzy przekonać. Po chwili obok kacyka pojawiło się i kilku ze starszyny, ale Maciek nie mógł się z nimi porozumieć bezpośrednio i orientując się już doskonale w obyczajach tubylców, oznajmił im przez Belga, że chętnie wysłucha ich pod swoją chatą lub pod drzewem na placu.

W pół godziny później odbyło się posłuchanie wodza i starszyny. Oto król i starszyna, zaniepokojeni lotem Maćka, przyszli prosić go, by ich nie opuszczał, przynajmniej na razie, jak długo nad wsią wisi groźba napadu Huli Guli Hana. Niech Maciek pozwoli pod swoją opieką przygotować się im do walki z tym złym „zwierzęciem z dżungli”. W sukurs czarnym przyszedł doktor, któremu ze względu na bliskość jego stacji badawczej też bardzo zależało na uspokojeniu wzburzonych umysłów swoich sąsiadów. Poza tym dłuższy pobyt Maćka w tej okolicy podnosił równocześnie autorytet Belga wobec czarnych, co też grało rolę w obliczeniach doktora, który zamierzał w dalszym ciągu prowadzić swe badania.

Maciek obiecał dać odpowiedź nazajutrz, gdyż w tak ważnej sprawie chciał się wpierw naradzić z Bartkiem, tymczasem pan kapral tuż przed południem znikł mu z oczu.

Z tego powodu po powrocie do chaty Maciek dał wyraz swojemu zdziwieniu, które wzrosło jeszcze bardziej, gdy mu de la Roche z zagadkowym uśmiechem oznajmił, że widział Bartka w towarzystwie pewnej czarnej damy.

— To niemożliwe!

— Dlaczego niemożliwe? Czyś nie zauważył, przyjacielu, jak pan kapral miło i kokieteryjnie uśmiechał się do siostry wodza, młodej Kanii?

— Owszem... teraz sobie przypominam...

— A widzisz! Trzeba przyznać, że gust ma dobry, bo tak ładnej Murzynki jeszcze nie spotkałem. Zresztą całe plemię tutejsze jest bardzo dorodne i rasowe. Muszą jednak posiadać domieszkę innej krwi, bo za dużo tu jest prawie orlich nosów. A zresztą barwa ich skóry jest znacznie jaśniejsza, a właściwie brunatniejsza od koloru skóry innych plemion.

— To wszystko możliwe, tylko nie rozumiem, jaki interes może mieć Bartek do Kanii.

— Widocznie pan kapral chciałby tutejszym damom zostawić po sobie jak najmiłą pamięć.

— Ależ on ma w Warszawie narzeczoną!

— Och, nie sądzę, żeby pan kapral poszukiwał tutaj obiektu na małżonkę. Ot, zwykły flircik, chęć poznania obyczajów, towarzyska tęsknota i nic więcej.

Szarmancki Bartek zjawił się dopiero w czasie wieczery, złożonej z konserw, grzybów i owoców. Był trochę uśmiechnięty, trochę rozmarzony, ale do rozmowy dał się wciągnąć dopiero po wyjściu Belga na wartę. Na zapytanie Maćka, gdzie się podziewał przez kilka godzin, odpowiedział, że brał lekcje tutejszego narzecza od siostry wodza, Kanii.

— Ależ, Bartku, po co ci to potrzebne? Przecież jutro, pojutrze stąd odlatujemy.

— Właśnie w tej materii chciałem z tobą, pułkowniku, parę słów zamienić. Zdaje mi się, że powinniśmy tu zabawić przynajmniej jeszcze parę tygodni.

— A to z jakiego powodu?

— Można by przez ten czas pomóc trochę tubylcom w urządzeniu ich kraiku.

— Zdaje się, że tutejszy klimat niedobrze działa na twój umysł.

— A mnie się zdaje, że wprost przeciwnie. Wiedz, Maćku, że ja od dziecka miałem pociąg do polityki i działalności na szeroką skalę. Ale w kraju jest taki tłok kandydatów na co wybitniejsze stanowiska, że musiałem czekać, aż się nadarzy jakaś sposobna chwila i okoliczność. Teraz sam los nas tu sprowadził. Przed chwilą rozmawiałem z kilkoma spośród starszyny i oni nie tylko przyznają mi rację, ale odnoszą się do moich planów wprost z tym... jak się to nazywa, no, jednym słowem, skakali z radości.

— A jak ty z nimi rozmawiałeś?

— Ano ich językiem. Umiem już jakieś dwieście słów. Wprawdzie ja jeszcze nie bardzo rozumiem, co oni mówią, ale oni na pewno mnie rozumieją.

— O, na pewno. Teraz już wierzę, że z entuzjazmem słuchali twojej przemowy.

— No widzisz, pułkowniku! A teraz wyobraź sobie, ja, kapral Bartek Paciorek, będę ministrem murzyńskiej Rzeczypospolitej Niam-Niam.

— Czym?

— Ministrem Rzeczypospolitej Niam-Niam. To jest moja polityka, królu powietrza.

— Zrozumie, kapralu, że tutaj mają coś do powiedzenia Belgowie. Przecież to jest Kongo Belgijskie!

— Wielkie rzeczy! Rozmawiałem dzisiaj z doktorem de la Roche i on przyznał się, że sam nie wie dokładnie, do kogo właściwie ta część Niam-Niam należy: do Belgów, Francuzów czy do Anglików, bo właśnie gdzie tutaj schodzą się wszystkie trzy granice, które zresztą nie są dokładnie oznaczone.

— Ależ, Bartek! Przecież we dwóch nie będziemy organizować murzyńskiego państwa.

— A któż mówi, że we dwóch? My tylko podpowiemy to tubylcom i pomożemy im. Zaskarbimy sobie ich wdzięczność do grobowej deski. Poza tym pomyśl: wrócimy do Warszawy, ty jako król powietrza, ja jako były minister prawdziwego państwa. Spełnią się moje najskrytsze marzenia...

— Rozumiem cię, Bartku, dobrze, ale na żadną niepotrzebną zwłokę nie dam się namówić. Co najwyżej możemy pomóc Maja Gaja Kri w przywróceniu spokoju. Bo kto wie, co zamyśla ten łotrzyk Huli Guli Han.

— O, właśnie! Zaczniemy od tego. Ty będziesz sobie królem powietrza i najwyższym władcą, ja zorganizuję armię i sprawy wewnętrzne, a Belgowi możemy zaofiarować tekę ministra zdrowia, finansów i przemysłu. Popanujemy tu z miesiąc, dwa i zobaczymy, co z tego będzie.

— Ależ, Bartku! Przecież w domu nie wiedzą, co się z nami dzieje. Ty nie masz urlopu, a ja muszę wracać do szkoły, bo inaczej nie przejdę do następnej klasy.

— Hop, dziś, dziś, Madaliński! Sam przecież mówiłeś, że w tym Stanlewim, czy jak się ta tutejsza stolica nazywa, jest radio i że spróbujesz połączyć się z Warszawą. Więc leć ty tam bodaj jutro z doktorem, połącz się z Warszawą, zamelduj co i jak, a na pewno dadzą nam urlop.

— Co to znaczy „zamelduj co i jak”?

— No niby, że szukając szczęścia, wstąpiliśmy tu na chwilę.

— Oj, ty coś kręcisz, Bartek! Zdaje mi się, że przytrzymuje cię tu nie tylko żyłka polityczna.

Bartek pomyślał chwilę i zamiast wprost odpowiedzieć, zaproponował Maćkowi, żeby mu zostawił przez kilka dni swobodę ruchów.

— Leć ty z Roche'em do tego Stanlewim...

— Stanleyville.

— Niech i tak będzie! Załatw tam swoje, weź ile się da benzyny i smarów, a nie zapomnij i o prowiantach, pogadaj z Warszawą, a ja tymczasem pomogę Maja Gaja Kri zaprowadzić ład.

— Zgoda, panie kapralu. Jutro z rana ja z doktorem de la Roche lecimy do Stanleyville, a ty zostaniesz tu. Po powrocie postanowimy, co dalej robić. W każdym razie mamy przed sobą czasu najmniej dwa dni. A teraz spać, spać, bo mi się wszystkie kości ze zmęczenia rozłążą.

— To nie ze zmęczenia, Maćku. To tutejsze powietrze, ta duszność tak człowieka rozbiera do naga. I wcale mnie nie dziwi, że i Murzynki i Murzyni tak lubią chodzić w dekolcie do pięt.

Dalszego ciągu mrukliwych rozważań Bartka Maciek już nie słyszał, a wkrótce i pan kapral zakończył swoją coraz mniej wyraźną mowę chrapaniem.

VII. BARTEK ZAKŁADA REPUBLIKĘ

Przez kilka godzin podrównikowej nocy Maciek i Bartek spali kamiennym snem. A właśnie w tym czasie szalała gwałtowna burza połączona z ulewą. Ale ani huraganowy ogień piorunów z nieustającym jarzeniem błyskawic, ani dudniący szum potopu nie były w stanie przerwać snu młodym organizmom. Oczyszczone z pary wodnej powietrze stało się świeże i chłodne. Po kilku godzinach pokrzepiającego snu obaj podróżnicy zerwali się z posłania. Do uszu ich dochodziły już tylko głuche odgłosy grzmotów milknącej burzy.

Na placu palarwowym już od samego świtu, mimo że deszcz jeszcze padał, zbierała się starszyzna wsi z młodym kacykiem Maja Gaja Kri na czele.

Król powietrza miał im przecież dać odpowiedź, od której zależał ich los co najmniej w najbliższych dniach. Wiedzieli, że w nocy nie odleci. Przyrzekł dać odpowiedź z rana i wierzyli, że dotrzyma słowa, ale dla pewności woleli już od świtu być na miejscu i mieć żelaznego ptaka na oku.

Bartek pierwszy wyszedł na plac, by zwolnić z warty doktora de la Roche i dopilnować porządku na miejscu zebrania.

Maciek kończył właśnie poranną toaletę, gdy do chaty wszedł Belg.

— Dzień dobry, przyjacielu — powitał doktor Maćka — widać dobrze ci się spało, kiedy cię taka gwałtowna burza nie obudziła.

— Nawet przez sen nie słyszałem piorunów, doktorze, toteż świetnie się wyspałem i wypocząłem.

— Dobrze, że burza i ulewa przeszły w nocy, może będziemy mieli kilka godzin dobrej pogody.

— Jak to „kilka godzin”? — zdziwił się Maciek.

— Może nawet kilkanaście godzin. To byłoby dowodem, że nieba tutejsze są dla ciebie bardzo łaskawe — odpowiedział doktor z uśmiechem.

— Zaraz, zaraz, panie doktorze! — Maciek przecierając czoło, starał się skupić myśli. — Przypominam sobie, jak pan profesor na lekcji geografii opowiadał, że w Afryce klimat jest bardzo zawiły. Że nie ma tu czterech pór roku, tylko zamiast lata i zimy są tu dwa okresy: okres suszy i okres deszczów. Czy tak, panie doktorze?

— Dobrze sobie przypominasz, przyjacielu. Te okresy nazywamy także porami albo sezonami. Ale wyobraź sobie, że tu, gdzie my się znajdujemy, jest tylko jeden ciągle trwający sezon.

— Jak to może być, panie doktorze? Proszę mi to opowiedzieć, dobrze?

— Mniej więcej przez środek Afryki od wschodu do zachodu przebiega równik i w niezbyt szerokim pasie wzdłuż niego na północ i na południe rozciąga się strefa podrównikowa.

W pasie tym słońce przez cały rok jednakowo operuje i to w linii prostopadłej do ziemi. Jest tu więc stale bardzo gorąco i wilgotno. Różnica w temperaturze występuje jedynie między dniem i nocą oraz przy znaczniejszych wzniesieniach nad poziomem morza. Właśnie ta kraina, w której my się znajdujemy, jest trochę wyżej położona i dlatego po burzy powietrze się oziębiło i orzeźwiło.

— Jaka szkoda, że nie mamy mapy Afryki! Tak chciałbym zobaczyć na niej, gdzie jesteśmy.

— Moje mapy zostały na stacji, ale z grubsza jakoś sobie poradzimy.

— Ach, kochany doktorze, w jaki sposób? — zawołał Maciek mocno zaciekawiony.

Belg uśmiechnął się i wyszukawszy w kącie kawałek jakiegoś twardego kija, pochylił się nad ubitym klepiskiem.

— Z mapami Afryki mam tak wiele do czynienia, że znam ją niemal na pamięć i spróbuję z grubsza taką mapę narysować. — Mówiąc to doktor począł kijaszkiem żłobić w ziemi kontury Afryki.

W oczach Maćka powstał wyraźny zarys tej części świata o kształcie przypominającym olbrzymią kolbę od rewolweru, przeciętą poza uchwytem linią równika. Przebiegający koło równika szeroki łuk, opadający daleko na południe, oznaczał rzekę Kongo. Od tej rzeki przebiegała w górę od równika, zawinięta następnie ku wschodowi, linia w kształcie bata; to była rzeka Ubangi i jej przedłużenie wijące się daleko pod nazwą Uele. Niedaleko tej rzeki doktor narysował kółko i oznajmił:

— To miasteczko zwie się „Niagara”, a niedaleko od niego znajduje się nasza wioska murzyńska.

— A gdzie leży Stanleyville? — zapytał Maciek wpatrując się w mapę.

— Nad rzeką Kongo, w tym miejscu — odpowiedział doktor żłobiąc nowe kółeczko. — Jak ci już mówiłem, jest to stolica prowincji, o tej samej nazwie, należącej do kolonii Konga Belgijskiego. Dzieli ją od nas około 500 kilometrów w linii powietrznej. Są to okolice dziewiczych lasów podrównikowych, pełnych tajemnic i niespodzianek.

— Jaka szkoda, że już musimy iść na wyznaczone zebranie. Opowiada pan takie ciekawe rzeczy panie doktorze, że chciałoby się słuchać bez końca.

— O, gdy przybędziesz do Stanleyville, dowiesz się znacznie więcej, gdyż tam posiadają i dokładne mapy, i opisy pełne ilustracji, rozmaitych zdjęć fotograficznych...

Rozmowę ich przerwał Bartek, który pojawił się na progu i oznajmił, że starszyzna i mieszkańcy wsi czekają od dawna zebrani na placu palarwowym.

Słońce już dobrze czerwieniło wierzchołki drzew, gdy Maciek w towarzystwie doktora de la Roche i Bartka ukazał się na placu.

Zebranie trwało krótko, gdyż Maciek za poradą doktora chciał wykorzystać pogodę i jak najprędzej wystartować do Stanleyville.

Wszedłszy na wzniesienie pod drzewem mangowym Maciek oznajmił wodzowi Maja Gaja Kri i zgromadzonej starszyźnie, że przychyła się do ich wczorajszej prośby i przez jakiś czas będzie się wsią opiekował. Teraz odleci wprawdzie z białym uczonym na parę dni, ale zastępować go będzie jego przyjaciel. Na zakończenie Maciek dodał, że postara się rozmówić z białymi braćmi, którzy tu zakładają facjendy i stacje, a gdy za kilka dni powróci, pewnie przywiezie z sobą wiele pięknych podarunków. Obietnice te, poczynione w porozumieniu z doktorem, uspokoiły Maja Gaja Kri i rzeszę jego pobratymców.

Maciek z de la Roche'em wystartowali, żegnani okrzykami całej osady, tłumnie wyległej na polanę.

Przy rozgłośnym warkocie silnika wypoczęty „Orzeł” ruszył z pasją z miejsca i już po kilku chwilach znikł za południową linią lasu.

Bartek przejął się do głębi swoją myślą zorganizowania tu, wśród dzikiej dżungli, bodaj

najprościej pomyślanej rzeczywistości.

Kapral Bartłomiej Paciorek był zdolnym mechanikiem, umiał więc myśleć i liczyć, a żołnierska służba nauczyła go dyscypliny i pokonywania trudności na drodze do wytkniętego celu. Począł zatem zaprowadzać ład dokoła siebie. Postanowił najpierw zająć się zorganizowaniem obrony na wypadek, gdyby Mustagi sprowadził napad na wieś. A więc, w jego mniemaniu, potrzebny był przede wszystkim sprawny, wyćwiczony oddział żołnierzy. Niemało trudu musiał włożyć w to, aby tubylcy zrozumieli, o co mu chodzi. Bez pomocy doktora de la Roche'a, znającego język tubylców, zdany był wyłącznie na gestykulację, mimikę i nader skromny zasób poznanych słów. Ale mimo tych trudności już po dwóch godzinach oddział złożony z 50 silnych i zgrabnych krajowców rozpoczął żołnierskie ćwiczenia.

Jako polski kapral z krwi i kości, który kiedyś zetknął się również z służbą w piechocie, Bartek uważał, że najlepsza na świecie jest komenda polska, tym bardziej że innej raczej nie znał. Upraszczając sobie i rekrutom pracę, ograniczył rozkazy do sześciu: „w lewo, w prawo, marsz, stać, padnij, oraz hura”, co oznaczało „naprzód”. Dzicy oczywiście najpierw poprzekręcali rozkazy po swojemu, potem dopiero starali się je zapamiętać. „W lewo” skrócili sobie na „leu”, „w prawo” na „pau”, a „marsz, stać, padnij, hura” na „maj, taj, paj, hur-hur”.

Przy tej okazji czarni rekruci nazwali swego komendanta „Leu-Pau-Pau”.

Mimo wysiłków Bartka nauka rzemiosła wojennego zrazu nie postępowała zbyt szybko. Przede wszystkim przeszkadzał upał. Poza tym Murzyni, z natury leniwi, wszelką pracę spychający na kobiety, nie bardzo chętnie zabierali się do ćwiczeń, widząc w nich nie tylko ciężką pracę, ale również obawiając się, czy duchy opiekujące się wsią przyjmą tę nowość przychylnie. W każdym razie, chcąc się zabezpieczyć przeciwko ewentualnym czarom, każdą komendę Bartka przed wykonaniem powtarzali wszyscy razem, starając się głosem i intonacją naśladować pana kaprała. Kiedy przyszło do marszu w nogę, Bartek chcąc ułatwić opornym żołnierzom uchwycenie rytmu, zorganizował orkiestrę z małych wyrostków, grających na dwóch bębnach „tam-tam” i kilku pustych flaszkiach po bukareszteńskich zapasach. Na razie skutek był taki, że rekruci zamiast maszerować, rozpoczęli solowe występy taneczne i dopiero ostra komenda „padnij”, powtórzona chóralnie jako „paj”, położyła kres fałszywemu wykonywaniu rozkazów.

Ale słońce już przypiekało na dobre i nikt nie chciał wykonać rozkazu „wstać!” Owszem, jeden na drugiego pokrzykiwał „taj-taj!”, lecz nikt nie wstawał. Musiał zatem Bartek wziąć się na sposób i obiecał posłusznym rekrutom po papierosie, nieposłusznym zaś zagroził surową karą. Tym razem skutek był bajeczny, zwłaszcza że papierosy były dla tubylców niezwykłą pojęcią.

Mimo takich trudności Bartek uporem swoim doprowadził do tego, że jakaś czwórka chwyciła wreszcie rytm i poszła jednym krokiem „w nogę”. Wtedy stała się rzecz niespodziewana: oto wspólny krok tak związał maszerującą czwórkę, że ku jej własnemu zdumieniu poczuła się ona jakby jedną zwartą całością. Już nie tylko nogi, ale i ręce poczęły wykonywać te same ruchy.

— Lewa! Lewa! — pochwycił Bartek odpowiedni moment i klaszcząc w dłonie markował takt.

— Leu! Leu! Leu! — poczęli wtórować do rytmu wojacy i po chwili już nie jedna, ale dwie, trzy wreszcie tyle czwórek, ile tylko dało się sformować, wybijało takt i wszystkie w jedną nogę maszerowały jak w tańcu. Teraz podjęto ćwiczenia z zapalem. Także orkiestra zgrała się już nie najgorzej. Bartek, łącząc czwórki z sobą, w niedługim czasie zmontował wcale zgrabny pluton. Murzyni, bardzo wrażliwi na rytmiczną muzykę, wnet spostrzegli niezwykły urok wspólnego marszu i obrotów na komendę. Nie był to żywiołowy taniec z kobietami i dziewczętami, ale tan samych mężczyzn, tan mądry i bojowy, który dawał im poczucie wielkiej siły tkwiącej we wspólnocie ruchów i wysiłku. Toteż pracowali z zapalem. Dopiero wzmagający się skwar i duszność oraz głód dokuczający komendantowi przerwały te

pierwsze ćwiczenia niemniamskiej armii, która przy tej okazji poznała jeszcze dwa rozkazy: „spocznij” i „rozejść się”, przetłumaczone szybko na „poj” i „roj”.

Maciek i doktor de la Roche lecieli nad oceanem zieleni, poprzerwanym licznymi błyskającymi żyłami rzek i potoków, często pieniających się wodospadami. Maciek zniżył lot „Orla” ile tylko się dało, by z jak najmniejszej odległości oglądać cuda przyrody, a równocześnie słuchał podawanej mu przez słuchawki opowieści doktora.

— Lecimy nad niezmiernymi lasami dziewiczej krainy zwącej się Ituri. Odkrył ją po raz pierwszy w latach między 1874 a 1877 wielki podróżnik belgijski, Stanley, który w tym czasie na zlecenie dwóch firm amerykańskich odbył wielką wyprawę w poprzek Afryki Centralnej. W czasie tej wyprawy przebycie samej puszczy Ituri zabrało mu sto sześćdziesiąt dni czasu, przy czym w walkach z głodem, chorobami i niebezpieczeństwami puszczy stracił on przeszło połowę ludzi ze swej licznej drużyny. Tu, pod Stanleyville, przelecimy nad olbrzymią rzeką Kongo, której cały bieg był szczególnym przedmiotem badań tej wyprawy.

Maciek, rozmiłowany w opisach podróży i wypraw, miał w swojej bibliotece domowej sporo książek na te ulubione tematy. Wiedział również coś niecoś o afrykańskich wyprawach misjonarza Livingstone'a i podróżnika Stanley'a. I oto teraz znalazł się nad puszciami, które tamci doświadczeni podróżnicy odkryli, przez które w nieludzkim trudzie przebijali się przez wiele miesięcy. A on, Maciek, dzięki wspaniałemu wytworowi umysłu i rąk ludzkich, samolotowi, pokonuje te rozległe przestrzenie w kilka godzin bez ofiar i bez szczególnego wysiłku.

Siedząc wygodnie w kabinie obserwował zmieniające się widoki, nad którymi przepływał z szybkością 250 km na godzinę. Mógł wprowadzić tę szybkość zwiększyć, ale musiałby się wzbąć wyżej, przez co obrazy okolic bardzo by się zatarty i mijałyby za szybko. Belg siedząc obok Maćka co chwila wskazywał palcem w dół i wykrzykiwał objaśnienia. Zaraz na początku lotu spotkali olbrzymie stado słoni, które mocno się zaniepokoiło rozgłośnym warkotem samolotu. Po chwili z jakiejś małej polanki pierzchło przed nimi stado bawołów. Tu i ówdzie sterczały spiczaste dachy wiosek tubylców.

Las stawał się coraz gęściejszy, swoją przepyszną szatą czarował oczy. Gdzieniedzie ponad brzegami rzek otwierały się nagle przedziwne aleje drzew, przypominające kolumnady wspaniałych świątyń. Na gołej, nieporosłej trawą ziemi stały olbrzymie kolosy serowców, wczepione w ziemię potężnymi łapami rozgałęzionych korzeni. Gdzie indziej odosobniona grupa jednakowych, smukłych palm, kłaniała się pióropuszcami swych strojnych czubów. Zieleń coraz przerywała jakaś spieniona rzeka, na której brzegach wylegiwały się jaszczury i aligatory. Wśród drzew i gąszczy uwijały się stada zwinnych małp. Tu i ówdzie zrywały się nieprzeliczone chmary tropikalnych ptaków i zdawało się, już, już ruszą do ataku na rozgłośnie warczącego, potężnego intruza.

Przelatywali nad zaszytymi w gąszczu wioskami, których mieszkańcy przerażeni niezwykłym zjawiskiem kryli się w pośpiechu, aż dziw brał nad ich zwinnością. Byli to maleńcy Pigmejczycy. Od nich to właśnie dżungla ta nosi nazwę Lasu Pigmejów.

O tym wszystkim doktor opowiadał Maćkowi, a równocześnie ołówkiem rysował jakiś szkic w opartym na kolanach notesie.

Mijał kwadrans za kwadrans, Maciek był coraz bardziej oczarowany. Jakąż wdzięczność żywił teraz dla swojego ojca za naukę latania, która umożliwiła mu doznanie w tak krótkim czasie niezmiernego bogactwa wrażeń i przygód. Jakżeż dumny czuł się z posiadania władzy nad tą przedziwną maszyną, tak swobodnie i szybko przepływającą pod błękitami nad ziemią, która z góry wygląda jak bajka, a w dole kryje tysiące niebezpieczeństw i groźnych niespodzianek.

Nagle pod nimi wyrosły lekkie wzgórza.

— To pagórkowaty brzeg rzeki Aruwimi — przerwał dłuższe milczenie de la Roche. —

Za kilkanaście minut przelecimy nad rzeką Lindi, a za niespełną godzinę powinniśmy być w Stanleyville.

Doktor wyciągnął rękę i podał Maćkowi kartkę wydartą z notesu z naszkicowaną mapką tej części ziemi, nad którą przelatywali.

Maciek spojrział na szkic, uśmiechnął się radośnie i schwyciwszy szybko rysunek, umieścił go przed sobą.

— Och, doktorze, oddaje mi pan tą mapką ogromną przysługę.

Na kartce była narysowana środkowa część biegu rzeki Kongo z siecią wpadających do niej rzeczek oraz z miastem Stanleyville. Jedna z rzeczek na północny wschód od Stanleyville oznaczona była nazwą Lindi. Mała strzałka określała obecne położenie i kierunek lotu „Orła”.

Właśnie wypłynęli poza pas dżungli. Lasy stawały się rzadsze, a coraz gęściej ukazywały się rozsypane po pagórkach małe wsie. Zbliżali się do większego skupiska ludzkiego, którym mogło tu być jedynie miasto Stanleyville. Maciek westchnął z ulgą uważając, że i ta część przygody wkrótce znajdzie dobre zakończenie.

Sprawa zdawałoby się już przesądzona zaczęła się nagle wikłać. Oto kilkogodzinna piękna pogoda szybko się zmieniała. Powietrze stało się niezwykle parne, a niebo pokryły ciężkie, burzowe chmury. W zaczajonej ciszy wzbierała burza. Maciek obejrzał niebo i lekko strwożony zwrócił się do Belga:

— Znosi się na burzę, doktorze.

— Tak to wygląda. Ale miejmy nadzieję, że nic nam nie grozi. Tutejsze burze są bardzo hałaśliwe i na oko srogie, trwają jednak krótko i niewiele czynią złego. Zdarzają się kilka razy na dzień, wylewają na ziemię morza wody, ale wyładowują swoją energię elektryczną głównie między chmurami, a towarzyszące im wichury są wprawdzie gwałtowne, lecz krótkotrwałe.

W tej chwili nagły wichur szarpnął silnie samolotem. Burza spadła od razu potokami ulewy i huraganem ognia, topiąc w swym wnętrzu „Orła” wraz z jego pasażerami. Na szczęście kierunek wichru zgadzał się niemal z kierunkiem lotu „Orła”. Maciek lekkim przegięciem dźwigni skorygował różnicę i teraz samolot, niesiony pędem powietrza, zmienił nieco kierunek ku południowi. Upłynęło zaledwie kilkanaście minut, a burza w pewnej chwili nagle opadła bezsilnie. Resztki postrzępionych chmur szybko przekłębiły się pod samolotem, pozostawiając wokół jasną i przejrzystą przestrzeń. Zanim więc Maciek zdążył na prowizorycznej mapce zorientować się w położeniu „Orła”, mógł zupełnie dokładnie obserwować mijany w locie krajobraz. Oto dołem toczyła się niezwykle szeroka rzeka, którą w poprzek przecinały, otoczone kłębami pyłu wodnego i srebrzystej piany, potężne wodospady. Mimo iż powietrzni wędrowcy oglądali je z góry, progi skalne, z piętrzącym się na nich żywiołem wodnym, robiły niezwykle silne wrażenie. Huk i szum staczających się i lecących w przepaść mas wodnych wypełniał powietrze.

— Pod nami wodospady Stanley'a! — krzyczał doktor de la Roche.

— Jakież to piękne i ogromne, aż trudno na to patrzeć — odpowiedział cicho Maciek, nie myśląc o tym, czy doktor usłyszy i zrozumie jego odpowiedź.

Dopiero po dłuższej chwili Maciek opanował się na tyle, że mógł spojrzeć na przyrządy i mapkę. Pogodę trzeba było szybko wykorzystać, by uniknąć nowej niespodzianki. Maciek nastawił lot „Orła” w kierunku spływu rzeki, uważając słusznie, że będzie to najkrótsza droga do Stanleyville, położonego na prawym brzegu Konga.

Ledwie przelecieli nad progami kilkunastu katarakt i wodospadów, gdy nad prawym brzegiem toczącej się szeroko ku północnemu zachodowi rzeki zamajaczyły zarysy wież i kominów, a po chwili większych budowli. Na horyzoncie z prawej strony coraz wyraźniej rysowało się wielkie miasto.

— To Stanleyville! — z radością zakomunikował de la Roche.

— Och, najwyższy czas, panie doktorze! Lecimy resztkami benzyny — odpowiedział

Maciek.

Na szczęście benzyny wystarczyło jeszcze na okrążenie dość dużego miasta i odszukanie wygodnego lotniska zaopatrzonego w hangary i warsztaty.

VIII. W STANLEYVILLE

Niezapowiedziany samolot lądujący na lotnisku w Stanleyville wzbudził ogromne zainteresowanie wśród załogi hangarów i warsztatów otaczających szerokim kręgiem lotnisko. „Orzeł”, którego zgrabna sylwetka przyciągała oczy, toczył się z lekka podskakując po gładkiej jak stół naturalnej nawierzchni, a ze wszystkich stron wybiegali ludzie, wymachując na powitanie rękami. Jeszcze Maciek i doktor nie zdążyli zeskoczyć z maszyny na ziemię, gdy już ich zewsząd otoczono i zasypano pytaniami w kilku językach, przeważnie jednak po francusku.

— Witajcie, niebiescy wędrowcy! Skąd leciecie?

— Do kogo należy ten piękny samolot?

— Czy to możliwe, żeby ten młody chłopiec był pilotem tego potężnego ptaka?!

Te i tym podobne pytania sypały się jedne przez drugie i dopiero po dłuższej chwili de la Roche i oszołomiony wrzawą Maciek zdolali podać o sobie zaspokajające ciekawą rzeszę informacje. Na wiadomość, że ten kilkunastoletni lotnik jednym rzutem dostał się z południowej Europy do środkowej Afryki, co młodszy hangarowcy, mimo piekielnego skwaru, porwali Maćka na ramiona i wiwatując bez przerwy ponieśli go do kapitanatu lotniczego. Rozumie się, że przez ten czas i de la Roche, z niezwykłą radością witany, musiał odpowiadać na setki pytań.

Kapitanat mieścił się w zgrabnym parterowym budynku z obszerną werandą i wysoką wieżyczką pośrodku, uzbrojoną w fruwały „rękaw wiatrów”. Gdy Maciek z doktorem przeszli do biura kapitanatu, towarzysząca im gromada ludzi rozsiadła się na leżakach na ocienionej werandzie, żywo komentując niespodziewane zdarzenie. Tak się złożyło, że w hangarach Stanleyville w danej chwili nie było ani jednego samolotu, a jedynie w warsztatach, zresztą dość prymitywnych, wśród kilkunastu ciężarowych samochodów sterczał jeden mocno poturbowany dwupłatowiec. Toteż już po chwili odpoczynku spora gromadka obsługi zbiegła z werandy i skierowała się do „Orła”, który dumnie błyszcząc w słońcu, odpoczywał na środku lotniska. Przybyli z podziwem oglądali wspaniały aparat, mający za sobą zwycięską, niezwykle daleką i niebezpieczną podróż. Ten i ów z mechaników próbował zajrzeć do kabiny, ale zwyczaj lotniczy nie pozwalał nikomu wejść do środka podczas nieobecności pilota lub bez jego zgody. Zresztą w bardzo krótkim czasie z kapitanatu portu podjechał do „Orła” samochód osobowy, przywożąc Maćka i doktora w towarzystwie komendanta portu i kierownika hangarów.

Zbliżało się południe, pora, w której życie w podrównikowej Afryce zupełnie zamiera. „Orła” przetoczono szybko pod dach hangaru, pozostawiając bliższe obejrzenie go na później, a samochód z gośćmi i komendantem pomknął do miasta, by jak najszybciej schronić swoich pasażerów w cieniu ogromnej werandy gmachu administracji prowincji Stanleyville. Dwie godziny trwał odpoczynek w wygodnych leżakach na werandzie w przyjemnym podmuchu elektrycznych wiatraczków, przy popijaniu chłodnych napojów, podawanych przez obsługę. Dopiero gdy skwar trochę się zmniejszył, Maciek i doktor zostali przyjęci przez gubernatora, który w otoczeniu wyższych urzędników administracji z niezwykłym zainteresowaniem wysłuchał opowiadania Maćka o przebytych przygodach, uzupełnionego sprawozdaniem doktora

de la Roche. Opowiadania te ogromnie poruszyły gubernatora. Zapowiedział on na rano następnego dnia swoją wizytę na lotnisku celem obejrzenia maszyny, a równocześnie polecił podwładnym urzędnikom opiekę nad Maćkiem i jego aparatem oraz pomoc w jak najszybszym uzyskaniu porozumienia z Warszawą.

Żywe zaciekawienie wzbudziło również opowiadanie doktora de la Roche, który, jak się okazało, był jednym z najdzielniejszych badaczy życia w głębi Afryki. Jego prace nad poprawą warunków zdrowotnych i sposobami walki z epidemiami podzwrotnikowymi, a szczególnie z plagą malarii i zarazków śpiączki, roznoszonymi przez komary i muchę tse-tse, były niezwykle cenione przez władze i organizatorów życia nie tylko Konga Belgijskiego, ale i innych kolonii. Toteż wieść o napadzie na faktorię, w której znajdowała się stacja naukowa znakomitego Belga, oraz o jego porwaniu i cudownym ocaleniu, szybko obiegła całe miasto.

Dotarła przede wszystkim do dyrektora Instytutu Badań Naukowych w Stanleyville, sławnego geografa, profesora uniwersytetu brukselskiego, Johna Ryckmansa, który wiedziony pasją naukową osiedlił się tu, w sercu Afryki na kilka lat. Ryckmansa wiązała dawna przyjaźń z de la Roche'em, nic też dziwnego, że na wiadomość o przylocie doktora znakomity profesor zaprosił swego przyjaciela wraz z Maćkiem w gościnę na cały czas ich pobytu w Stanleyville.

Tego dnia po południu przyjaciele nasi zakwaterowali się w willi profesora, położonej z dala od miasta, na urwistym, silnie zadrzewionym brzegu, huczącej głucho, wspaniałej rzeki Kongo. Obaj goście umieszczeni zostali na piętrze w dużym, dostatnio umeblowanym pokoju, z oknami wychodzącymi na rzekę, zawieszonymi gęstymi zasłonami przeciwko owadom. Willę otaczało morze skłębionej zieleni różnorodnych drzew i krzewów podzwrotnikowej flory.

Zaraz po rozgoszczeniu się na kwaterze Maciek w towarzystwie swego opiekuna, wyznaczonego przez gubernatora, udał się do urzędu poczt i telegrafów, gdzie nie zwlekając podjęto próby połączenia się z Warszawą. Jednak wszelkie usiłowania bezpośredniego połączenia spełzły na niczym. Wobec tego Maciek z pomocą towarzysza ułożył długą depeszę, zaadresowaną do dowództwa pułku lotniczego w Warszawie, na nazwisko kapitana Tatara, która została bezzwłocznie nadana drogą telegraficzną. Odpowiedź jednak mogła nadejść najwcześniej nazajutrz.

W drodze powrotnej na kwaterę opiekun zaprosił Maćka do jednego z większych sklepów przy głównej ulicy miasta, gdzie wreszcie chłopak zmienił dobrze wysłużony i na wskroś przepocony lotniczy kombinezon na lekkie, białe, płócienne ubranie.

Wieczorem do willi profesora przybyło kilkanaście osób, znajomych de la Roche'a, by poznać młodzieńczego lotnika, o którym opowiadało już całe miasto, oraz nacieszyć się widokiem ocalonego rodaka. Profesor Ryckmans zaprosił gości na obszerną werandę zabezpieczoną gęstymi zasłonami i jasno oświetloną różnokolorowymi lampionami. Goście rozsiedli się wygodnie na otomanach, leżakach i fotelach oraz zwykłych ławach zasłanych skórami dzikich zwierząt. Na niskich stołach porozstawiano konwie, wazy i wiaderka z chłodzącymi napojami, elektryczne wiatraczki poszły w ruch, powodując przyjemny podmuch. Rozpoczął się miły, pełen gwaru wieczór towarzyski.

Maciek po raz pierwszy w życiu brał udział w tak licznych zebraniach ludzi dorosłych. Z ciekawością więc rozglądał się dokoła, tym bardziej że początkowo on właśnie był głównym ośrodkiem zainteresowania zebranych. Zasypany pytaniami, na które odpowiadał jak umiał, ze wszystkich stron częstowano go napojami i różnymi smakołykami, ale po zaspokojeniu ciekawości i jak by zadość uczynieniu formom grzeczności, zwracano się już tylko do doktora de la Roche i z nim wdano się w ożywioną rozmowę. Skorzystał z tego Maciek, znużony całodziennymi trudami, i przymknął oczy. Usiłował zebrać myśli i uporządkować wrażenia dnia. Pojmował, że wprawdzie on i jego samolot wzbudził wielkie zainteresowanie, ale to, co doktor opowiadał, musiało być znacznie ciekawsze i ważniejsze dla zebranych, gdyż dyskusja wśród nich nabierała niezwykle gorących akcentów. Mimo coraz silniej ogarniającej go senności, Maciek starał się uchwycić przynajmniej ogólny sens tej rozmowy, toczącej się

przeważnie w języku francuskim. Wychwytywał pojedyncze słowa, jak: złoto, diamenty, uran, bawelna, tytoń, olej, a poza tym mnóstwo cyfr. Padały rozmaite nazwy firm, banków, towarzystw i przedsiębiorstw, wymieniano miejscowości i rzeki, mówiono o jakichś planach, zamierzeniach, o przewidywaniach. Tematy te brzmiały dziwnie obco dla Maćka. Ponadto coraz słabiej dochodziły do jego świadomości odgłosy rozmowy i powoli zaczęły zlewać się z monotonnym, kołyszącym szumem pobliskiej rzeki. Jeszcze jak przez mgłę rozpoznał miłą twarz profesora Ryckmansa pochyloną nad sobą, jeszcze zdawało mu się, że ktoś go podnosi, a potem już wszystko rozplynęło się i znikło.

O świcie zbudziła Maćka wdzierająca się przez okno wrzawa rozbudzonego ptactwa i rzeńskie jak po burzy powietrze. Słońce dawno już wzeszło, przez otwarte okna kładło się skosem na podłozie gościnnego pokoju. Na tapczanie obok pochrapywał doktor de la Roche. Maciek rozglądając się dokoła usiłował odtworzyć sobie wczorajszy dzień i jego zakończenie. Wtem przypomniał sobie, że przecież gubernator chciał z samego rana obejrzyć „Orła”. W jednej chwili zerwał się z posłania, w przylegającej łazience wziął zimny prysznic, włożył swoje nowe płócienne ubranie i skierował się ku drzwiom, gdy nagle spostrzegł, że doktor już rozbudzony siedzi na swoim tapczanie i z uśmiechem mu się przygląda.

— Cóż to, Maćku? Chcesz mnie tu zostawić samego?

— Spał pan tak smacznie, panie doktorze, że nie chciałem pana budzić, a na lotnisko sam chyba trafię. Przecież ma tam przybyć pan gubernator, muszę więc przed tym obejrzyć „Orła”.

— Ach, prawda! Poczekać na mnie chwilę, pojedziemy samochodem profesora.

— Nie możemy przecież budzić profesora.

— Nie potrzeba go budzić. Profesor wydał już wczoraj dyspozycję, aby samochód czekał na nas od samego rana.

W drodze na lotnisko doktor zakomunikował Maćkowi, że czcigodny profesor czeka na nich ze śniadaniem i z pewną niespodzianką dla Maćka. Jaka to miała być niespodzianka — de la Roche nie umiał, a może nie chciał powiedzieć.

Gubernator przybył na lotnisko otoczony sztabem swoich pracowników. „Orzeł” stał przed hangarami oczyszczony przez obsługę. Oględziny aparatu były niezwykle skrupulatne. Gubernator żywo interesował się polskim samolotem. Pytał o jego zasięg, o szybkość, o nośność i uzbrojenie, badał użyteczność i stan przyrządów oraz aparatury. Maciek na wszystkie pytania dawał krótkie odpowiedzi, walcząc z trudnościami językowymi. Doktor w rozmowie tej służył za tłumacza i uśmiechem wyrażał swoje zadowolenie z lotniczo-technicznej wiedzy Maćka. Przy pożegnaniu gubernator podając Maćkowi rękę z przyjacielskim uśmiechem zaprosił go wraz z doktorem na obiad do gubernatorstwa, co według miejscowych zwyczajów było wielkim wyróżnieniem.

Po wizycie gubernatora całe tłumy obiegły „Orła”, o którego locie krążyły już istne legendy. Wprawdzie w tej części świata niemal wszyscy spotykani biali zaznali wielu niezwykłych przygód, fakt jednak, że tym razem bohaterem jest młodziutki chłopak, stwarzał szczególną atmosferę zaciekawienia i gorącego uznania. Zwłaszcza podobało się to, że Maciek nie przyznawał się do żadnych zasług i stale wskazywał na „Orła” jako na właściwego bohatera.

Wkrótce doktor i Maciek powrócili na swoją kwaterę, gdzie oczekiwał ich ze śniadaniem profesor. Maciek pamiętał dobrze o zapowiedzianej niespodziance, ale przecież nie wypadało mu się o nią upomnieć. A tymczasem profesor nalewał herbatę, podawał jajka, pieczywo i owoce, przy czym sam zajadał z apetytem. Gdy już wszyscy trzej dostatecznie zaspokoili głód, profesor odstawiając pustą filiżankę, pogładził brodę i po chwili milczenia zwrócił się do Maćka:

— A teraz pozwól, chłopcze, że zadam ci jedno pytanie.

Głos profesora, który żartował przez cały czas śniadania, nagle jak by spoważniał i

Maciek wyczuł, że to pewnie zbliża się zapowiedziana niespodzianka. Spojrzał więc z uwagą na gościnnego gospodarza i odpowiedział z zaciekawieniem:

— Słucham pana, panie profesorze.

— Czy ty sobie zdajesz sprawę, drogi chłopcze, nad jakim to krajem przeleciałeś i jaką przeżywasz przygodę?

Maciek zarumienił się aż po uszy, bo nagle przypomniał sobie, że jest tylko uczniem i że... o Afryce uczył się bardzo niewiele. Widząc jednak mądrą twarz profesora, a szczególnie jego rozumne, dobre oczy za okularami, uśmiechnął się jak by prosząco i odpowiedział z wahaniem:

— Nie spodziewałem się, że mnie ta przygoda zanieśie aż w głąb Afryki i nie przygotowałem się do tej... lekcji.

Profesor ujęty uśmiechem Maćka również uśmiechnął się serdecznie.

— Brawo, chłopcze! Spodziewałem się od ciebie takiej odpowiedzi. I dlatego proponuję ci, że może tę „lekcję”, jak powiadasz, bodaj w skróceniu, razem przejdziemy.

Maćkowi aż oczy zapłonęły z radości.

— Och., panie profesorze! Strasznie by mi się to przydało i bardzo o to proszę.

— W takim razie pozwólcie, panowie, za mną.

Profesor zaprowadził obu swoich gości do sąsiedniego pokoju, który był jego pracownią. Maciek, który jeszcze nie widział żadnej pracowni uczonego, stanął zdumiony. Pod ścianami dużej sali stały półki obrosłe tysiącami książek i zeszytów, teczek i rulonów; pomiędzy półkami na ścianach i sztalugach wisiały kolorowe mapy, powiększone fotografie i wykresy, w oszklonych szafach połyskiwały i mieniły się rozmaite minerały, kamienie, próbki ziemi, w innych zasuszone na szpilkach owady i wypchane ptaki, płazy, a nawet nieduże zwierzęta. Słowem, bogaty gabinet przyrodniczy, składający się z kilku połączonych z sobą pokoi i korytarzy. Przed niejedną szafą czy gablotą Maciek chętnie by się zatrzymał, aby bliżej przyjrzeć się okazom, profesor jednak nic nie mówiąc prowadził ich dalej, aż wreszcie dotarli do ostatniej salki, pośrodku której na masywnym postumencie stał olbrzymi plastyczny globus.

— Ziemia! Globus plastyczny!

— Tak jest, chłopcze. Nasza ziemia.

— Ale jaki ogromny ten globus, jak wspaniale wykonany! — Maciek nie mógł się dość nadziwić, obchodząc potężną kulę dokoła.

— Z czego on jest zrobiony, panie profesorze?

— Jest to specjalna masa plastyczna. Oś tego globusu ma blisko dwa metry długości. Nad wykonaniem tej kuli pracowało przez blisko rok czasu czterech kartografów, to znaczy specjalistów od map, i drugie tyle rzemieślników. Ale przypatrz się, przyjacielu, z bliska, jak dokładnie i pięknie wykonane są te łańcuchy górskie, warstwie i bloki wyżyn, żyły rzek, rozlewiska mórz i jezior, archipelagi wysp i lodowe bloki pól podbiegunowych.

— Ależ tu są wyrzeźbione nawet większe miasta i porty! — zawołał Maciek, nie mogąc oczu oderwać od globusu.

Tymczasem profesor nacisnął jeden z kontaktów i nagle globus rozbłysnął od środka pięknym, seledynowym światłem, równomiernie wypełniającym całą kulę. Dzięki temu można było łatwo czytać na niej bieg rzek i łańcuchów górskich oraz porozrzucane napisy w różnych kolorach, zależnie od tego, co opisywały, a równocześnie wystąpiły jak by od spodu przeciągnięte kolorowe linie południków i równoleżników, wśród których czarną obręczą odznaczał się równik.

Maciek aż w dłonie zaklaskał z podziwu, a doktor de la Roche, który dotąd milcząco towarzyszył profesorowi i uczniowi, powiedział cicho:

— Istny cud techniki.

Po chwili profesor nacisnął inny kontakt i oto ziemia zaczęła kręcić się naokoło swojej

osi. Po kilku obrotach, którym towarzyszyły wykrzykniki Maćka, wymieniającego nazwy lądów i mórz przepływających przed oczami, profesor zatrzymał obrót kuli w momencie, gdy przed nimi przepływała Afryka.

— Afryka! — zawołał Maciek.

— Tak, Afryka — powtórzył profesor — w której sercu właśnie się znajdujemy. Chciałbym cię z nią bliżej zaznajomić.

— Daruj, profesorze, że wtrączę tu swoje trzy grosze — wmieszał się do rozmowy doktor de la Roche — ale przyjaciel nasz, mimo swego młodocianego wieku, posiada sporo wiadomości także o Afryce.

— A jednak, panie doktorze — odpowiedział Maciek — Afryka, o której się uczyłem, jest zupełnie inna, aniżeli ta, którą teraz oglądam w naturze. Pamiętam, że Afryka jest trzy razy większa od Europy, pamiętam, że ludność jej liczy przeszło sto czterdzieści milionów, ale przecież te cyfry niewiele mówią o Afryce. Tu jest zupełnie inne powietrze, inna roślinność, inne zwierzęta i ludzie. Zdaje się, że nawet rzeki inaczej tu płyną niż u nas.

— Masz rację, chłopcze. Afryka jest kontynentem o niezwykle niespodziankach, czasami na pozór wręcz nieprawdopodobnych. Ot, przyjrzyj się na przykład tym niebieskim żyłkom, tu, na pustyniach Sudanu czy Sahary — profesor cienkim pręcikiem jął wodzić po globusie.

— To są przecież rzeki. Ale dlaczego te linie są w wielu miejscach poprzerywane, a często nawet zupełnie się urywają? — zdziwił się Maciek.

— Tak, to są rzeki, i to duże, a jednak niektóre z nich nagle giną, urywają się, wsiąkają w piasek. Oto te znikające rzeki co roku w okresie deszczów płyną przez kilka miesięcy, a później znikają i pozostawiają po sobie tylko suche koryta.

Wodząc pręcikiem po wspaniale wyrzeźbionej mapie Afryki, profesor Ryckmans snuł opowieść o cudach czarnego lądu.

W miarę opowiadania przechodził wzdłuż ścian wskazywał na duże fotografie i tablice, albo też na poumieszczane w oszklonych szafach wypchane okazy mniejszych zwierząt i ptaków, wśród których wyróżniały się papugi, flamingi i pelikany, uzbrojone w potężne dzioby, z obszernymi torbami służącymi do połowu ryb.

W osobnych gablotach mieściły się nakłute na szpilki rozliczne motyle, termity, komary oraz muchy, między innymi mucha tse-tse, której ukąszenie powoduje ciężką chorobę śpiączki u ludzi i bydła, komary roznoszące zarazki malarii oraz okazy bardzo przykrej i niebezpiecznej pchły piaskowej.

Upłynęło kilka godzin zanim wzmagający się skwar i duszność nakazały prelegentowi i słuchaczom przerwę na południowy odpoczynek.

— No, chłopcze, na dziś mamy chyba dość. Chciałbym cię jeszcze zaznajomić z kilkoma innymi sprawami, ale odłożymy to do jutra, bo mam nadzieję, że zabawisz wśród nas kilka dni — kończył profesor swój wykład.

— Nie wiem, panie profesorze. Czekam na odpowiedź z Warszawy.

— Jestem przekonany — wtrącił doktor de la Roche — że odpowiedź ta zaleci ci kilka dni odpoczynku. Twoją drogę powrotną trzeba opracować dokładnie i musisz się do niej przygotować, bo chyba nie liczysz na to, że cię jakaś burza na zamówienie odniesie z powrotem do Warszawy.

— Gdybym mógł nawet zamówić taką burzę — uśmiechnął się Maciek — chciałbym wprawdzie jeszcze skorzystać z wiedzy pana profesora i dowiedzieć się jak najwięcej o czarnym lądzie skoro już tutaj jestem.

— Widzisz, chłopcze — podjął profesor — w tym zaznajomieniu ciebie ze sprawami Afryki i my mamy swój cel. Ale o tym opowiem ci jutro, gdyż teraz musimy odpocząć.

Po południu odbył się obiad u gubernatora, w którym prócz Maćka wzięli udział

również profesor Ryckmans i doktor de la Roche. Obiad przebiegał w bardzo miłym nastroju i bez przestrzegania specjalnych ceremonii, zwłaszcza że towarzystwo składało się z ogorzalych, zaprawionych w trudnej służbie kolonizacyjnej oficerów, lekarzy, inżynierów i urzędników. Biesiadnicy wdali się z sobą w rozmowy na tematy zdawałoby się tylko ich interesujące. Maciek jednak z łatwością zauważył, że podobnie jak na wczorajszym przyjęciu w domu profesora, tak i na obecnym wciąż przewijają się nazwy rozmaitych instytucji i firm przemysłowych i transportowych, wymieniane są miasta i okręgi, padają nazwy rozmaitych surowców, kopalin i produktów. Wczoraj Maciek znużony podróżą usnął wśród szumu podobnych rozmów. Dziś jednak, po lekcji odbytej z profesorem, z ciekawością nastawiał uszu i niejedno zasłyszane zdanie notował sobie w pamięci. Mówiono o buntowaniu się czarnych, ktoś wspominał o konieczności podniesienia Murzynom zarobków, ktoś inny narzekał na brak rąk roboczych w kopalniach, jeszcze inny, powodowany troską o interesy białych, ostrzegał przed zbyt szybkim cywilizowaniem tubylców. Sam gubernator mówił mało i raczej wypytywał lekarzy i inżynierów o postępy w ich pracach.

Maćkowi, który siedział obok gubernatora, psuło trochę humor zbyt przeciągające się oczekiwanie na odpowiedź z Warszawy. Wiedział jednak, że nie ma na to żadnej rady. Wtem pod koniec obiadu, do sali wszedł młody urzędnik, widocznie dyżurny, i podał gubernatorowi na tacy jakiś papier mający wygląd depechy. Maciek, tknięty przecuciem, aż po włosy oblał się rumieńcem i poczuł, jak mu serce nagle niespokojnie załomotało.

Gubernator wziął papier do ręki, obejrzał i nie czytając z uśmiechem podał Maćkowi.

— Zdaje się, że nadszedł koniec twojego niepokoju, młodzieńcze: oto nadeszła odpowiedź z Warszawy.

Depesza pochodziła od ojca, kapitana Tatar.

Drogi chłopcze meldunek twój przyjęliśmy stop depeszujemy do właściwych władz z prośbą o opiekę nad tobą stop pieniądze przekazujemy na bank belgijski stop odpocznijcie co najmniej tydzień nie śpieszcie się stop trasę powrotną opracuj wzdłuż nilu na malakach chartum haifę kair aleksandrię sofję belgrad budapeszt warszawę stop depeszuj datę startu z każdego lotniska stop jaskółka wróciła stop ja już jestem zdrow stop bywaj chłopcze twój
ojciec

Maciek dawno już skończył czytać, a wciąż jeszcze nie mógł oczu oderwać od depechy. Powtarzał szeptem zdanie po zdaniu. Ileż uczuć poruszyły w nim te proste słowa, ile siły mu dodały! Gdyby się nie wstydził, przycisnęłoby ten papier do ust i ucałował. Ale Maciek, starający się zawsze panować nad sobą, nie lubiący wszelkiego mazgajstwa, wyciągnął rękę z depeszą do gubernatora i przemówił spokojnie:

— Dziękuję, panie gubernatorze, i proszę o przeczytanie tej depechy.

— O, z największą przyjemnością to uczynię, chłopcze.

Gubernator szybko przebiegł oczami depechę i zwracając ją Maćkowi powiedział z uśmiechem:

— Cieszę się, chłopcze, wraz z tobą i proszę cię, ażebyś czuł się u nas jak we własnej ojczyźnie.

Gdy powrócili do willi profesora, zastali tam już sporo osób zgromadzonych na werandzie. Byli wśród nich goście z wczorajszego wieczora, ale byli i inni, zwracający na siebie uwagę, jacyś obcy, zachowujący się dość hałaśliwie i mówiący kilkoma językami, najczęściej po angielsku, po francusku i po niemiecku. Byli to podobno amerykańsko-europejscy turyści, którzy odwiedzili słynnego uczonego, by z nim porozmawiać o czarnym lądzie. Ale już po pierwszych słowach zamienionych z nimi twarz uczonego się zmieniła, spochmurniała. Wystarczyło to uważnemu Maćkowi, by powziąć pewną nieufność do tych gości.

Na werandzie znowu rozpoczął się ruch podobny do wczorajszego. Służba, złożona z samych Murzynów, roznosiła napoje chłodzące, goście skupiali się w grupkach i żywo dysku-

towali, mimo gorąca i duszności, łagodzonej, co prawda, powiewem płynącym od kilku wentylatorów. Profesor z turystami przeszedł do dalszych pokoi, a wkrótce po tym reszta gości poczęła się rozchodzić.

Gdy Maciek z doktorem znaleźli się w swoim pokoju, chłopak, zrzuciwszy lekkie ubranie, wyciągnął się wygodnie na tapczanie i poczekawszy, aż doktor też się ułoży, zapytał na pozór obojętnie:

— Czy nie wie pan, doktorze, po co przybyli ci „turyści”?

— Dokładnie nie wiem, Maćku, ale jestem pewien, że przyjechali tu umyślnie, by zażądać fachowej porady od profesora.

— Jak to fachowej porady — zdziwił się Maciek. — Przecież oni wyglądają raczej na kupców niż na uczonych czy badaczy-turystów.

— Masz rację. Nie są to wprawdzie kupcy, ale bardzo bliscy ich kuzyni.

— To znaczy subiekci czy ekspedienci?

Doktor roześmiał się głośno.

— Och, ja nie mówię o ubogich krewnych i płótkach. Tu chodzi o grubsze ryby. — Przy tych słowach doktor pochylił się i chociaż byli sami w pokoju, obejrzał się i ciągnął dalej ściszym głosem.

— To międzynarodowi agenci wielkiego przemysłu wietrzącego w Afryce grube zyski.

Maciek aż usiadł ze zdumienia i przemówił wcale już nie obojętnym głosem:

— W Afryce grube zyski dla przemysłu? Przecie tu prawie nie ma fabryk ani wielkich wytwórni...

— Ale są — przerwał mu doktor — ogromne skarby mineralne i roślinne...

Wczesnym rankiem, kiedy Maciek i doktor spali jeszcze w najlepsze, do pokoju ich wszedł profesor, świeżo przebrany, jednak z wyrazem znużenia na twarzy.

— Dzień dobry, śpiochu! — zawołał z uśmiechem. — Darujcie, że was tak wcześnie budzę, ale zaszły pewne sprawy, które mnie do tego skłoniły.

— Co się stało, panie profesorze? — zapytał Maciek z niepokojem, przypominając sobie od razu wczorajszych „turystów”.

— Ubierzcie się jak najszybciej, zjedźcie śniadanie i przychodźcie do mojej pracowni. Będę na was czekał i tam wam opowiem, o co chodzi.

W pół godziny później Maciek z doktorem znaleźli się w gabinecie profesora, który czekał już na nich przy biurku, pochylony nad jakimiś notatkami.

Gdy zajęli miejsca w wygodnych fotelach, uczony zwrócił się do Maćka:

— Miałem wielką ochotę udzielić ci w zaciszu tej pracowni jeszcze kilka lekcji o Afryce, ale tak się składa, że burzliwe życie aż tu się wdziera, jak by chciało awanturniczą praktykę zastąpić spokojną nauką.

— Co się stało, panie profesorze? — spytał Maciek przeczuwając jakieś niezwykle zdarzenie.

— Nalot białych agentów w poszukiwaniu skarbów czarnego łądu? — rzucił od niechcenia de la Roche.

— Tak, doktorze, i to jest równocześnie odpowiedź na twoje pytanie, Maćku.

Maciek spojrzał po kolei na obu przyjaciół.

— Proszę mi to bliżej wytłumaczyć, bo ja niewiele z tej odpowiedzi rozumiem.

— Pozwól ze mną, chłopcze. Pokażę ci jeszcze coś na globusie, któryśmy wczoraj oglądali i wtedy zrozumiesz wszystko.

To mówiąc, profesor znowu powiódł Maćka i doktora do plastycznej kuli ziemskiej. Gdy globus został już oświetlony od wewnątrz i wprawiony w ruch obrotowy, profesor naciśnął jeszcze inny kontakt i wtedy na kontynencie Afryki zabłysło w różnych miejscach mnóstwo maleńkich, różnokolorowych światełek, podczas gdy inne części świata wraz z morzami prześwietlało jedynie rozproszone seledynowe światło. W chwili gdy rozjarzona Afryka

przetaczała się przed oczami Maćka, profesor zatrzymał globus. Teraz było wyraźnie widać mniejsze i większe jaskrawe światełka w formie kwadratów, prostokątów, trójkątów, kół i rombów, różnokolorowe, rozsiane nierównomiernie po całym obszarze Afryki, z wyjątkiem szarej, ogromnej płaszczyzny pustyni Sahary.

Maciek, oczarowany tym niespodziewanym widokiem, ledwo powstrzymał się od okrzyku zdumienia. Po chwili zapytał już spokojnie:

— Co oznaczają te różnokolorowe trójkąty, kwadraty i inne figury?

— Są to znaki, albo, jak się to mówi, symbole, oznaczające nagromadzone minerały i surowce. Na przykład te brunatne prostokąty to węgiel kamienny; czerwone trójkąty to żelazo, te pąsowe kwadraty to miedź, a błękitne trójkąty — platyna.

Maciek zauważył, że profesor wodzi pręcikiem przede wszystkim po światełkach rozsianych w południowej Afryce, a omija jasnożółte, seledynowe i błękitne na terenie Konga Belgijskiego. Zaciekawiony tym zapytał:

— A co oznaczają, panie profesorze, te złote kwadraty, seledynowe strzałki i błękitne gwiazdki, które świecą na ziemiach Konga Belgijskiego?

Profesor spojrział na obu słuchaczy i nagle ścisząc głos przemówił takim tonem, jak by powierzał uszom przyjaciół ważne tajemnice.

— Te złote kwadraty to kopalnie złota, te błękitne gwiazdki to kopalnie diamentów, a te strzałki seledynowe to... uran, niezmiernie cenny metal, który w niedalekiej przyszłości może odegrać w dziejach świata niezwykle poważną rolę.

Tu uczony urwał nagle, ale po chwili milczenia, uderzając kijkiem w złote światełka, dodał tym samym ściszone głosem:

— I właśnie o te kopalnie złota i diamentów, a szczególnie o ten uran chodzi wczorajszym naszym gościom „turystom”.

Na te słowa doktor de la Roche uśmiechnął się i również ściszone głosem oznajmił:

— A więc jest tak, jak przypuszczałem. Przybyli tu, aby wydobyć od nas wiadomości o położeniu złóż bogactw mineralnych i kopalin w Afryce środkowej.

— Tak jest, drogi doktorze. Wiedzą, że nasze badania posunięte są bardzo daleko i że w naszym posiadaniu znajdują się dość dokładne mapy i notatki geologiczne. Daliby wiele za to, żeby bodaj okiem rzucić na ten globus, który wy w tej chwili oglądacie. Ale kto wie, na co by się jeszcze odważyli, żeby zdobyć ostatnie wiadomości ujęte w cały plik notatek i map, które kilka dni temu wręczyłem osobiście gubernatorowi. A dotyczą one stron, z których wyście przybyli.

— Jak to! Z terenu, który był pod moją obserwacją? — zapytał żywo de la Roche.

— W każdym razie z najbliższego sąsiedztwa, bo z okolic Dungu i Garumba. Dlatego też tak bardzo zainteresował nas napad na twoją placówkę.

— Czy przypuszczasz, profesorze, że ten napad nie był samowolną sprawką Mustagi?

— Nie jest wykluczone, przyjacielu, że za plecami kacyka Mustagi, czyli jak wy go nazywacie Huli Guli Hana, ukrywają się znacznie groźniejsi wrogowie.

— Czyżby to było możliwe, aby wszystkie moje notatki, zapiski i mapki, o których myślałem, że spłonęły, wpadły w ręce wroga? — na wpół pytająco przemówił doktor, pocierając dłonią czoło, jak by usiłował sobie coś przypomnieć.

— Możliwość taka, drogi doktorze, wcale nie jest wykluczona.

Maciek, który przysłuchiwał się tej rozmowie, westchnął głęboko i rzucił pytanie:

— A kto, panie profesorze, mógł namówić Mustagi do tej napaści?

— Drogi chłopcze, wśród białych przebywających w Afryce jest wielu takich „turystów” jakich poznałeś wczoraj. Bałamuca oni i przekupują kacyków i wodzów murzyńskich, by poprzez nich zdobyć władzę nad ich plemięcami.

— A po cóż im ta władza?

— Po to, by zdobyć następnie tanio siłę roboczą, te setki i tysiące czarnych rąk, bez

których nie można by wydrzeć ziemi ani złota, ani diamentów, ani żadnych innych skarbów, bo przecież białych rąk roboczych tu nie ma i w tym klimacie nie na wiele by się przydały.

— Ależ to jest kolonia belgijska. Czy i Belgowie tak samo postępują?

— Właśnie o to chodzi, kochany przyjacielu, że my, uczeni i badacze chcielibyśmy uzdrowić stosunki. Chcielibyśmy tutejszym chłopom, to znaczy Murzynom osiadłym na roli, dać jak najlepsze warunki, by oni dobrowolnie z nami eksploatowali tutejszą przyrodę.

Maciek zamyślił się głęboko nad tym co usłyszał. Zrozumiał jedno:

Murzyni to tutejsi, afrykańscy chłopci, których ciemnotę chcą wyzyskać rozmaici agenci, a tacy szlachetni ludzie, jak profesor i doktor, chcieliby afrykańskim chłopom dopomóc w ich niedoli. Wiele takich i innych myśli przychodziło mu do głowy i rozmaite pytania cisnęły się na koniec języka, ale wyczuwał, że nie pora na nie teraz, więc machnął tylko ręką i oznajmił:

— Za mało umiem, abym mógł zrozumieć to wszystko, co się u starszych nazywa polityką.

W tej chwili ostry dzwonek telefonu na biurku profesora przerwał dalszą wypowiedź Maćka. Profesor podniósł słuchawkę.

— Halo, tu Ryckmans. Z kim mówię?... Ach, to pan gubernator... Słucham pana...

Maciek i de la Roche spojrzeli po sobie porozumiewawczo i wstali z miejsc, jak by chcieli wyjść z pokoju, by nie przeszkadzać w rozmowie, ale profesor dał im ręką znak, żeby zostali na miejscu. Usiedli więc z powrotem i mimo woli przysłuchiwali się telefonicznej rozmowie profesora z gubernatorem.

— ...tak jest, panie gubernatorze... byli wczoraj u mnie i chcieli na gwałt wydobyć pewne tajemnice, ale byłem w rozmowie z nimi bardzo ostrożny... tak, tak, słyszę... Och, to bardzo przykre... i czy sądzi pan gubernator, że to ich sprawka?... Jak to? Zniknęli!?... Kiedy?... Dziś z samego rana... w stronę Bafuasende... Tak jest... rozumiem... postaram się... są w tej chwili u mnie. Rozmówię się i czekamy na samochód.

Profesor odłożył słuchawkę i z niezwykłym ożywieniem spojrzął na obu przypadkowych świadków jego telefonicznej rozmowy.

— Słyszeliście? Dzwonił nasz gubernator...

— Zdaje się, że w jakiejś niezwykle ważnej i pilnej sprawie.

— Tak. Wyobraźcie sobie, że z kancelarii gubernatora zniknęły te ważne papiery i mapy, o których wam przed chwilą wspominałem.

— Ho, ho, sprawa zatacza coraz szersze kręgi — wtrącił doktor.

— Papiery mogły przepaść jedynie wczoraj po południu, a dziś o samym świecie widziano naszych wczorajszych gości „turystów”, jak dwoma samochodami odjechali nową szosą w stronę Bafuasende.

— I co? Czy gubernator sądzi, że to oni są sprawcami zniknięcia tych map i papierów? — zapytał doktor.

— Gubernator jest tego niemal pewny, gdyż ma na to i inne jeszcze poszlaki. Jest to dla nas sprawa niezmiernie ważna.

Nagle trzy krótkie urywane sygnały trąbki samochodowej odezwały się pod oknami. Profesor spojrzął przez okno i rzekł:

— To samochód gubernatora zajechał po nas.

— Jak to po nas? — zdziwił się Maciek.

— Po nas trzech, kochany przyjacielu, przy czym muszę dodać, że ty będziesz bodaj najważniejszym gościem gubernatora.

W kilkanaście minut później siedzieli w czwórce w gabinecie gubernatora i popijając chłodzące napoje prowadzili narady. Chodziło o to, by profesor Ryckmans, po odbyciu konferencji z gubernatorem, mógł jak najszybciej dostać się do Irumu, gdzie prowadzono budowę kilku kopalń złota i próbne wiercenia w poszukiwaniu innych surowców.

— Widzisz, drogi chłopcze — mówił gubernator — w tych dniach nie mam pod ręką

ani jednego samolotu, który by mógł odbyć tę podróż. Sprawa jest bardzo pilna i chodzi o to, czy ty na twoim „Orle” mógłbyś polecieć i w jakim czasie mogłoby to nastąpić.

— „Orla” oglądałem wczoraj wieczorem. Tutejsi mechanicy oczyścili go bardzo starannie, benzyna i oliwa są już zatankowane, tak że startować mogę w każdej chwili. Musiałbym tylko otrzymać odpowiednie mapy i wskazówki, gdzie tam można lądować. Jak daleko jest do Irumu?

— Drogą powietrzną około 600 kilometrów, czyli dwie do trzech godzin lotu — podjął rozmowę profesor. — Gdybyśmy wystartowali dziś po południu, to jeszcze przed zachodem słońca byłibyśmy na miejscu.

— Jestem gotów — oznajmił Maciek. — Ale co będzie z doktorem de la Roche? Zdawało mi się, że miał wracać ze mną.

— Rozumie się, że doktor de la Roche poleci z nami. Możliwe, że ja będę musiał przez dłuższy czas pozostać w Irumu, a wy już we dwójkę polecicie do Niam-Niam.

— To też jest nam bardzo na rękę — rzekł gubernator — że wrócisz tam z doktorem bodaj na krótki czas, młody przyjacielu.

— Czy mogę wiedzieć dlaczego? — zapytał Maciek.

— To jest proste. Znając tubylców, można sądzić, że Mustagi, czyli jak go przezwano Huli Guli Han, nie zrezygnował na pewno ze swego kacykostwa i po ucieczce w puszcze w tej chwili mobilizuje do walki z Maja Gaja Kri zaprzyjaźnione z sobą wioski. Wieść o twoim odlocie pewnie już do niego dotarła i tę okoliczność będzie chciał jak najszybciej wykorzystać. Z tego względu twój powrót do wioski Maja Gaja Kri jest bardzo pożądany, choćby dla bezpieczeństwa twego towarzysza, tego dzielnego kaprała. A jakie jest pańskie zdanie, doktore de la Roche?

— Ja myślę, że Huli Guli Han na pewno myśli o odwecie, ale ze względu na trudne warunki zgromadzenia większej liczby swoich zwolenników i przemarszu przez puszcze, może dokonać napadu najwcześniej za kilka dni. Dlatego. Maćku, mamy co najmniej dwa dni czasu, aby i profesora odwieźć do Irumu, i do naszego osiedla wrócić w sam czas. Tym niemniej powinniśmy z profesorem odlecieć jeszcze dziś, po skwarze południowym, to znaczy około godziny szesnastej.

— Polecilibyście zatem, panowie, na jakiś tydzień. W tym czasie w naszym kapitancie portu lotniczego opracują odpowiednie mapy i trasę powrotną — zwrócił się gubernator do Maćka — twojego odlotu do Polski.

— Jak to? — zdumiał się Maciek. — Czyżby panowie byli dla mnie aż tak uprzejmi?

— Uważam to za nasz obowiązek. Gdy mniej więcej za tydzień powrócicie, zapasy na drogę i mapy z opracowaną trasą powrotną będą już gotowe.

Maciek gorąco podziękował i westchnął z głęboką ulgą, gdyż nareszcie dzięki pomocy tych zacnych Belgów sprawa powrotnego lotu do Warszawy zaczęła się konkretyzować. I był szczęśliwy, że w zamian za tę pomoc może gospodarzom oddać poważną usługę.

IX. PRZYGODA NA SZOSIE

W czasie południowego odpoczynku przeszła nad Stanleyville gwałtowna burza i kilka godzin trwająca ulewa. Dzięki temu powietrze było dość rześkie, gdy trzej nasi przyjaciele zjawili się na lotnisku.

Maciek, lustrując samolot tuż przed odlotem, spostrzegł z wielką radością, że aparat został bogato wyekwipowany na drogę. Ucieszyła go przede wszystkim spora paczka

świetnych albumów, atlasów i map, które najprawdopodobniej były podarunkiem profesora Ryckmansa.

Punktualnie o szesnastej „Orzeł” głośno prychając ruszył z miejsca i łagodnym skosem wystartował prosto ku wschodowi.

Odległość w linii powietrznej do Irumu wynosiła niecałe 600 km; samolot lecąc z szybkością 250 km na godzinę mógł tę trasę przebyć w ciągu niespełna 3 godzin.

Maciek celowo nie zwiększał szybkości lotu, ponieważ chciał dokładnie obserwować nową drogę wiodącą ze Stanleyville do Bafuasende, aby wypatrzyć i prześcignąć zbiegłych ze Stanleyville „turystów”. Odległość do Bafuasende wynosiła około 300 km, ale nowa szosa nie była jeszcze ukończona, co znacznie ograniczało szybkość samochodów. Można było przypuszczać, że zbiegowie w najlepszym razie dopiero wieczorem dotrą do Bafuasende, pierwszej większej osady na tej drodze.

Maćkowi bez trudu udawało się utrzymywać lot na takiej wysokości, by nie tracić z oka brunatnoczerwonej wstęgi szosy, która kilometrami biegła wśród gęstwiny lasów, po lekko wznoszącym się terenie. Nagle, po blisko godzinnym locie, gdy kolejny ostrzejszy zakręt odsłonił pod nimi nowy odcinek drogi, zobaczyli na jej jasnym tle zagadkową plamę, jakby zarys samochodu stojącego z boku szosy. Maciek obniżył lot i po chwili przeleciał tuż nad interesującym go miejscem. Był to istotnie nieruchomy samochód, wokół którego kręciło się kilka osób. Maciek odwrócił twarz do profesora i ruchem ręki dał mu znak, że warto by jeszcze raz przyjrzeć się podróżnym na szosie. Profesor z zadowoleniem kiwnął głową. Maciek zatoczył łuk, a profesor i doktor szybko sięgnęli po lornetki i aparaty fotograficzne. W chwilę później samolot znów szybował nad szosą, na wysokości najwyżej 50 m, lecąc wprost na samochód. Teraz lotnicy zauważyli, że podróżni na widok powracającego samolotu wskoczyli do wozu, a na szosie pozostał jedynie szofer-mechanik, pochylony nad silnikiem przy otwartej masce maszyny.

— Schowali się do wozu! — zawołał Maciek.

— Widocznie nie chcą, byśmy się przyjrzeni ich twarzom — odrzekł profesor.

— Ale gdzie drugi samochód? Przecież ze Stanleyville wyjechały dwa wozy — wtrącił doktor.

— Jedni utknęli w drodze, a drudzy zmykają tymczasem ile sił w motorze.

Gdy Maciek jeszcze raz zatoczył koło i obniżywszy lot szybował nad samochodem, szofer wyprostował się przy masce i podniósł twarz do samolotu. Był to uśmiechnięty Murzyn, który wymachiwał rękami, jak by chciał dać znać, że zaraz ruszy w dalszą drogę.

— Lecimy dalej — zawołał profesor — nic innego nam nie pozostaje, jak gonić za tamtymi.

— Trzeba ich najpierw wypatrzyć, panie profesorze. Ja podciągnę „Orła” w górę, a pan niech przeszukuje lornetką szosę.

Motor zahuczał głośniejszy i już po chwili aparat wzniósł się o kilkaset metrów. Z tej wysokości ukazała się oczom jasnoczerwona nitka szosy biegnącej lekkim łukiem ku wschodowi. Po obu stronach drogi rozlewała się ciemna zieleń puszczy. Przez kilkanaście minut lecieli w bezchmurnym powietrzu, co dawało dobrą widoczność, ale równocześnie narażało na niepospolity żar słońca, mimo iż zeszło ono już dawno z zenitu i staczało się ku zachodowi. W samolocie panowała równikowa duszność łagodzona jedynie wysokością lotu. Nagle Maciek usłyszał okrzyk profesora:

— Są! Są przed nami!

Maciek spojrział w dół przed siebie i pod kątem około 30—40 stopni zauważył na jasnoczerwonej taśmie szosy ciemną, owalną plamę. Po chwili obserwacji stwierdził, że był to duży osobowy samochód podobny do tego, który minęli kilkanaście minut temu.

— Tym razem lepiej by chyba było, żeby nas nie zauważyli? — zapytał Maciek przez ramię.

— Słusznie. Ale patrz, szosa przed nimi skręca wielkim łukiem w prawo. Leć po cięciu tego łuku, w ten sposób wyprzedzimy ich nie zauważeni. — To mówiąc profesor pochylił się do przodu i palcem wskazywał kierunek lotu.

Maciek zastosował się do tej wskazówki i zmieniając kierunek równocześnie obniżył lot.

— A czy nie ma tu żadnej bocznej drogi, którą mogliby umknąć? — zapytał przez ramię profesora wskazując równocześnie na mapę.

— Prawda! — krzyknął profesor. — Przecież około pięćdziesięciu kilometrów przed Bafuasende rozpoczęto niedawno budowę bocznej drogi do Augumu — profesor wskazał odpowiednie miejsce na mapie.

Po chwili zbliżyli się znowu do szosy, która zataczała ostry łuk. Ledwie przelecieli nad tym zakrętem w kształcie litery „S”, gdy Maciek spostrzegł z dala jakieś rozdroże, przy którym kręciła się spora gromada ludzi. Z boku pod lasem stał szereg namiotów.

— Czy to nie to rozwidlenie, profesorze?

— Najprawdopodobniej tak, przyjacielu.

Maciek bystro obejrzał się dokoła, obniżył lot i przechylając się do tyłu zagadnął profesora:

— Może byłoby dobrze, gdybyśmy tu na nich poczekali. Wyprzedzamy ich o dobre pół godziny.

— A gdzieżbyś tu mógł lądować?

— Spróbuję na szosie. Jest ona dostatecznie szeroka i zdaje się gładka.

— Ależ, chłopcze! To wymaga niezwykłej zręczności i odwagi! — zawołał Ryckmans.

— Ścigamy zbrodniarzy, a tu są ludzie, którzy nam na pewno pomogą ich przytrzymać.

Maciek obniżył lot i przeleciał tuż nad szosą w miejscu jej rozwidlenia, potem zatoczył duże koło, wyłączył motor i po chwili osadził „Orla” w odległości niespełna 100 metrów od rozwidlenia. Ledwie trzech pasażerowie zdążyli wysiąść z samolotu, podbiegło do nich kilku prawie nagich Murzynów, zajętych przy robocie bocznej drogi. Prowadził ich wysoki, chudy, biały mężczyzna w szerokich płóciennych szortach i wielkim tropikalnym hełmie na głowie. Podczas gdy Murzyni obiegli dokoła samolot i przyglądali mu się z zaciekawieniem, chudzielec wdał się w rozmowę z przybyszami.

Był to młody inżynier nazwiskiem Pertch, który kierował robotami drogowymi na tym odcinku. Prócz niego kilku jeszcze białych dozorców pilnowało prac sporej gromady młodych i zwawych Murzynów. Okazało się, że Pertch znał dobrze profesora Ryckmansa i jego działalność, więc po krótkiej rozmowie ofiarował swoją pomoc w przychwyceniu uciekinierów. Biorąc pod uwagę możliwość oporu ze strony ściganych, co mogło doprowadzić do walki i niepotrzebnych ofiar, postanowiono urządzić na szosie zasadzkę. Z obu stron głównej drogi ciągnęły się głębokie rowy dla odprowadzenia wód burzowych. W rowach tych rozstawiono Murzynów uzbrojonych w łopaty i rydle, markujących oczyszczanie rowów. Tuż przed rozwidleniem ustawiono w poprzek drogi przenośną rampę ze znakiem zakazującym dalszej jazdy. Za rampą na szosie uwijało się kilkunastu Murzynów, udających, że pracują przy naprawie drogi. Na kilkanaście metrów przed rampą rozpalono duże ognisko. Samolot, stojący o ponad 100 m dalej, przysłonięto gałęziami tak, że był zupełnie zamaskowany. Profesor, doktor i Maciek oraz dwaj biali dozorczy ukryli się w dość obszernym namiocie, stojącym w grupie innych obok bocznej szosy.

Droga opustoszała, jedynie rozpalone na środku jezdni duże ognisko niepokojąco błyskało płomieniami.

Przygotowania, mimo pośpiechu, zabrały dość sporo czasu, tak że ledwie upłynęło kilkanaście minut oczekiwania, usłyszano warkot zbliżającego się samochodu. Po kilku minutach na widoczny w dali zakręt jasnej szosy wpadł ciemny wóz, za którym wznosił się tuman kurzu. Wóz sunął z dużą szybkością, ale na widok ogniska na środku drogi zaczął hamować z

ostrym zgrzytem hamulców i przystanął dopiero na kilkanaście metrów przed przeszkodą. Po krótkiej chwili otworzyły się drzwi samochodu i na jezdnię wyszedł wysoki mężczyzna w korkowym hełmie, lekkim ubraniu podróżnym, trzymając w ręku karabin gotowy do strzału. Siedzący w pobliżu rampy chudy inżynier podniósł się powoli i ruszył ku samochodowi poruszając niedbale karabinkiem przewieszonym przez ramię.

„Turysta” spojrzawszy na pracujących Murzynów podszedł do inżyniera, a tymczasem z samochodu wysiadło jeszcze dwóch podróżnych ciekawych powodu zatrzymania.

— Czy pan jest nadzorcą? Co znaczy ten ogień i ta rampa na drodze? — zapytał szorstko pierwszy „turysta”.

— Jestem inżynierem kierującym tu robotami drogowymi. Ostatnie burze podmuły nam szosę i właśnie naprawiamy wyrwy. Panowie darują, ale musicie kilka godzin poczekać.

— Kilka godzin! Ależ nam się bardzo śpieszy. Jesteśmy delegatami Komisji do Spraw Unii Wschodnio-Afrykańskiej, która rozpoczyna obrady w Kampala i nie możemy żadną miarą spóźnić się na nie.

— A kiedy zaczynają się te obrady? — zapytał Pertch.

— Za dwa, trzy dni.

— Och, to panowie macie jeszcze sporo czasu.

— Tak, ale mamy przed sobą około 800 kilometrów drogi i przeprawę przez jezioro Alberta — wtrącił drugi „turysta”.

— A przy tym nie wolno nam zapominać — zwrócił się pierwszy do drugiego — że nasze wnioski musimy zgłosić przed posiedzeniem Komisji. Musicie nas przepuścić najdalej za godzinę, abyśmy jeszcze przed nocą dojechali do Irumu, a jutro do Kampala. — Ostatnie zdanie skierowane było do inżyniera Pertcha, który bezradnie rozłożył ręce.

— Na to nic nie poradzę. Ale myślę, że kilka godzin zwłoki nawet w tak ważnej misji niewiele zaważy. Niech panowie pozwolą do naszego kasyna na szklankę herbaty, a my tymczasem postaramy się przyspieszyć porządkowanie szosy — inżynier kończąc swoje przemówienie wskazał ręką na pobliskie namioty.

Podróżni porozumiewawczo spojrzeli po sobie, zamienili parę słów w jakimś szczekliwym dialekcie, wreszcie pierwszy z nich, wzruszając ramionami, zwrócił się do Pertcha:

— No cóż, nie mamy innego wyjścia. Niech pan nas prowadzi na tę herbatę. — Trzech „turystów”, prowadzonych przez inżyniera, ruszyło w stronę największego namiotu. Ponieważ nikt za nimi nie postępował, uspokoili się, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo.

Namiot-kantyna sąsiadował z namiotem, w którym przebywali profesor, doktor i Maciek. Obserwowali oni wszystko przez wąziutkie okienka wycięte w ścianie namiotu. Toteż gdy „turyści” zniknęli w sąsiednim namiocie, z piersi trzech obserwatorów uleciało westchnienie ulgi.

— No, są już w klatce... — szepnął doktor.

— Teraz musimy uważać na przybycie drugiego wozu — odpowiedział profesor.

— Niech panowie tu na mnie poczekają — rzekł Maciek — a ja tymczasem przemknę się i zobaczę, co oni zostawili w wozie, bo przecież prócz ręcznej broni nic nie wzięli z sobą.

Nim profesor zdążył odpowiedzieć, Maciek już znikł, wymykając się z namiotu tylną szparą od dołu. Obszedłszy kilka namiotów Maciek wyszedł niżej rozwidlenia na szosę i chyłkiem zbliżył się do stojącego samochodu „turystów”. Przy kierownicy siedział szofer. Maciek podchodząc od tyłu widział jego rudą czuprynę. Drzwi z obu stron były zatrzaśnięte, a szofer siedząc nieruchomo patrzył przed siebie, jak by na nic nie zwracał uwagi. Maciek spojrział przez tylną szybę i zobaczył leżące na opuszczonym przez „turystów” siedzeniu dwie teczki, grubo wypchane jakimiś papierami. Na ich widok Maćkowi serce zabiło mocniej. Z obu stron szosy pracowało kilku Murzynów, a tuż za samochodem stał biały dozorca uzbrojony w karabinek. Maciek skinieniem ręki przywołał dozorcę do siebie, a sam, podszedłszy cicho do tylnych drzwiczek, jednym szybkim ruchem otworzył je, wskoczył do samochodu i

przyłożywszy pistolet z tyłu do karku szofera, krzyknął ostro siląc się na niski głos:

— *Hände hoch!* *

Zaskoczony szofer nie zdążył spojrzeć nawet poza siebie, zawahał się chwilę, ale Maciek rzekł z naciskiem:

— *Schnell!* **

Szofer nie stawiając już oporu podniósł ręce do góry.

Maciek zawołał po niemiecku, gdyż właśnie w tym języku przypomniał sobie wezwanie do podniesienia rąk i jak się okazało trafił dobrze. Tymczasem dozorca widząc co się dzieje, skoczył z pomocą. Najpierw zawiązali szoferowi jakąś opaską oczy, a potem skrępowali mu ręce z tyłu. Teraz Maciek wyciągnął obie teczki z wozu i polecając dozorczy pilnowanie szofera, sam pobiegł z powrotem ku namiotom.

Inżynier Pertch doskonale zrozumiał swoje zadanie polegające na tak gościnnym przyjęciu „turyistów”, by nie spostrzegli podstępów. W obszernej kantine pracowników drogowych usadzono trzech gości na polowych zydlach, a na niskich stolikach zamiast herbaty ustawiono flasze z chłodzącymi napojami o sporej zawartości alkoholu oraz tace z zakąskami. Obóz drogowy pracował niedaleko Stanleyville i kantyna była suto zaprowiantowana. „Turyści” po kilkugodzinnej jeździe samochodem, wygłodniali i spragnieni, na widok zakąsek i napoi pozbyli się resztek nieufności i z zapałem zabrali się do jedzenia. Rolę gospodarzy prócz inżyniera

Pertcha sprawowało dwóch młodych praktykantów, którzy dostali sekretne polecenie bawienia „turyistów” i nie wypuszczania ich z kantyny pod żadnym pozorem. Inżynier Pertch pod pretekstem przyśpieszenia prac przy drodze pozostawił gości pod opieką młodszych kolegów, sam zaś wyszedł z namiotu.

Jednak zamiast na szosę skręcił do namiotu goszczącego profesora i doktora, którzy go z niecierpliwością oczekiwali.

— Co pan przynosi, panie inżynierze? — rzucił niespokojnie profesor Ryckmans.

— Wszystko po naszej myśli. Uwierzyli w zepsutą szosę, spokojnie piją i jedzą. Ale ze zwłoki są bardzo niezadowoleni.

— A nie zdradzili się, dokąd śpieszą?

— Owszem, przez Irumu do Kampala, gdzie podobno za kilka dni ma się rozpocząć zebranie Komisji do Spraw Unii Wschodnio-Afrykańskiej — oznajmił spokojnie Pertch. Ale ta wiadomość jak prąd elektryczny wstrząsnęła profesorem Ryckmansem.

— Co pan powiedział? — zapytał żywo profesor. — W Kampala ma się odbyć zebranie Komisji do Spraw Unii Wschodnio-Afrykańskiej?

— Tak mi oświadczyli, mówiąc, że jadą jako delegaci na tę Komisję.

— Ależ ja jestem z ramienia Konga Belgijskiego członkiem tej właśnie Komisji, a nikt mnie nie zawiadomił o terminie jej zebrania w tych dniach. Co prawda powiadomiono nas, że ostatnio na jej siedzibę wyznaczono Kampala, ale co do zebrania...

— A może — przerwał doktor — zaproszenie jeszcze nie doszło do twoich rąk.

— Ależ na tym zebraniu miały być omawiane bardzo ważne sprawy; moje wnioski dotyczące tych zagadnień znajdowały się właśnie wśród wykradzonych papierów.

Pertch potarł ręką czoło, jak by sobie coś przypominał:

— Zaraz, zaraz... jeden z nich wspomniał, że muszą jakieś swoje wnioski zgłosić przed posiedzeniem komisji.

— Kto wie, czy nie chodzi tu o nasze wnioski — zauważył profesor. — Ale przecie nie sposób to sprawdzić.

Jeszcze nie przebrzmiały te słowa, gdy nagle boczne płótno namiotu poruszyło się i po

* *Hände hoch* (niem.) — ręce do góry.

** *Schnell* (niem.) — szybko.

chwili w dolnej szparze ukazały się najpierw wepchnięte do środka dwie wypchane torby, a

zaraz po nich głowa Maćka.

Zanim Maciek zdołał przemówić, profesor i doktor, jak by odmłodzeni o kilkanaście lat, rzucili się do toreb, by przejrzeć ich zawartość.

Zamek torby, którą porwał profesor, puścił od razu, były w niej dwie zmiany bielizny, ręcznik i w małym neseserze przybory toaletowe. Zamek drugiej torby zamknięty był na kluczyk. Pertch wyjął z kieszeni kółko z kluczykami, dłutkami i innymi małymi narzędziami i zaczął przy nim majstrować. Po chwili zamek z cichym trzaskiem odskoczył. We wnętrzu torby znajdował się sprasowany plik map, rozmaitych papierów oraz akt w teczkach i skoroszytach. Profesor rzuciwszy okiem na te papierowe skarby aż zarumienił się z radości.

— Są! Są! To te same! Poznają po okładzinach!

Teraz obaj uczeni szybko przejrzeni zawartość drugiej torby, na którą składał się nie tylko komplet akt i map wykradzonych w Stanleyville, ale znacznie obfitszy zbiór innych papierów i szkiców ułożonych w innych teczkach, a zredagowanych w rozmaitych językach. Profesor ledwie okiem rzucił na obce papiery i włożył je z powrotem do torby, zatrzymując tylko komplet belgijskich dokumentów wykradzonych w Stanleyville. Zauważył to inżynier Pertch i zapytał ze zdumieniem:

— Jak to? Nie chcą panowie przejrzeć tamtych papierów?

— Nie, inżynierze — odpowiedział Ryckmans. — Nie chciałbym zapoznawać się z cudzymi aktami, które w ten sposób wpadły w moje ręce. Ale z całym spokojem zabieram to, co nam podstępnie skradziono.

— Ja bym nie miał żadnych skrupułów — oznajmił inżynier. — Przecie to są z pewnością obce agenci, którzy mogą wieść w tych aktach niesłychanie ważne dla nas wiadomości i notatki.

— Być może — odparł profesor. — Ale nie odpowiada mi taki sposób zdobywania wiadomości. Poza tym sądzę, że jeśli one są istotnie ważne, to poznam je na zebraniu Komisji w Kampala.

— Ależ, John, przecież nie masz zaproszenia, nie znasz daty tego zebrania — stwierdził doktor.

— Mam zawsze wstęp do jej lokalu. Teraz najważniejsze jest, by się tam jak najprędzej dostać. A w tej sprawie może nam dopomóc jedynie nasz wspaniały lotnik — z ostatnimi słowami profesor zwrócił się do Maćka.

Chłopak wzruszony postępowaniem profesora poczuł do niego jeszcze większą sympatię i domyślając się o co chodzi odpowiedział:

— Czy mam zamiast do Irumu lecieć do Kampala?

— Właśnie chodzi o lot do Kampala, ale po drodze musimy wstąpić do Irumu. Naturalnie stamtąd do Kampala polecilibyśmy dopiero jutro z rana.

— A jak daleko jest z Irumu do Kampala?

— Około 300 kilometrów, dokładnie obliczymy to na mapie.

— A czy bierzesz pod uwagę, John, że Kampala jest stolicą Ugandy, którą zarządzają Anglicy?

— Słuszna uwaga, Alfredzie — odpowiedział doktorowi profesor. — Chodzi ci zapewne o to, że bez odpowiednich przepustek przekroczymy granicę, a Anglicy tego nie lubią.

— Oczywiście, John. Czy nie będziemy mieli z tego powodu przykrości? Chodzi przede wszystkim o naszego pilota — tłumaczył doktor.

— Ja jako członek Komisji mam prawo swobodnego poruszania się po całej Afryce środkowej, a co do was, zastanowimy się w Irumu, jak to urządzić. Ale teraz pora nam w dalszą drogę, bo wieczór się zbliża.

— Czy mogę coś powiedzieć, panie profesorze? — zapytał Maciek z lekkim uśmiechem.

— Ależ oczywiście, drogi przyjacielu.

— A gdybyśmy tak pośpieszyli i odlecieli stąd nie zauważeni przez „turystów”?

— A wiesz, chłopcze, to doskonały pomysł. Zaoszczędzimy sobie w ten sposób i dalszej zwłoki i kłopotliwej rozmowy z nimi.

— Czy zamierzasz, John, zrezygnować z oddania ich w ręce naszych władz za kradzież dokumentów?

— Oczywiście! Przede wszystkim pociągnęłaby to za sobą wiele kłopotów, między innymi dyplomatycznych, co nie jest nam na rękę, a poza tym skradzione dokumenty wróciły do naszych rąk, a o to głównie chodziło. Myślę, że byłoby naprawdę dobrze, gdyby oni nas nie zauważyli.

— A mnie się udało, że przy zabieraniu toreb z ich auta szofer mnie nie widział — rzekł Maciek.

— Ale czy on nie będzie nas widział jak odlatujemy?

— Też nie, bo mu zawiązałem oczy opaską.

— Wobec tego — wtrącił doktor — musimy stąd wystartować zanim nadjedzie drugi samochód.

Po krótkiej naradzie inżynier Pertch wrócił do gości w kantine. Zaś doktor i profesor, dźwigając paczki odzyskanych dokumentów, przeszli okólną drogą do samolotu, a Maciek z torbami przekradł się do samochodu, by na tylne siedzenia podsunąć mocno uszczuplony bagaż.

Rudy szofer siedział nieruchomo na swoim miejscu. Maciek, zachowując się jak najciszej, po wsunięciu toreb odszedł od auta kilkanaście kroków i dopiero wtedy przywołał dozorcę do siebie. Smukły dryblas uśmiechnął się sympatycznie, wyrażając tym swoje zadowolenie z udziału w przygodzie. Maciek łamanym językiem podziękował mu serdecznie za pomoc i polecił mu pilnować szofera aż do przybycia inżyniera Pertcha. Przy pożegnaniu się z dozorcą, Maciek, mocno ściskając mu dłoń, powiedział:

— Bądź zdrow, kolego, i pamiętaj, że mnie tu nie było.

Dozorca roześmiał się szeroko.

Kilka minut później spoza wielkiej sterty gałęzi, leżącej o jakieś sto metrów dalej na drodze, rozległ się przytłumiony warkot motoru i dozorca widział, jak potężny ptak lekko muskając szosę wzniósł się w powietrze.

Minęła jeszcze godzina, gdy inżynier Pertch wyprowadził swoich gości z kantine. Tymczasem robotnicy oczyścili szosę z gałęzi, usunęli szlaban i zagasili ognisko: droga do Bafuasende była już „naprawiona”. Drugie auto wprawdzie nie nadjechało jeszcze, ale pierwsze nie chciało dłużej czekać. Incydent z rudym szoferem bardzo zaniepokoił „turystów”. Wprawdzie dozorca, w cichym porozumieniu z Pertchem, wziął całe zajście na siebie, tłumacząc, że źle zrozumiał rozkaz pilnowania samochodu, tym niemniej „turyści” mruzcili, niedowierzająco spoglądając na torby, z których jedna wyraźnie zeszczuplała. Widząc jednak niezbyt przychylnie miny kilku otaczających wóz robotników i dozorców, goście szybko usadowili się w wozie i niezbyt serdecznie dziękując Pertchowi ruszyli w dalszą drogę. O dojechaniu w ciągu tego dnia do Irumu nie mogło być mowy. Musieli zanocować w Bafuasende.

W pół godziny później przyjechał drugi samochód, już nie zatrzymywany na rozdrożu.

X. ŚNIEG NA RÓWNIKU

Wzniósłszy się w powietrze i przeleciawszy spory kawał drogi ponad szosą, Maciek nagle zdał sobie sprawę z tego, jak niebezpiecznej sztuki dokonał, lądując na opuszczonym przed chwilą rozdrożu. Wprawdzie w tym miejscu szosa na dość sporym odcinku była znacznie szersza, a jej nawierzchnia gładka i twardo ubita, tym niemniej ryzyko było duże i teraz, gdy sobie z tego zdał sprawę, zimny pot wystąpił mu na czoło. Zrozumiał, że to gładkie lądowanie było nie tyle jego zasługą, ile raczej szczęśliwym trafem. Postanowił na przyszłość mniej wierzyć w swoje szczęście i wkładać więcej rozważli w to, co czyni. Ale te wyrzuty sumienia i krytyczne myśli nie trwały długo. Porwany znowu lotem „Orła” czuł, że jest prawdziwym lotnikiem, że powietrze jest jego żywiołem, że on, Maciek Tatar, urodził się z talentem latania. Wszystkie te myśli szybko przebiegały przez głowę chłopca. Postanowił jednak skupić całą uwagę nad lotem.

Z mapy wynikało, że lada moment przelecą nad Bafuasende. Zdaniem Maćka lepiej by było, żeby nikt z tej osady nie zauważył ich przelotu. Zwrócił się więc do profesora, zajętego przeglądaniem odzyskanych dokumentów:

— Bafuasende chyba ominiemy?

Profesor spojrział na horyzont i na mapę.

— Byłoby to bardzo pożądane. Lećmy wprost do Irumu. Mamy jeszcze około 300 kilometrów w linii prostej.

Palec profesora wytyczył na mapie kierunek, a Maciek, skontrolowawszy kompas i przyrządy, nacisnął stery. Samolot, opuszczając czerwoną linię szosy, skierował się ku wschodowi. Z wysoka ziemia wydaje się płaska i trudno odróżnić falistość i wzniesienia. Ponieważ jednak słońce zachodziło, cienie mijanych lasów i pagórków wyraźnie odmalowywały ukształtowanie coraz bardziej górzystego terenu. Po blisko półgodzinnym locie w dole błysnęła srebrna wstążka jakiejś rzeki. Maciek rzucił okiem na mapę.

— Ituri! — oznajmił.

— Trzymaj się jej koryta w górę biegu, zaprowadzi nas wprost do Irumu.

Wprawdzie rzeka wijąca się niedużymi łukami nieraz ginęła w gąszczu zieleni, ale lot według jej biegu był dużym ułatwieniem. W pewnej chwili wpłynęli między dwa większe łańcuchy wzgórz, na których widać było jakieś wieże i szyby.

— To nasze kopalnie — objaśnił profesor.

Po chwili na horyzoncie ukazały się jasne plamy kilkunastu domków, a wkrótce znacznie mniej widoczne chatki murzyńskie.

Znalezienie dobrego terenu do lądowania nie było zbyt trudne. Tuż za osadą nad rzeką rozciągała się jakby plaża o jasnoczerwonym kolorze. Była to twarda i gładka tłoka laterytywa, rodzaj gleby stanowiący doskonały grunt pod budowę szos, z którym Maciek poznał się już przy lądowaniu na rozdrożu przed Bafuasende.

Obaj Belgowie nie po raz pierwszy byli w Irumu. Znali dobrze miejscowego komisarza Riela, który wraz z biurem administracyjnym zajmował obszerny, po europejsku urządzony dom, leżący w pięknym ogrodzie nad rzeką. Komisarz Paul Riel zarządzał całym okręgiem Irumu. Jemu też podlegały pobliskie kopalnie złota i innych kopalin. Do niego udał się profesor Ryckmans, pozostawiając przy samolocie doktora i Maćka.

„Orła” niebawem otoczyła gromada ciekawskich białych i czarnych, a po chwili przybyło kilku uzbrojonych dryblasów, którzy objęli straż przy samolocie.

Teraz doktor i Maciek mogli się udać w ślad za profesorem do domu komisarza.

Komisarz, Paul Riel, zażywny grubas o uśmiechniętej, wygolonej, czerwonej twarzy uchodził za jednego z najenergiczniejszych administratorów kolonii. Sławę swoją i autorytet zdobył nie surowością i uciskiem, lecz łagodnością i uśmiechem. Był niezwykle pracowity i

ruchliwy, przy tym wymagający, ale dbały o pracowników i ich dobro. Jego sposób zarządzania spotykał się z krytyką ze strony zwolenników „mocnej ręki” w stosunku do dzikich, ale jego wielka popularność wśród tubylców dawała o wiele lepsze wyniki, niż gdzie indziej siła pięści i terroru.

Gościnnie gospodarz w towarzystwie swej tłuściutkiej i mile uśmiechniętej żony, Elizy, przyjęli goście niezwykle sutą kolacją, po czym ci, znużeni dniem pełnym nie byle jakich przygód, udali się na spoczynek.

Gospodarz natomiast zaczął działać. Wystarczyła krótka rozmowa z profesorem, by teraz, gdy pozostał sam, poszły w ruch telefony do wszystkich zarządzanych przez niego kopalń i urzędów. Rozmowy telefoniczne były krótkie i alarmujące. Wszyscy kierownicy kopalń i kilku urzędów mieli się zgłosić nazajutrz z samego rana w biurze komisarza Riela.

Ledwo pierwsze promienie słońca zaróżowiły czuby drzew, gdy już pierwsi wezwani podążyli do domu komisarza. Niezbyt obszerna weranda zapełniła się zaproszonymi. Z mieszkania wszedł Riel w towarzystwie Ryckmansa i de la Roche'a. Rozpoczęły się żywe obrady.

Maciek obudził się dopiero koło ósmej godziny. Widząc, że towarzysze jego już opuścili pokój, szybko się ubrał i wybiegł ich szukać. Gdy stanął w drzwiach werandy, wśród zebranych toczyła się tak żywa dyskusja, że nikt nie zauważył jego wejścia. Usiadł więc w kącie na wolnym taboreciku i począł przyglądać się i przysłuchiwać obradującym. Wśród zebranych białych i czarnych zauważył również kilka osób o smagłych, jakby hinduskich i arabskich twarzach. Wszyscy rozprawiali z dużym ożywieniem. Od czasu do czasu niski, łagodny, ale stanowczy głos komisarza Riela uciszał gwar i wyrażał jakieś zdanie, które zebrani już to przyjmowali w spokoju, już to podchwytywali, żywo je komentując. Długim kijkiem bambusowym Riel wskazywał jakieś miejsce na mapie wiszącej obok na stojaku. Zebrani wodzili oczami za końcem kijka i w milczeniu potakiwali głowami. Komisarz mówił w jakimś dialekcie, zbliżonym do języka francuskiego, toteż Maciek nie rozumiał dokładnie o co chodzi. Wiedział tylko, że poważną rolę na tej naradzie odgrywa profesor Ryckmans, który siedział obok Riela i często zabierał głos. Nie widząc potrzeby dalszego beczynnego siedzenia na dusznej werandzie, Maciek wyszedł do ogrodu.

Powietrze było świeże i rześkie. Irumu leży na dość znacznej wysokości nad poziomem morza u podnóża Gór Błękitnych. Chłopak odetchnął głęboko kilka razy. Widok pobliskich zielonych wzgórz i błękitniejącej mgławo w dali grupy wysokich gór, przypominających polskie Beskidy i Tatry, przywołał myśl o dalekim kraju, o domu, ojcu i kolegach. Objęła go wielka tęsknota i wzruszenie. Jeszcze dwa tygodnie temu uznałby za niedorzeczną myśl, że on, kilkunastoletni wyrostek, uczeń gimnazjalny, w tak krótkim czasie znajdzie się w środku Afryki i dzięki umiejętności latania odegra poważną rolę wśród obcych ludzi na tym potężnym i pełnym niezwykłych niespodzianek kontynencie... W tej samej chwili nasunęła mu się myśl o Bartku i „Orle”...

Maciek momentalnie się opanował. Przecież musi natychmiast iść do „Orła” i zobaczyć, co się z nim dzieje. Jak mógł nie pamiętać o głównym swoim obowiązku. Ledwie uczynił kilka kroków ku wyjściu, gdy ze stopni werandy zbiegł doktor de la Roche.

— Dzień dobry, przyjacielu! Jak się czujesz?

— Doskonale, doktorze. Idę właśnie zobaczyć, czy nasz ptak też dobrze wypoczął.

— O, to bardzo ważne, gdyż jak wnoszę z narady, dziś po południowym odpoczynku czeka nas skok do Kampali, a to przecież około 400 kilometrów drogi i to ponad łańcuchem tych gór — doktor wskazał na wysokie góry widniejące na południowym wschodzie.

— Tym starannie musimy przygotować „Orła”.

Po kilku minutach byli już przy samolocie, wokół którego krążyła warta z karabinem na ramieniu. W cieniu skrzydła siedziało dwóch młodych ludzi w lekkich, mocno wytłuszczonych kombinezonach. Ludzie ci na widok nadchodzących podnieśli się i postąpili parę kroków naprzeciw.

— Jesteśmy mechanikami z warsztatów samochodowych. Pan komisarz Riel polecił nam tu przyjść do dyspozycji pana lotnika — zwrócili się do doktora.

— Serdecznie wam dziękujemy. Ale ja jestem lekarzem, a lotnikiem, i to doskonałym lotnikiem, jest ten oto młodzieniec.

Mechanicy spojrzeli ze zdziwieniem na Maćka, który szybko wyciągnął rękę i uściśnął na powitanie ich twarde dłonie.

— Dziękuję panom bardzo za przybycie z pomocą, bo ja wprawdzie latam może nieźle, ale mechanikiem nie jestem, a tu trzeba samolot dokładnie obejrzeć. Zapewniono mnie w Stanleyville, że panowie się na tym bardzo dobrze znacie.

— Zrobi się, panie pilocie — odpowiedział z uśmiechem starszy.

— To nie pierwsza maszyna, której zrobimy kosmetykę przed lotem.

Mechanicy zabrali się natychmiast do roboty, a Maciek po zapoznaniu ich z grubsza z budową maszyny, widząc, że to naprawdę dobrzy fachowcy, jeszcze raz ich poprosił, by skrupulatnie obejrżeli i oczyścili aparat.

Tymczasem doktor w cieniu skrzydeł rozłożył mapę najbliższych okolic i począł na niej kreślić plan dalszej drogi oraz wyliczać podręczną podziałką odległości. Gdy po kilkunastu minutach obok niego przykucnął Maciek, doktor wyjaśnił, o co chodzi.

— Profesor Ryckmans będzie jeszcze przez jakiś czas zajęty, więc prosił mnie, żebym ja z tobą porozmawiał o dalszej naszej drodze. Znam dość dobrze te okolice, więc spróbuję w zastępstwie profesora opisać ci je przed lotem. Wpierw jednak powiedz mi, czyś zadowolony z mechaników?

— Oczywiście! Bałbym się dalej lecieć bez kontroli maszyny.

Doktor przykucnął nad mapą i zaczął objaśniać:

— Lecimy nie do Kampali, lecz do Entebbe, gdzie niedawno otwarto doskonałe lotnisko. Stamtąd do Kampali jest bardzo blisko. Między tymi dwoma miastami kursuje mnóstwo samochodów. Poza tym w Entebbe bawi w tej chwili zastępca komisarza Riela, który może nam być bardzo pomocny. Z nim przede wszystkim musi porozumieć się profesor co do naszych urzędowych spraw na tamtym terenie. Tak omówiliśmy nasze dalsze działanie z komisarzem Rielem. Co ty na tę małą zmianę, przyjacielu?

— Dla mnie to jest bez znaczenia, jeśli Entebbe leży tak blisko Kampali — odpowiedział Maciek.

— A teraz powiem ci coś, co powinno ci sprawić pewną przyjemność: tuż koło Entebbe przechodzi... równik — doktor wskazał linię równika na mapie.

— Ach, zobaczymy równik! — zawołał Maciek z radością, ale w tej chwili aż poczerwieniał z zawstydenia. — Co ja za głupstwa wygaduję, przecież równik jest niewidoczny.

— Jeszcze jedna niespodzianka dla ciebie — ciągnął doktor. — Do niedawna uważano równik za trwały, gorący pas. Nieraz zresztą zdarzały się na morzach katastrofy, spowodowane tym, że piekielny upał wytapiał żelazo z przepływających przez równik okrętów. Tymczasem my zobaczymy coś wręcz przeciwnego.

— A co takiego, doktorze?

— Coś, w co trudno uwierzyć, a jednak ujrzymy to na własne oczy: śnieg na równiku.

Maciek ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

— Śnieg na równiku? Czy to możliwe?

— Tak, tak. Będzie to wprawdzie w odległości kilkunastu kilometrów od równika, ale to nie gra żadnej roli. A teraz posłuchaj, kochany przyjacielu, co ci opowiem o tej drodze, którą dziś przelecimy, gdyż w samolocie nie będzie czasu na pytania i odpowiedzi. Ten odcinek drogi, szczególnie jego początek jest dość trudny, trzeba więc żebyś się z jego opisem zapoznał przed lotem.

Już ponad godzinę trwała pogawędka nad mapą, gdy z domu komisarza przybiegł

goniec zapraszając doktora i Maćka na poranny posiłek.

Treściwym i smacznym śniadaniem przyjmowała trzech gości pani Eliza, podczas gdy jej mąż pełnił dalej swoje komisarские obowiązki, prowadząc na werandzie obrady z podwładnymi. W pokoju był przyjemny chłodek, gospodyni miała bardzo miłe obejście, nic zatem dziwnego, że wkrótce zapanował przyjemny nastrój. W pewnej chwili profesor Ryckmans, który najdłużej i najlepiej znał gospodarzy, powiedział z uśmiechem:

— Przy każdym spotkaniu z wami, pani Elizo, podziwiam wasz zdrowy, świetny wygląd oraz niezmiennie dobry humor, o co nie jest łatwo u Europejczyków, mieszkających w Afryce.

— Chce pan powiedzieć, profesorze — odpowiedziała pani Eliza, odwzajemniając się uśmiechem — że spotkać w Afryce takich dwóch grubasów, jak ja z mężem, to rzadkość.

Profesor zamachał ręką chcąc zaprotestować, ale gospodyni nie dała mu dojść do słowa.

— Niech pan nie protestuje, mamy przecież lustra w domu. Jesteśmy parą tłuściochów i dlatego Irumu nam odpowiada. Nigdy nie jest tu bardzo gorąco i nigdy zbyt zimno, chociaż mieszkamy prawie na równiku. Tutejszy klimat wiecznego lata na wysokości kilkuset metrów nad poziomem morza, niezwykle rześkie powietrze, bujna roślinność, dom nad szumiącą wodą — oto stale warunki naszego życia. Tu ludzie nie omdlewają z duszności, nie przymierają głodem. Nawet owady na tej wysokości niezbyt nam dokuczają, a wspaniała przyroda aż nadto wynagradza przyjemności i rozkosze wielkiego miasta.

Maciek przysłuchując się tej rozmowie przypomniał sobie, że ludzie, których tu spotykał, prawie wszyscy się uśmiechali. Jakże wielki wpływ zatem wywiera na człowieka otoczenie i piękno przyrody. Rozumiał teraz, że w tych warunkach nie srogi i ponury satrapa, ale właśnie uśmiechnięty, tłuściutki komisarz Riel mógł dobrze kierować ludźmi ku pożytkowi i administracji, i miejscowej ludności.

Po śniadaniu profesor i doktor wrócili na werandę, by wziąć udział w dalszych obradach. Maciek zaś poszedł do samolotu, by pozostać już z mechanikami do końca ich pracy. Odlot miał nastąpić około trzeciej po południu.

W samo południe, gdy Maciek dziękował mechanikom za sumienne skontrolowanie i oczyszczenie aparatu, zerwała się krótka, gwałtowna burza, która naturalnym, potężnym prysznicem dokończyła toalety „Orła”. Po burzy powietrze stało się jeszcze czystsze i rzeświejsze, co zapowiadało dobrą podróż.

Zajęli miejsca w kabinie, zegnani serdecznie przez miłą parę Rielów, obu mechaników oraz kilku tubylców. Po paru minutach płynęli w przezroczystym powietrzu. Tuż za Irumu wielkim łukiem minęli Góry Błękitne i zaraz oczom ich odsłonił się wspaniały widok na Góry Księżycowe, zwane inaczej grzbietem Ruwenzori. Jak zwykle nad górami prądy powietrza były dość silne, co powodowało wzloty i spady „Orła”. Konieczność wyrównywania lotu zmuszała Maćka do wielkiego skupienia uwagi. Mógł wprawdzie uniknąć tego, wznosząc się znacznie wyżej, wtedy jednak pozbawiłby się czarujących widoków mijanych okolic. Dopiero teraz zrozumiał, jak wielką przysługę oddał mu doktor opisową lekcją sprzed kilku godzin. Wiedział, że przelatuje nad najmniej znanymi, najbardziej tajemniczymi zakątkami Afryki, o wspaniałym układzie geologicznym i niezwykle bogactwie świata roślinnego i zwierzęcego. Na tych terenach utworzono niedawno obszerne rezerваты.

„Orzeł” szybujący nad górami Ruwenzori, wznosił się stale ku górze. Płynął już na wysokości przeszło 1500 m. Na stokach górskich w wielu miejscach powiewały białobłękitne mgły zatrzymywane przez wzniesienia. W ogromnych wyrwach pomiędzy mgłami widoczna była bujna zieleń puszczy, wijące się brunatne, czerwone, żółte, czasem sine lub czarne smugi korzeni czepnych rozmaitych pnączy i roślin wspinających się po olbrzymich drzewnych z dna mrocznej puszczy ku słońcu i światłu.

Lecz w miarę wznoszenia się w górę zieleń szarzała, znikwały kłęby rudych splotów i

kolorowe struny zwisających porostów, gęstwina rzedła i małała, tu i tam przechodząc w chaszczę i duże płachty traw.

Góry Ruwenzori łączą swoim wyniosłym grzbietem leżące w jednym z wielkich rowów afrykańskich jezioro Alberta z jeziorem Edwarda. Maciek pamiętał z lekcji udzielonej mu przez doktora, że rowy afrykańskie to biegnące przeważnie z północy na południe olbrzymie szczeliny, powstałe wskutek dogłębnych pęknięć skorupy ziemskiej. W niektórych miejscach szczeliny wypełnione są do pewnego poziomu wodą słodką i tworzą bardzo głębokie jeziora, których zwierciadła położone są kilkaset metrów nad poziomem morza, dna zaś leżą niżej poziomu morza. Maciek lecąc w poprzek pasma górskiego, mimo dość wysokiego lotu, nie spodziewał się zobaczyć zwierciadeł tych jezior, leżały bowiem na skrzydłach grzbietu Ruwenzori, rozciągającego się na przestrzeni 150 km. Chcąc z bliska zobaczyć najwyższy szczyt Gór Księżycowych, Maciek prowadził „Orla” niemal tuż przy głównym masywie górskim. Rozrzedzone powietrze nie pozwalało lecieć zbyt wysoko, samolot więc szybował nad wielkimi kotlinami i przełęczami na wysokości od 2500 do 3000 m.

Gdy trzeba było zgodnie z biegiem wąwozu zmienić kierunek bardziej na południe, spoza mijanego bliskiego bloku wystrzelił nagle wspaniały widok głównego gniazda Ruwenzori z niebotycznym szczytem Pico Margherita. Czuby i kopy szczytów pokrywał błękitno-biały płaszcz wiecznego śniegu, łagodny zaś i wyniosły stożek Pico Margherity jarzył się w słońcu, opalizował i mienił się niczym bajecznie piękna czapa królewska.

Widok był tak wspaniały, że Maćkowi aż dech w piersiach zaparło. Spełniła się obietnica doktora de la Roche: Maciek zobaczył śnieg na równiku. Wąwóz między górami był na szczęście dość długi, a warstwa powietrza w tym miejscu tak spokojna, że chłopak bez obawy o lot mógł nasycić oczy cudowną górską zjawą.

Silniejsze zafalowanie samolotu wyrwało Maćka z oszołomienia i kazało skupić całą uwagę nad maszyną i jej lotem.

Do Entebbe miał jeszcze około dwustu kilometrów.

XI. CO MOŻE JEDNO „PSIAKREW”

Lotnisko w Entebbe urządzone było po europejsku. Olbrzymie hangary doskonale zabezpieczały przed podrównikową, niezwykle burzliwą niepogodą. Warsztaty były bogato wyposażone we wszystkie potrzebne maszyny i narzędzia; obsługa ich składała się z wytrawnych mechaników, pracujących pod kierownictwem doświadczonych inżynierów i lotników. Gdy „Orzeł” po przepisowym okrążeniu lotniska osiadł na gładkiej jak stół płaszczyźnie, od strony hangarów podjechał zgrabny łazik, prowadzony przez szofera Murzyna, obok niego siedział dyżurny oficer, w lekkim, polowym mundurze i tropikalnym hełmie z odznakami wojskowymi.

Było gorąco i duszno, chociaż zbliżał się już wieczór. Wysiadającego z łazika oficera przywitał profesor Ryckmans przedstawiając mu jakieś papiery. Oficer spojrzął na dokumenty i z uśmiechem wskazując ręką na duży biały budynek leżący niedaleko, prawdopodobnie komendę portu lotniczego, zaprosił przybyszów do łazika.

Przy wsiadaniu do samochodu Maciek, zmordowany kilkugodzinnym trudnym lotem, odetchnął głęboko, ale gdy zamiast świeżego powietrza do płuc jego wtargnął żar, nie wytrzymał i dając sobie folę zaklął po polsku:

— Ależ gorąco, psiakrew!

Na te słowa oficer stanął jak wryty, ręką zsunął hełm na tył głowy i wtapiając wzrok w

Maćka rzucił nagle, najniespodziewaniej dla wszystkich, również po polsku:

— Coś powiedział, młodzieńcze, p s i a k r e w?

Maciek, słysząc schrypnięty jak by ze wzruszenia głos i polskie słowa, powtórzył odruchowo:

— ... tak... „psiakrew”...

— Polak? — zawołał oficer.

— Polak!

— Skąd?

— Z Warszawy!

— O, Boże! Jakim cudem?

— Tym samolotem.

— Chłopcze kochany!

I Maciek poczuł jak go unoszą w powietrze i przyciskają do piersi silne ramiona, a do policzków przypadają raz po raz gorące usta oficera.

— Co za nadzwyczajne spotkanie! — odetchnął wreszcie oficer stawiając Maćka na ziemi.

— Czy pan jest Polakiem? — zapytał Maciek, czując jak mu serce bije ze wzruszenia.

— Tak, przyjacielu. Jestem kapitan Jan Nowotny, oficer Brytyjskiej Floty Powietrznej.

— Polak oficerem angielskiego lotnictwa w Afryce!?

— Wielka wojna rzucała nami po całym świecie. Ale o tym będziemy mieli okazję szerzej porozmawiać, gdyż zapraszam ciebie do mnie na kwaterę. A teraz siadajmy do samochodu i pojedziemy z twoimi przyjaciółmi do komendy portu lotniczego załatwić formalności.

Okazało się, że Angielski Rządowy Instytut Geologiczny mieści się w Entebbe i w jego to gmachu rezyduje Międzynarodowa Komisja Unii do Spraw Afryki Wschodniej. Nowoczesne willowe miasto Entebbe, zbudowane nad północnym brzegiem jeziora Wiktorii, jest stolicą administracji angielskiej. Leżące o kilkanaście kilometrów na północ miasto Kampala, dawna stolica Ugandy, dziś jest centrum handlowym prowincji Bugandy. W Kampali, na jednym z jej podmiejskich wzgórz, znajduje się stara osada tubylcza Mengo, rezydencja i stolica króla Bugandy zwanego „Kabaka”.

O tym wszystkim dowiedział się Maciek w komendzie portu, gdzie po załatwieniu formalności, w pięknym kasynie komendant portu, Anglik, pułkownik Gibson, przyjmował gości z Konga sutą kolacją. Obecni byli również kapitan Nowotny oraz dwaj inżynierowie z Instytutu Geologicznego, którzy zawiadomieni przez Gibsona przybyli przywitać słynnego profesora Ryckmansa. Rozmowa przy kolacji toczyła się po angielsku i francusku, jednak kapitan Nowotny stale i z widoczną przyjemnością udzielał Maćkowi bliższych wyjaśnień po polsku. Z tych objaśnień między innymi Maciek dowiedział się, że w kraju Ugandzie jest prowincja Buganda, zamieszkała przez ludność z plemienia Baganda, w którym jeden Murzyn nazywa się Muganda, a wszyscy mówią językiem luganda. Mnogość nazw i objaśnień stwarzała coraz większy mętlik w głowie Maćka, który wprawdzie słuchał uprzejmie, ale odczuwał coraz silniej zmęczenie i senność. Oczekiwanie jednak na osobną rozmowę z kapitanem Nowotnym podniecało go i nie pozwalało zasnąć przy kolacji. Gdy pod koniec przyjęcia na prośbę pułkownika Gibsona Maciek opowiedział o swoim locie, uprzejmy gospodarz wznosił toast na jego cześć, z czego skorzystał kapitan Nowotny i poprosił o zezwolenie na zakwaterowanie Maćka u siebie. Zezwolenie takie było konieczne, gdyż w porcie lotniczym w Entebbe obowiązywała surowa dyscyplina wojskowa.

Profesora Ryckmansa i doktora de la Roche inżynierowie z Instytutu odwieźli samochodem do luksusowego hotelu „Imperial”, Maciek zaś z kapitanem Nowotnym udali się na noc do pięknej willi leżącej tuż nad jeziorem Wiktorii, zamieszkałej przez kilku oficerów angielskich. „Orzeł” otrzymał obszerną i wygodną kwaterę w hangarach na lotnisku.

W czasie kolacji przeszła krótka, gwałtowna burza i teraz niebo roziskrzone było mi-

liardem gwiazd. Od jeziora wiał łagodny wietrzyk. Na piętrowym tarasie willi, zwróconym ku jezioru, w wygodnych leżakach odpoczywało się wyśmienicie. Kapitan Nowotny, dotrzymując obietnicy, zwięźle opowiedział Maćkowi, skąd się znalazł w służbie angielskiej w Entebbe.

Był warszawiakiem, synem kolejarza. Gdy wybuchła wielka wojna, w 1914 roku, miał 14 lat. Przebywał wówczas wraz z ojcem w głębi Syberii. Po dwóch latach ojca jego powołano do wojska. Wkrótce zginął w czasie jakiejś ofensywy. Młodziutkiemu Jankowi udało się przedostać do Władywostoku, skąd na jakimś statku handlowym, początkowo w charakterze chłopaka okrętowego, a później marynarza, po wielu przygodach dotarł do Liverpoolu, gdzie na stałe zszedł na ląd. Był ciekaw świata, ale wojna jeszcze trwała i trudno było poruszać się swobodnie. Z czegoś trzeba było żyć, wstąpił więc w Liverpoolu, wielkim mieście przemysłowym, do jakiejś fabryki włókienniczej. Warunki pracy były ciężkie i bez widoków na przyszłość. Więc po jakimś czasie, gdy poznał już dobrze język angielski, zaciągnął się ochotniczo do lotnictwa, gdyż wojna wciąż jeszcze trwała. Skończył szkołę pilotów i w stopniu podoficerskim został wysłany na front do Francji. Po kilku bojowych lotach, w czasie jednej z walk powietrznych został ranny. Gdy go przewieziono do szpitala w Anglii, tam oczekiwał już na niego order „Croix de Guerre” i stopień oficera. To go tak wzruszyło, iż postanowił po wyzdrowieniu pozostać na stałe w lotnictwie. Rana goiła się bardzo długo. Gdy wreszcie powrócił do swego oddziału, było już po wojnie. Wprawdzie wkrótce doszły go wiadomości o Polsce wyzwolonej z zaborów, ale wieści te były na razie dość niejasne i pełne sprzecznych poglądów. Zresztą w tym czasie nie miał ani do kogo, ani do czego wracać. Do ojczyzny, szczególnie do Warszawy, w której spędził lata chłopięce, tęsknił bardzo, ale postanowił wyczekać aż się czasy uspokoją, a na razie poświęcił się służbie lotniczej. I tak płynął rok za rokiem. Przeleciał kawał nieba nad kulą ziemską, dosłużył się stopnia kapitana i teraz tu, w Entebbe, jest dowódcą ekipy lotniczej, wytyczającej powietrzne szlaki nad całym afrykańskim kontynentem i ich połączenia z Europą.

Na tę ostatnią wiadomość Maćkowi serce silniej zabiło. Ale wzruszony opowieścią kapitana, odłożył na później cisnące się na usta pytania o drogę powrotną do Polski i westchnąwszy głęboko powiedział z przejęciem:

— Dużo pan przeżył, panie kapitanie... Jak to się dzieje, że po tylu latach spędzonych z dala od ojczyzny pan tak dobrze mówi po polsku?

— Wyjaśnię ci to bardzo prosto: o ojczystą mowę ojciec nauczył mnie dbać na obczyźnie. On mi uświadomił, że mowa w pewnych warunkach zastępuje ojczyznę. Na Syberii, gdy byliśmy jeszcze razem, co dzień wieczorami czytaliśmy na głos bodaj po parę stron, to z „Pana Tadeusza” Mickiewicza, to coś z trylogii Sienkiewicza, z „Chłopów” Reymonta czy ze „Starej Baśni” Kraszewskiego. Te książki zabrał ojciec z sobą z kraju. Ja je po ojcu odziedziczyłem. Kilka z nich, a przede wszystkim „Pana Tadeusza” zabrałem w świat i nie rozstaję się z nimi prawie nigdy. Co dzień przed snem czytam z nich parę stron na głos i wtedy jestem w mojej ojczyźnie.

Maciek zamrugnął oczami.

— Dlatego mówi pan tak jakoś inaczej niż się słyszy u nas w Polsce na ulicy czy w sklepie.

— Masz rację, chłopcze. Przecież język tworzą żywi ludzie w codziennym obcowaniu z sobą. I dlatego tak mnie wzruszyło twoje proste i nie książkowe, ale za to żywe, polskie „psiakrew”.

— A mnie, jak usłyszałem, że angielski oficer przemówił po polsku, aż dech w piersi zaparło.

— Bo ludzie z tego samego narodu, to jedna wielka rodzina choć nieraz po całym świecie przez los porzrucana. I wystarczy by dwóch rodaków spotkało się na obczyźnie i zamieniło z sobą kilka słów w swojej mowie, a już jeden drugiemu nieba rad by przychylić.

— Tak, to pewnie prawda. Tylko, że ja panu nic nie mogę dobrego zrobić, a pan mnie tak dużo... — Maciek urwał nagle i spojrzał z niepokojem na kapitana.

— Mylisz się, Maćku — odpowiedział szybko Nowotny. — Już samym swoim przybyciem i swoją mową, tym, że ja tu, w środku Afryki, po tylu latach rozłąki z ojczyzną, zobaczyłem dziecko z Polski, i to chłopca dzielnego, odważnego, skrzydlatego, tym samym już obdarowałaś mnie po królewsku. A cóż ja tobie mogę dać w zamian?

— Och, wiele, bardzo wiele, tylko ja tego nie potrafię powiedzieć tak ładnie jak pan. A o jedno chcę pana prosić, tylko nie wiem, czy mi wolno...

— Ależ rozumie się, chłopcze! Mów, mów o co ci chodzi?

Maciek odetchnął z ulgą i dla podkreślenia wagi swej prośby usiadł na leżaku.

— Pan powiedział, panie kapitanie, że pan jest dowódcą eskadry, która wytycza drogi powietrzne nad Afryką do Europy.

— Tak, to jest obecnie moje zadanie. I jeśli tylko potrzebujesz mojej pomocy...

— Bo ja bym wolał nie wracać już do Stanleyville i jak najprędzej lecieć z powrotem.

— A któż ci każe wracać do Stanleyville?

— Tam mieli przygotować dla mnie trasę powrotną i zapas paliwa.

Teraz kapitan usiadł na leżaku, a w ciemnościach błysnęła zapalniczka zapalająca papierosa.

— Wiesz co, chłopcze? Opowiedz ty mi jeszcze raz o twoich przygodach, ale tym razem już ze szczegółami. Jeśli mam ci skutecznie dopomóc, to muszę dokładnie znać twoje położenie.

Maciek opowiedział swoje dzieje od choroby ojca poczynając. Kapitan słuchał z coraz większym zainteresowaniem, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie, przeważnie fachowe, dotyczące pilotowania. Gdy Maciek skończył swoją opowieść opisem przelotu nad Ruwenzori, Nowotny był już pewien, że gości u siebie wyjątkowo utalentowanego, chociaż tak młodziutkiego lotnika. Minęło jeszcze sporo czasu, zanim obaj rozmówcy po wyczerpującej naradzie, znużeni, ale pełni wzajemnej serdecznej przyjaźni, ułożyli się wreszcie do snu.

Mimo kanonady nocnej burzy Maciek spał twardym snem do późnego ranka. Gdy się obudził, przez otwarte okno wpadało świeże powietrze, gwar ptactwa i skrzek papużek. Ubrał się, zjadł śniadanie i wyszedł na taras, skąd roztaczał się wspaniały widok na jezioro Wiktoria. Jezioro było ogromne, robiło wrażenie morza. W oddali na tle szarej wody błyskały białe plamki żagli niedużych statków przesuwających się z wolna w różnych kierunkach. Niedaleko na południowym zachodzie czerwieniły się jakieś wyrastające z jeziora skały. Tuż przy brzegu uwijały się długie łodzie rybackie, budowane z połączonych pni drzewnych. Maciek chłonał te widoki, odkrywając coraz to coś nowego, gdy za jego plecami odezwał się znajomy głos:

— Widzę, drogi chłopcze, że nie marnujesz czasu.

— Chciałbym sobie wbić w pamięć ten piękny widok z pańskiego tarasu, panie kapitanie.

— Czy widzisz te czerwone plamy na horyzoncie?

— Właśnie się zastanawiam, czy nie są to jakieś wysepki.

— Tak. To wyspy Sese, przez jedną z nich przechodzi równik. Jeśli chcesz, moglibyśmy tam popłynąć motorówką.

— O, z wielką przyjemnością, tylko nie wiem czy profesor i doktor...

— Mogę cię uspokoić, bo właśnie od nich wracam. Od samego rana siedzą na konferencji w Instytucie Geologicznym i pozostaną tam jeszcze kilka godzin. Miałem możność porozmawiania z nimi i umówiliśmy się na wspólny obiad w restauracji „Imperial”.

— O, jaki pan dobry!

— A teraz jedziemy oglądać równik.

— Będziemy tam w samo południe.

— Nic nie szkodzi. Po nocnej ulewie jest jeszcze chłodno i pogoda może się utrzymać nawet przez cały dzień. Trzeba ci przy tym wiedzieć, że jezioro Wiktorja leży 1200 metrów nad poziomem morza, dzięki czemu klimat nad nim jest wyjątkowo łagodny.

Motorówka, w której czekał już miejscowy przewodnik, powiozła ich wprost na czerwieniejące w dali wyspy. Z szumem pruća perlącą się dokoła wodę jeziora. Po dobieciu do jednej z wysepek, przez którą według słów przewodnika przechodził równik, wyszli na brzeg — skalisty, a mimo to obrosnięty bogatą zielenią ubarwioną pomarańczowym kwieciami. Gwar ptactwa i furkotanie skrzydełek błyskających w słońcu wszystkimi kolorami tęczy robiły wrażenie jakiegoś wspaniałego jarmarku ptasiego. Niektóre drzewa oblepione były dzwonami gniazd i gniazdek, a w powietrzu unosiły się nieprzebrane chmary tych pierzastych mieszkańców wysepki. Do jej środka, gdzie panowała się dżungla, przewodnik nie próbował nawet gości prowadzić. Na wielu z tych wysepek nie powstała jeszcze nigdy stopa ludzka, uniemożliwiała to panosząca się tam wszechwładnie potworna mucha tse-tse, roznosząca śmiertelne zarazki śpiączki. Brzegi tych wysepek, szczególnie bogatsze w namuł, roją się od potężnych hipopotamów i krokodyli. Kapitan Nowotny, mając przy sobie trzystrzalowy sztuciec, spoglądał na gady łakomym wzrokiem, ale na razie dawał im spokój.

Gdy Maciek nacieszył się już chodzeniem i deptaniem po niewidocznym równiku, wsiedli z powrotem do motorówki i popłynęli do innej wysepki, na której stromych brzegach gnieździła się niewielka wioska rybacka.

Trafili akurat na powrót z połowu kilkunastu długich łodzi rybackich, na których około setki czarnych, nagich rybaków mozoliło się przy wyciąganiu niezmiernie długich sieci. Woda przed łódkami pieniała się i aż kipiała od usiłującej wymknąć się z sieci ryby. Mimo lekkiego wiatru połów był udany. Zgromadzona na brzegu dziesiątka tańczyła i hasała z radości, pomagając w przenoszeniu ryby koszami na brzeg, gdzie kobiety pod okiem starych rybaków sortowały połów według gatunków i wielkości. W sieci znalazło się także sporo krabów. Ryby przeważnie podobne były do dużych okoni, a kraby — do homarów.

Murzyni przywitali białych gości bardzo uprzejmie, zapraszając ich na rybią ucztę. Czas do uczty kapitan wykorzystał na oddanie kilkunastu strzałów do krokodyli, w czym pomagał mu naturalnie i Maciek. Polowanie to spotkało się z wielką radością ze strony wyspiarzy i to nie tyle ze względu na spodziewaną zdobycz mięsa, ile na pozbycie się bodaj kilku niebezpiecznych wrogów oblegających stale brzegi wyspy. Gady te są niezwykle podstępne i przebiegłe, a tak potrafią się ukrywać, że ponad wodą czy szlamem ledwie można zauważyć ich oczy i nozdrza. Olbrzymie ich cielska podobne są do zwałonych pni drzewnych, sękatych, o popękanej korze, a podobieństwo to wzmacnia jeszcze ich nieruchomość. Po pierwszym strzale czujne hipopotamy dały nura kotłując za sobą wodę, krokodyle zaś, zapewne ufne w swoją niewidoczność, dopiero po kilku strzałach usuwały się do wody. Niektóre z nich na pewno zostały trafione, a jeden podrzuty po strzale śmiertelnym skurczem w górę, opadł w drgawkach. Ludność z wielką ostrożnością podciągnęła go hakami na brzeg, gdzie został on od razu poćwiartowany. Do uczty rybiej przybyły jeszcze kawały mięsa krokodylego, zupełnie smacznego, co świadczyło o młodym wieku gada.

Już dobrze po południu kapitan Nowotny wiozł Maćka, sytego wrażeń, do restauracji hotelu „Imperial” w Kampali. Gdy jechali przez Entebbe, Maciek co chwila wyrażał swój podziw dla piękna tego miasta, zbudowanego przez Anglików dla ich własnej wygody w administrowaniu Ugandą. Szerokie ulice o gładkiej jak stół nawierzchni, trawniki z klombami kwiatów, piękne wille otoczone kwitnącymi drzewami, palmowe aleje, przez które mknęły nieliczne, ale luksusowe, błyszczące samochody, wszędzie wzorowa czystość i porządek.

Entebbe jest pięknym niedużym miastem. Przemknęli przez nie szybko doskonałą szosą. W dziesięć minut później byli w dużej, liczącej przeszło sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, Kampali, gdzie zajechali przed wspaniałą, w mauretańskim stylu zbudowany hotel

„Imperial”. W luksusowo urządzonej jadalni, o marmurowych kolumnach i mozaikowej posadzce z kolorowych kamieni, Maciek zajął miejsce w dużej łoży przy oknie wychodzącym na ulicę, kapitan Nowotny zaś pojechał samochodem, by załatwić kilka spraw służbowych. Profesor Ryckmans i doktor de la Roche powinni byli przybyć lada chwila.

Maćkowi, przyglądającemu się przez okno życiu ulicy, od razu rzucił się w oczy zupełnie inny w porównaniu z Entebbe charakter tego miasta.

Kampala jest to stare miasto afrykańskie. Wprawdzie przy głównej, doskonale wybetonowanej ulicy, w dużych, murowanych gmachach mieści się kilka banków angielskich, poczta, apteka, hotel, jeszcze jakiś urząd i parę sklepów z pięknymi wystawami, urządzonych po europejsku, jednak reszta miasta to domy i domki o charakterze wschodnim, indyjskim i murzyńskim, rozrzucone szeroko po wzgórzach. Miasto zamieszkują przeważnie Hindusi i Murzyni, a białych — w przeciwieństwie do Entebbe — policzyć można tu na palcach. Przyjezdni biali zatrzymują się w hotelu „Imperial”, kolorowi zaś w licznych „resthausach”, czyli zajazdach rozsianych po całym mieście i przedmieściach.

Maciek siedząc przy oknie przypatrywał się z ciekawością przechodniom na ulicy, wśród których przeważały kobiety murzyńskie. W przeciwieństwie do spotykanych dotychczas prawie nagich Murzynek, wszystkie one były wystrojone w obcisłe, barwne, jedwabne lub taftowe tkaniny, a odsłonięte głowy zdobiły misterne fryzury bujnych, kręconych włosów. Były wysokie, bardzo zgrabne, o falistych, niemal tanecznych ruchach. Chodziły przeważnie boso, suknie ich odznaczały się barwnością i wdzięczną elegancją. Wielu z nich towarzyszyli mężczyźni, zapewne mężowie, wyglądający na plantatorów, odzianych w białe spodnie i europejskie marynarki lub długie białe szaty, tradycyjny strój muzułmanów.

Zamyślił się Maciek nad tym barwnym i pełnym życia widokiem, ukazującym mu nagle dużą cywilizację tutejszej, przeważnie murzyńskiej ludności. Przypomniawszy sobie z ostatnich rozmów, że na wzgórzu Mengo pod Kampalą znajduje się siedziba „Kabaki”, króla Bugandy, który rządził przy pomocy kilku ministrów i małego sejmiku, zwanego „Lukiko”. Zauważył jednak również, że przy pojawieniu się białych kolorowi usuwają się na bok, jakby z pewną trwogą. Było w tym coś niepokojącego.

Wtem przed hotel zajechały dwa zdrożone daleką podróżą samochody. Z obu wozów wysiadło pięciu czy sześciu białych w lekkich turystycznych ubraniach i korkowych hełmach na głowach. Wszyscy oni skierowali się do hotelu. Teraz z pierwszego wozu wysiadł szofer, przeraźliwie rudy, który dopiero na jezdni nakrył głowę, a zaraz po nim z drugiego wozu wyskoczył kierowca Murzyn i wdał się w pogawędkę z rudym. Maćkowi na moment zamarło serce, a potem silnie zakolało. Przecież ten Murzyn dawał mu znaki z szosy, a ten rudzielec to szofer z rozdroża pod Bafuasende... pozostali zaś, którzy weszli do hotelu, to „turyści” ze Stanleyville.

Tak, to na pewno oni. Co teraz będzie? Ale nie było mu dane dłużej nad tym rozmyślać, gdyż właśnie weszli do jadalni i jak na złość szli przez długą salę prosto w jego stronę, mijając po drodze wiele nie zajętych stołów; w restauracji o tej porze było jeszcze pusto. Wreszcie zatrzymali się przy stole ustawionym przy sąsiednim oknie i wśród głośniejszej rozmowy zajęli miejsca. Maciek, spoglądając niby przez okno, kątem oka obserwował, co robią jego sąsiedzi i... czy nie nadchodzi nareszcie kapitan Nowotny. Co tu ukrywać, chłopak poczuł lęk przed rozpoznanie; przecie kilku z tych turystów rozmawiało z nim pamiętnego wieczora na przyjęciu u profesora Ryckmansa. Wprawdzie później już go nie widzieli, ale w każdym razie wolał, by go nie zauważyli. Na wszelki wypadek oparł się łokciem o stół, a dłonią zasłonił twarz zwróconą do okna. Tymczasem czarny szofer, rozmawiając z rudzielcem przy wozach na ulicy, spojrzawszy w okna restauracji i przypadkowo zobaczywszy Maćka aż zaniemówił ze zdumienia, a po chwili twarz jego błysnęła białymi zębami wyszczerzonymi w szerokim uśmiechu. Gdy rudzielec zaciekawiony zachowaniem się Murzyna spojrzawszy w okno i również zobaczył Maćka, czarny zagdakał coś i począł rękami niby skrzydłami bić powietrze. Na Maćku skóra

ścierpła. Widocznie Murzyn musiał go widzieć w Stanleyville i poznawszy teraz, dzielił się z kolegą spostrzeżeniem. Maciek był wściekły, przygoda pod Bafuasende mogła teraz znaleźć nieoczekiwanie swój dalszy ciąg. A kapitana Nowotnego ani profesora z doktorem wciąż nie było widać.

Tymczasem szofer zleciwszy Murzynowi pilnowanie wozów, bez pośpiechu wszedł do restauracji i nie patrząc nawet na Maćka podszedł do sąsiedniego stołu, usiadł na krześle przy jednym z turystów i wdał się w pogawędkę. Widocznie jednak mówili o czymś wesołym, gdyż obaj śmiali się co chwila, a „turysta” ani spojrział w stronę Maćka. „Na złodzieju czapka gore” — pomyślał chłopak i począł znowu spoglądać w okno, przez które w pewnej chwili zobaczył, że rudzielec już wyszedł na ulicę, coś z uśmiechem powiedział do Murzyna, wsiadł do swego samochodu i zapuścił motor, jak by miał za chwilę odjechać.

Maciek był tak zajęty tą obserwacją, że aż drgnął z przerażenia, gdy tuż obok siebie usłyszał twardy, skrzekliwy głos:

— *Pardon, Herr Pilot.*

Naprzeciw niego przy stole siedział turysta, z którym rudy szofer przed chwilą rozmawiał. Maciek zły, że dał się tak zaskoczyć, opanował się i patrząc spokojnie w oczy nieproszonemu gościowi, odpowiedział słabą niemczyzną:

— Czego pan chce ode mnie?

— Przywitać się z tak dzielnym lotnikiem.

— Nie jestem sam, czekam na kilku przyjaciół.

— Rozumiem. Zapewne na profesora Ryckmansa i doktora de la Roche.

— A może jeszcze na kogoś.

— Chyba nie na tego, kto wam pomagał pod Bafuasende.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi.

— A jednak postaraj się zrozumieć. Bo albo dojdziemy do porozumienia, albo... będziemy musieli poprosić cię na inną rozmowę. — Ostatnie słowa „turysta” twardo podkreślił klepiąc równocześnie po kaburze z pistoletem.

Maciek postanowił grać na zwłokę, więc udał mocno zdziwionego.

— Nie wiem o jakim porozumieniu pan mówi.

— Chcielibyśmy, by do naszych teczek powróciło to, co z nich zniknęło na szosie pod Bafuasende.

— Czyżby istotnie coś zginęło? A może wróciło tylko do prawowitego właściciela?

— Miało ono dla nas wielką wartość i jeśli nam powiesz, gdzie się to w tej chwili znajduje, jesteśmy gotowi dobrze zapłacić. — Przy tych słowach „turysta” cofnął rękę z kabury i dla odmiany sięgnął do bocznej kieszeni, wyjął sporą paczkę nowiuteńkich pieniędzy i położywszy je przed sobą zaczął się bawić banknotami.

Maciek, mimo bezradności wobec wrogich sąsiadów i tak hańbiącej propozycji przekupstwa i zdrady, poczuł, jak mu z oburzenia krew napływa do głowy. Opanował się jednak szybko, gdyż kątem oka spostrzegł, że pod hotel zajeżdża samochód kapitana Nowotnego, z którego prócz kapitana wysiedli profesor i doktor. „Turysta” nie mógł ich zauważyć, siedział zwrócony twarzą w przeciwnym kierunku. Biorąc milczenie Maćka za uleganie pokusie, natręt trzepnął wachlarzem banknotów o stół i uśmiechając się cynicznie, zapytał obcesowo:

— Ile mam wypłacić a conto?

Maciek poderwał głowę i odpowiedział z naciskiem.

— Umiem liczyć tylko do trzech.

— Co? Co takiego? — „turysta” ze zdumienia zamrugął oczami.

— Raz... dwa... trzy — przy ostatnim okrzyku Maciek wskoczył pod stół i z całej siły pchnął marmurowy blat wraz z nakryciem na siedzącego agenta. Przy głośnym rumorze, trzasku, brzęku tłukących się szklanek i talerzy, szczęku spadających widelców i noży, agent runął wraz z krzesłem na wznak, przykrywając się zsuniętą serwetą i ciężkim stołem, spod

którego wyszedł zaczerwieniony z wysiłku Maciek.

Na niezwykle rumor przy sąsiednim stole powstało zamieszanie. Kilka osób porwało się z miejsc, ale Maciek, jak gdyby nigdy nic, otrzepał ręce i spokojnie ruszył w stronę wejścia, przez które właśnie wchodzili w towarzystwie kapitana Nowotnego profesor Ryckmans i doktor de la Roche. Chłopak w kilku słowach opowiedział im o zajściu.

Dwóch kelnerów pomagało turyście wydobyć się spod przewróconego stolika. Zjawił się natychmiast zwabiony rumorem zażywny gospodarz restauracji, wyglądający na Ormianina, i zorientowawszy się szybko w sytuacji jał obłudnie przeproszać za niedbałe ustawienie stołu z połamanymi nogami przez służbę. „Turyści” widząc profesora i doktora w towarzystwie angielskiego oficera powstali od stołu i najbezczelniej w świecie, nie wspominając ani słowem o zajściu, poczęli przypominać się profesorowi i zapraszać przybyłych do swojego stołu.

Tej całej komedii Maciek przypatrywał się z boku nie odzywając się ani słówkiem.

Poturbowany „turysta”, który przy upadku uderzył głową o kamienną posadzkę, podniósł się z wysiłkiem i wspierając się na ramieniu kelnera podszedł kulejąc do towarzystwa. Wtedy Maciek wystąpił krok naprzód i wskazując palcem pogruhotany stół powiedział głośno i powoli:

— Tam zostawił pan swoje pieniądze.

Istotnie spod zmiętej serwety wystawały rozsypane nowiuteńkie banknoty.

W oczach agenta błysnęła wściekłość, ale odpowiedział spokojnie:

— Ach, to nie banknoty, to wypadły mi z kieszeni etykietki reklamowe naszej naukowej instytucji, doskonale imitujące banknoty.

Jeden z kelnerów już się zgiął, by zebrać te banknoty, ale kapitan Nowotny zatrzymał go ruchem ręki i zwracając się do gospodarza polecił mu krótko:

— Pan, gospodarzu, zbierze te „etykietki” i wpłaci je jutro do kasy tutejszego sierocińca. Pan chyba nie ma nic przeciwko temu?

Ostatnie słowa rzucił w stronę agenta.

— Jest mi to obojętne.

Zajście z banknotami było bardzo nie na rękę „turyantom”, toteż usiłowali oni ratować swoją pozycję usilnym zapraszaniem profesora i jego towarzyszy do swojego stołu. Zaprosiny te przerwał jednak kapitan Nowotny.

— A ja myślę, panowie „turyści”, że powinniście bez zwłoki zająć się waszym kolegą, którego poturbował kulawy stół, i odprowadzić go na kwatery. Do pomocy mogę wam dodać w o j s k o w ą e s k o r t ę.

Po tych słowach zapadło milczenie. „Turyści” wymieniali spojrzenia błyskające skrami złości. Zrozumieli, że są zdemaskowani.

— Mam wezwać eskortę? — rzucił krótko kapitan.

— Nie potrzeba — odparł jeden z agentów. — Tym razem usłuchamy pańskiej rady, kapitanie. Mamy jednak nadzieję w przyszłości się zrewanżować.

— Czy to pogrożka?

— Och, nie, tylko obietnica wzajemnej gościnności, gdy my będziemy gospodarzami.

Po tej krótkiej szermierce słownej „turyści” złożyli ukłon i wspierając poturbowanego kolegę opuścili salę.

Nie czekając na uprzątnięcie „pobojowiska” kapitan Nowotny zaproponował, by zająć na posiłek i swobodną pogawędkę sąsiadujący z jadalnią duży gabinet. Wszyscy byli wygłodniali, więc pierwsze minuty poświęcono jedzeniu i picciu chłodzących napojów. Równocześnie udzielano sobie krótkich wiadomości i objaśnień. Wszyscy byli w doskonałych humorach i nie szczędzili dowcipnych docinków na temat ostatnich zajęć. W miarę zaspokojenia głodu i ciekawości atmosfera stawała się coraz bardziej serdeczna. Po wniesieniu gorącej,

aromatycznej czarnej kawy, gdy obsługa opuściła gabinet, profesor Ryckmans, uciszywszy towarzyszy, zabrał głos i w krótkich słowach oznajmił, że odzyskane dzięki Maćkowi pod Bafuasende ważne noty i mapy zostały złożone w Międzynarodowej Unii Wschodnio-Afrykańskiej, dzięki czemu prawa Konga Belgijskiego do pewnych terenów i odkryć w tych terenach zostały zabezpieczone. Maciek zasłużył na wielką wdzięczność ze strony władz Konga Belgijskiego.

Potem przemówił kapitan Nowotny, stwierdził, że wprawdzie Uganda jest pod protektorem Anglii, ale przez kraj ten raz po raz przejeżdżają najrozmaitsi „turyści”, podający się za Amerykanów, Francuzów, Włochów, Holendrów, Szwedów, ale jego zdaniem, są to przeważnie hitlerowscy agenci, prowadzący wywiad dla swoich przyszłych bojowych wypraw. Nie dają się oni łatwo zdemaskować i każde pokrzyżowanie ich planów trzeba wysoko cenić.

Maciek początkowo z uwagą słuchał tych przemówień. Dowiadywał się z nich, że on, mały chłopak, bierze udział w jakiejś wielkiej grze, pełnej blasku brylantów i złota, ale także purpury krwi i ognia, huku strzałów i jęku maltretowanych, śmiechu białych i przekleństw czarnych, żaru słońca, huraganu wichru i piorunów. Stopniowo jednak zmęczenie obezwładniło chłopca, docierające do jego uszu słowa zlewały się w jednostajny szum.

Gdy po dłuższej chwili ocknął się z drzemki, trójka jego przyjaciół kończyła narady.

Profesor Ryckmans miał pozostać w Entebbe jeszcze kilka dni, by dopilnować spraw Konga Belgijskiego, a potem powrócić do Stanleyville samolotem, który w tym czasie miał lecieć z Entebbe przez Stanleyville do stolicy Konga Leopoldville.

Kapitan Nowotny, rozporządzający wszelkimi niezbędnymi materiałami i mapami, miał przez jutrzejszy dzień przygotować dla Maćka mapy z wytyczoną trasą przez Niam-Niam, gdzie pozostanie doktor de la Roche, a wsiądzie Bartek — następnie przez Chartum i Asuan do Kairu. „Orzeł” zostanie zaopatrzone w benzynę, oliwę i smary w Entebbe, a później uzupełni zapasy w Chartumie. Tam być może oczekiwać będzie na Maćka kapitan Nowotny, który miał w tym czasie lecieć w sprawach służbowych do Kairu.

Doktor de la Roche uda się z Maćkiem do Niam-Niam, skąd po wyjaśnieniu sytuacji albo powróci do swojej stacji, albo przez Niangarę nawiąże kontakt z Stanleyville.

Cały następny dzień, gdy profesor Ryckmans konferował w Międzynarodowej Komisji, a kapitan Nowotny w Komendzie Portu Lotniczego przygotowywał trasę przelotu „Orła” do Kairu, Maciek i doktor de la Roche w asyście kilku Murzynów odwiedzali sklepy w Kampali i kupowali całe zwoje rozmaitych tkanin, kolorowych perkali, gotowe ubrania, rozmaite naszyjniki, kolczyki i inne ozdoby, przeznaczone na „matabisze” (podarunki) dla czarnych przyjaciół z Niam-Niam.

Nazajutrz o świcie, na lotnisku w Entebbe, wokoło świecącego świeżością „Orła” zgromadziła się spora garstka przyjaciół żegnających odlatującego Maćka i doktora de la Roche. Komendant portu, Gibson, i profesor Ryckmans udzielali doktorowi ostatnich wskazówek, kilku lotników i mechaników podziwiała wspaniałą budowę „Orła”, przy wejściu zaś do samolotu kapitan Nowotny żegnał Maćka prostymi, polskimi słowami:

— Polubiłem cię bardzo, braciszku, i będzie mi ciebie teraz brakowało, psiakrew...

XII. ROZPRAWA W PUSZCZY

Ranek był niezwykle rześki i pogodny. „Orzeł” po dłuższym wypoczynku wystartował z radosnym warkotem. Rozwijając coraz większą szybkość ominął z prawej strony Kampalę i pod kątem 45° do równika wziął równy kurs północno-zachodni. Odległość do mety, to znaczy do puszczy Niam-Niam, w okolicy Niangara wynosiła około 700 km, czyli przy przeciętnej szybkości 250 km na godzinę za trzy godziny „Orzeł” powinien lądować.

Była godzina piąta rano. Lekki wiatr wiał w kierunku lotu. Maciek więc swobodnie prowadząc samolot, począł rozmyślać nad obecną sytuacją. Przeżycia z ostatnich kilku dni wywarły na nim silne wrażenie. Czuł się nimi zmęczony. Z przyjemnością więc myślał o powrocie do puszczy, gdzie pod czujnym okiem Bartka, doktora i sympatycznego Maja Gaja Kri, obiecywał sobie solidnie odpocząć bodaj przez jeden, dwa dni. Był bardzo ciekaw, co porabia Bartek i jaką sytuację zastanie na polanie. To go jedynie niepokoiło.

W samolocie wiózł prezenty dla Murzynów. Chciał pozostawić po sobie jak najlepsze wrażenie i wzbogaciwszy się nie byle jakimi doświadczeniami wracać do Polski.

Okolice, nad którymi przelatywali, przypominały krajobraz poznany już w drodze od gór Ruwenzori do Entebbe. Ogromne przestrzenie sawanny, pokryte bujnymi lasami, poprzerywane trawiastymi stepami, na których z góry można było oglądać stada pasących się zwierząt, przeważnie zebr i bawołów, a gdzieniegdzie żyraf i słoni. Chcąc bliżej przyjrzeć się zwierzętom Maciek opuszczał samolot, jednak szum i rozgłośny warkot olbrzymiego ptaka powodował wśród nich paniczny popłoch.

Po godzinie przelecieli nad jeziorem Alberta i wzniesli się ponad Góry Błękitne zalane rozfalowaną zielenią, potem obniżając lot w miarę opadania wzgórz, przy wznrastającej spiekocie i duszności, wpłynęli nad potężną puszcza, z rzadka tylko przeciętą lśniąca tasiemką jakiejś rzeczki czy strumyka. Na widok tej puszczy, a może i wskutek parnoty, Maciek poczuł jakiś niepokój. Mapa tych okolic była mało dokładna. Trzeba było skupić całą uwagę wypatrując łąsin i polanek. Wreszcie zaczęli mijać zaszyte w lesie wioski, leżące zwykle na krańcach puszczy. Tymczasem doktor de la Roche zwrócił uwagę Maćka na to, że mijane wsie zdawały się jakby wymarłe czy wyludnione. Tu i tam kilka kobiet z dziećmi czy gromadka starców usiłowała ukryć się w gąszczu, gdzieniegdzie wygasły opuszczone ogniska. Poza tym jednak puszcza nie zdradzała nic z tego, co się odbywało w jej tajemniczej głębi.

Dopiero, gdy już byli bardzo blisko swojej polany, w kilku miejscach zauważyli większe gromady ludzi usiłujących pośpiesznie ukryć się przed ich okiem.

Maciek, zaskoczony tym spostrzeżeniem, nawrócił i znacznie obniżył lot „Orła”, by móc się lepiej przyjrzeć tym podejrzanym ruchom.

Gdy w pewnej chwili maszyna, może wskutek zmniejszenia szybkości, a może wczuwając się w intencję lotnika, stłumiła swój warkot, z dołu, z gąszczu, doleciał ich uszu przerywany, głuchy, ale wyraźny rytm bębnow „tam-tam”.

Maciek spojrzał porozumiewawczo na doktora.

— Zdaje się, że zaskakujemy tych przyjemniaczków na gorącym uczynku!

— W każdym razie Mustagi nie tracił czasu, a my, jak się zdaje, nie lecimy za wczesnie. Może nieźle by było trochę ich nastraszyć.

— Na to mamy zawsze czas. Po co ich przedwcześnie denerwować? Niech raczej myślą, żeśmy ich nie zauważyli.

— Ale gdy nas napadną w nocy, walka może być ciężka i trudna.

— Przede wszystkim nie wiemy na pewno, czy to Mustagi i czy istotnie maszerują na naszą polanę. Poza tym, według mapy, powinniśmy być na miejscu za kilkanaście minut, a oni dotrą najwcześniej jutro przed świtem.

— Może masz rację, pułkowniku.

Maciek podniósł lot i zwiększył szybkość. Sprawa odszukania polany nie była jednak łatwa. Ponad pół godziny samolot krążył nad przepastnym zielonym oceanem, zanim wreszcie pilot natrafił na właściwą łąsinę, którą zresztą rozpoznał po zadymionych ogniskach i znakach ułożonych przez Bartka. Poza tym ludność tej osady, w przeciwieństwie do innych wsi, nie tylko nie usiłowała ukryć się w zaroślach, lecz tłumnie wyległa na polanę.

W takim tłumie lądowanie odbywało się, naturalnie, z wielką trudnością, ale na szczęście bez wypadku.

Ledwie Maciek z doktorem wysiedli z samolotu, gdy na sygnał kilku krótkich gwizdów na czoło wysunęło się około pół setki mężczyzn, którzy spychając tłum aż ku chałupom, ustawili się przed samolotem w żołnierskim dwurzędzie; przed nim w postawie przepisowej stanął kapral Paciorek.

— Oho, Bartek! Jak widzę, zdążyłeś już zorganizować armię.

— Tak jest, melduję, panie pułkowniku! Pierwsza kompania ochotników Niam-Niam oczekuje na twoje rozkazy!

— Zdaje się, że nastąpią one prędzej niż przypuszczacie.

— Tak jest, pułkowniku! Mój wywiad dziś w południe doniósł, że Huli Guli Han szykuje się do napadu.

— Nie tylko się szykuje, ale jest już w drodze.

— Ach, im prędzej, tym lepiej, bo pewnie pułkownik przywiózł z sobą rozkaz powrotu do Polski.

— Jak to? Już ci tak śpieszno z powrotem? A cóż z zakładaniem Rzeczypospolitej?

— Wiele mam o tym do powiedzenia. Ale panowie pewnie głodni... porozmawiamy chyba przy obiedzie... — odpowiedział Bartek z ciężkim westchnieniem.

Maciek rzucił okiem na niego i nic nie odpowiedział. Widoczne było, że panu kapralowi nie bardzo się powiodło. Obiad jednak trzeba było odłożyć na później, gdyż przede wszystkim należało przygotować się na przyjęcie wroga.

Do zmroku było jeszcze daleko i czas ten musiał wystarczyć na opracowanie planu działania. Zmobilizowaną armię Bartka podzielono na kilka oddziałów, które miały bez przerwy na zmianę pełnić służbę ubezpieczeniową na wysuniętych w dżunglę placówkach. Rozmieszczenie tych placówek i dojścia do nich opracował Bartek przy pomocy Maja Gaja Kri. W czasie nieobecności Maćka przygotowali oni za wsią, od strony spodziewanego najścia nieprzyjaciela, szereg wilczych dołów i ochronnych rowów zamaskowanych chrustem, gałęziami i ziemią. Na dnie tych dołów czyhały na wroga wbite na sztorc ostro zaciosane pale. Zasadzki te były dobrze zamaskowane.

Maćkowi na wiadomość o wykonaniu tak poważnego zabezpieczenia oczy zabłyśły zadowoleniem, ale na razie nie pytał Bartka o nic.

Z całej kompanii, a również i spośród starszych mieszkańców wsi wydzielono tych, którzy już kiedyś stykali się z bronią palną. Pomiedzy członków tego oddziału rozdano przywiezione ze Stanleyville karabiny, a dowództwo oddziału objął de la Roche, który od razu przystąpił do nauki strzelania.

Chatę wodza przeznaczono na główną kwaterę działań wojennych. Następnie samolot opróżniono z wszelkich zbędnych zapasów, które zostały złożone w szopie obok kwatery głównej i oddane pod specjalną straż wyrostków. „Orzeł”, przygotowany w całej pełni do lotu bojowego, został tak przetoczony, żeby mógł wystartować w każdej chwili, nawet w nocy, co dzięki reflektorom było zupełnie możliwe, chociaż brano to pod uwagę jako ostateczność.

Wszystkie te prace trwały dość długo. Zakończono je o zmierzchu, po którym wkrótce zapadła ciemna bezksiężycowa noc. Z rozkazu Maćka pogaszono wszelkie ogniska, przy których doktor do ostatniej chwili dawał wskazówki strzelcom, zupełnie nieźle zresztą orientującym się w używaniu broni palnej. Wojsko pozaciągało warty, wieś umilkła.

Dopiero teraz Maciek z Bartkiem zasiedli do kolacji i mogli trochę swobodniej poro-

zmawiać; Belg z Maja Gaja Kri udał się na obchód placówek. Maciek dość szczegółowo opowiedział panu kapralowi o swojej podróży, pokazał depeszę z Warszawy i wreszcie oznajmił, że najdalej za dwa, trzy dni lecą do Europy. Ku powtórnemu zdziwieniu Maćka Bartek nie tylko nie zaproponował przeciwko przyśpieszeniu powrotu, ale decyzję tę przyjął z wielką ulgą.

Maciek przyjrzał się bacznie Bartkowi i spytał go ponownie:

— A cóż z twoją Rzeczpospolitą? Miałeś mi o tym przy kolacji opowiedzieć. Winien mi jesteś sprawozdanie za tych kilka dni.

— Niewiele mam do opowiedzenia, pułkowniku, chyba tylko tyle, że według mnie, niech każdy robi swoje i nie wtrąca się tam, gdzie go nie proszą. — Po wypowiedzeniu tej prawdy kapral westchnął głęboko.

— Ej, powiedz mi, Bartek, coś ty tu naknocił.

— Ech, pułkowniku, wiesz ty kto wykopał i urządził te wilcze doły i rowy dokoła wsi?

— Jak to kto? Chyba ludność tej wsi. Jest tu przecież dość chłopów na schwał.

— Otóż te chłopcy na schwał to leń w lenia. Jedyne moje wojsko udało mi się jako tako w karbach utrzymać, a reszta tylko polowania i uczty miała w głowie.

— No więc kto wykopał te wilcze doły i rowy?

— Ich baby.

Maciek aż zmarszczył brwi ze zdumienia.

— Kto taki? Ich baby?

— A tak. Żony, córki, matki harowały przez tych kilka dni od rana do wieczora.

— Ależ, Bartku, jak mogłeś kobiety zapędzać do tak ciężkiej pracy?

— Ba! O to chodzi, że to nie ja ich zapędzałem, ale one same zgłaszały się dobrowolnie.

— Nie rozumiem.

— I ja też, pułkowniku, nie mogłem tego zrozumieć. Dopiero Maja Gaja Kri i Kania wytłumaczyli mi, że tu taki obyczaj, że mężczyzna jest od polowania, pasania trzody i wojaczki, a kobieta od wszelkiej innej pracy.

— I wiedząc, że to taka pilna praca, żaden z nich nawet nie ruszył się, by tym kobietom dopomóc?

— Owszem kilku pomagało, ale w charakterze nadzorców. Pokazywali jak kopać i jak maskować rów. Takie obyczaje.

— I to cię tak zniechęciło?

— Ech, nie tylko to. Są i inne przyczyny. Ale oprócz tego mam jeszcze swój osobisty powód, dla którego chciałbym stąd jak najprędzej wywieść.

— Cóż to za dramat cię gnębi, Bartek?

— Oj dramat, prawdziwy dramat. Ale o tym to ci chyba innym razem opowiem. Teraz musisz odpocząć i trochę się przespać, pułkowniku, a ja jeszcze kilka placówek obejdę.

Po tym nagłym zakończeniu Bartek zawiązał się na pięcie i po chwili zniknął w ciemnościach.

Maciek zgasił światło i ułożył się na pościeli postanawiając jak najszybciej zasnąć.

Wieś z jednej strony dotykała wprost gąszczy i odgradzona była od nich jedynie sztuczną palisadą, najeżoną ciemnymi krzakami. Te gąszcze, przylegające bezpośrednio do wioski, zwierzęta specjalnie sobie upodobały, czując, być może, bliskość kóz i drobiu. W każdym razie ryki i wycia zwierząt rozlegały się bardzo blisko i nieraz mieszkańcom mroziły krew w żyłach. Tej nocy jednak cała ta muzyka dżungli, początkowo normalna, o późnej już porze przybrała nagle jakieś wyjątkowo nerwowe i dzikie tony.

W pewnej chwili ryki, rzenie, wycie i szczekanie przeszły w niesamowity hałas, którego brzmienie gwałtownie narastało, i wreszcie runął potworną falą zwierzęcego wrzasku, przez który przebiegał dudniący grzmot kopyt i racic. Ten straszliwy huragan przez dłuższy czas

przepływał tuż koło wsi, aż minąwszy ją bokami, począł się oddalać i wsiąkać w przestrzeń.

Maciek obudzony niebywałym tumultem oprzytomniał od razu, usiadł na posłaniu i począł wsłuchiwać się w noc. W pewnej chwili zaostrzony niepokojem słuch Maćka począł chwytać jakieś słabe, dalekie dźwięki, przypominające znane mu już dudnienie. Głos ten powoli wzrastał się, narastał. Nie było żadnej wątpliwości: z dala zbliżała się muzyka bębnowa „tam-tam”.

Maciek począł się uważnie wsłuchiwać. Słyszał wprawdzie już koncert tych bębnowa w drugą noc po przylocie. Ale tamte, dudniące do uczt i tańca zdawały się wobec tych zabawką, kołysanką. W ciemnej głuszy huk bębnowa narastał dzikością i okrutną grozą. Biła z tego dudnienia potęga czaru, zabobonu, pierwotnej wiary czy religii! Maćka ogarniała trwoga.

W pewnej chwili w surowe, głuche, monotonne dudnienie bębnowa wpłynęła pieśń, bogatsza o kilka tonów, dzika, drapieżna.

Maciek słuchał jak zahipnotyzowany. Szybko jednak ocknął się.

Zaprawiony do niebezpieczeństw, przyzwyczajony do szybkiej decyzji odczuł, że już czas na działanie.

Ubrał się w ciągu kilku minut i wyskoczył przed chatę, gdzie już szary świt zwycięsko rozpraszał ciemności nocy.

Cała wieś, widocznie zaalarmowana przez Bartka, była już na polanie i uwijała się przy szykowaniu szeregów. Maciek przystanął na chwilę przed chatą i jeszcze raz wsłuchał się w muzykę. Teraz, nadpływająca z mniejszej odległości, była pozbawiona już wszelkiego czaru i uroku. Odgłosy jej skupiły się w jednej stronie dżungli i oznajmiały stamtąd, że zbliża się wróg: zły rozwścieczony, dążący do obrachunków. Gromkie dudnienie bębnowa i potężna pieśń świadczyły wyraźnie, że nieprzyjaciół jest liczny, dobrze przygotowany do walki i pewny siebie, że gardzi przeciwnikiem i uważa go z góry za pokonanego.

Wszystkie te myśli szybko przebiegły przez głowę Maćka i wywołały uśmiech na jego twarzy. Prawdopodobnie, jeśli nie wszyscy, to co najmniej spora część następujących wrogów nie wiedziała o jego powrocie. Możliwe również, że szli po prostu pod terrorem Mustagi i jego zauszników.

Znajdowali się pewnie o jakieś dwa kilometry od wsi. Pora więc była przystąpić do działania. Maciek gwizdkiem wezwał do siebie Bartka, doktora i Maja Gaja Kri.

Maciek szybko podzielił role według planu, który już wczoraj przemyślał. Do boju miało być użyte jedynie wojsko Bartka.

— Zdasz teraz egzamin panie kapralu wraz ze swoją armią. — Pięćdziesięciu dobrych żołnierzy powinno rozpedzić na cztery wiatry tysięczny, nie zorganizowany tłum. Poza tym i ja tu odegram pewną rolę.

— Rozkaz, pułkowniku!

— Reszta mieszkańców ma zająć się przygotowaniem uczt dla zwycięzców.

— Jak to, pułkowniku?!

— Nie rozumiesz? Jeśli ogłosisz to przed frontem, twoje wojsko będzie robiło wszystko, byle tylko zwyciężyć. Możesz im również podać do wiadomości, że wieczorem zostaną rozdane dary. Pamiętaj, że wróg będzie znacznie liczniejszy od nas.

— Ależ, bracie! Ty naprawdę jesteś pułkownikiem!

— Tak! I dlatego teraz mi nie przerywaj!

— Słucham!

— O kontrataku wręcz, oczywiście nie ma mowy. Podzielisz oddział na części i wyślesz je w głąb puszczy, aby w momencie, gdy usłyszą strzały, uderzyli na wroga z boków. Jedną grupę poprowadzi doktor de la Roche, drugą — Maja Gaja Kri.

— Rozkaz, pułkowniku! Plan mi się bardzo podoba! — zaaprobował doktor de la Roche.

— Ty, kapralu, zajmiesz pozycję tu, na polanie, przy karabinie maszynowym. O ile się

da, nie strzelać w ludzi, a siać im kule pod nogi. To wystarczy. Nieprzyjaciela dopuścić aż do samej polany i zacząć atak dopiero na mój sygnał.

— Rozumiem, pułkowniku!

— O wykonaniu rozkazu zameldować mi za pięć minut. Będę przy samolocie. Natychmiast po otrzymaniu meldunku wystartuję!

Przez kilka następnych minut na polanie zakłębiło się jak w mrowisku. Gdy mieszkańcy wsi dowiedzieli się, że tylko wojsko Bartkowe ma ruszyć do boju, a reszta ma zająć się normalnymi pracami i przygotowaniem uczty dla zwycięzców, nastąpił przez moment zamieszanie. Wojna, to przecież jeden z obowiązków mężczyzny, a praca w domu, to zajęcie dla kobiet, jakżeż tedy dzicy mogli się zgodzić, by tylko 50 mężczyzn ruszyło do boju, a reszta nie. Toteż armia Bartka wzrosła od razu kilkakrotnie i tylko baby, starcy i dzieci wrócili do chat.

Bartek podzielił ochotników na dwie grupy, które pod przewodnictwem doktora i Maja Gaja Kri w parę chwil później zniknęły w gęszczy. Sam zaś pan kapral, z dobraną ekipą pięciu przyuczonych strzelców, zajął pozycję przy karabinie maszynowym w opiekuńczym cieniu świętego drzewa.

Czas na ukończenie tych przygotowań był najwyższy, gdyż pieśń następującego wroga i grzmot „tam-tamów” rozległ się z odległości zaledwie ośmiuset metrów.

Maciek zapuścił motor, którego warkot potężnymi uderzeniami od razu wstrząsnął powietrzem. Po meldunku Bartka Maciek machnął ręką na znak, że akcja bojowa rozpoczęta. Po krótkiej chwili żelazny ptak wzbił się w powietrze.

Zatoczywszy łuk nad wsią Maciek skierował samolot wprost na nieprzyjaciela. Nie od razu mógł zorientować się w siłach i manewrach wroga. Starając się lecieć jak najwolniej, Maciek cisnął w gęszcz ostre smugi reflektorów i po paru chwilach zorientował się, że wróg idzie ławą około tysiąca ludzi, bez patroli, ubezpieczeń i rezerw. To bardzo upraszczało sytuację, tym bardziej że snopy jaskrawego światła strzelającego z niebios i warkot samolotu wywołały już zamieszanie w szeregach wroga. Pieśń urwała się nagle, odgłosy „tam-tamów” poczęły się rwać i wpadać jedne na drugie, tłum zaskoczony światłem zachwiał się i zakotłował, a potem jak oszalały rzucił się przed siebie i wpadł na polanę, od której dzieliło go już zaledwie kilkadziesiąt kroków. Ale w tej samej chwili spod świętego drzewa za jazgotał karabin maszynowy, kosząc trawę, krzaki i gałęzie drzew, a równocześnie z obu stron nieprzyjaciela rozległ się wrzask zaczajonych wojsk de la Roche'a i Maja Gaja Kri.

Otoczeni napastnicy, atakowani z wszystkich stron, rażeni snopami ostrego światła ciskanego z żelaznego ptaka, który krążył nad ich głowami — w bezgranicznym przerażeniu rzucili się na oślep do ucieczki. Walka była skończona.

Maciek szybko wylądował tuż przed świętym drzewem i od razu rzucił Bartkowi rozkaz zlikwidowania bitwy.

Rozległy się gwizdy i okrzyki, nawoływania wśród dżungli, jeszcze tu i ówdzie padło kilka strzałów, wreszcie na polanę jęły się sypać gromadki jeńców, otoczone przez szalejących z radości zwycięzców.

Tymczasem Maciek, postawiwszy wartę przed chatą, wszedł do środka, by w spokoju zastanowić się nad dalszym postępowaniem. Najpierw jednak przyjął raporty od Bartka i doktora de la Roche.

Zwycięstwo było zupełne. Zabitych, na szczęście, nie było, kilku zaledwie lekko rannych, głównie ze strony napastników, około trzystu jeńców, reszta rozpierzchła się w dżungli.

— A co się stało z Huli Guli Hanem?

Doktor de la Roche bezradnie rozłożył ręce.

— Nie wiadomo. Widziałem go na początku bitwy, później nagle zniknął i nikt nie wie, co się z nim stało.

— Szkoda, żeśmy go stracili z oczu, bo gotów nie dać za wygraną i w dalszym ciągu

próbować dywersji.

— Mówisz tak, pułkowniku, jakbyś liczył nie kilkanaście wiosen życia, ale kilkanaście lat służby wojskowej — odpowiedział de la Roche.

— Myślę, że tego czarnego nicponia wyprawili na tamtą stronę własni jego kamraci — rzucił Bartek.

De la Roche zaprzeczył.

— Nie zdaje mi się. Mówiłem wam przecież, że Mustagi cierpi na śpiączkę i być może wpadł obecnie w ostre, końcowe stadium tej choroby, które objawia się nie tylko atakami szału, ale również niezwykle wyostroszoną wyobraźnią i bystrością umysłu. Fakt, że potrafił w ciągu tak krótkiego czasu zebrać i poprowadzić przeciwko nam duże siły, mówi sam za siebie. Mam wątpliwości, czy ten szaleniec, jeśli go teraz nie unieszkodliwimy, nie da w najbliższym czasie znowu o sobie znać. Chyba że zasnął gdzieś w dżungli swoim ostatnim snem.

— Musimy go odszukać, może udałoby się nieszczęśliwca jeszcze wyleczyć — powiedział Maciek.

— Niestety, jest on w tym stadium choroby, gdzie medycyna jest już bezsilna.

— Powinniśmy go jednak odszukać — oznajmił Maciek — ale na razie musimy zająć się naszymi sprawami. Proszę zatem, aby wszyscy mieszkańcy przystąpili do przygotowania uczty. Jeńców trzymać pod strażą, ale obchodzić się z nimi jak najłagodniej. Niech Maja Gaja Kri i inni ze starszyny spróbują namówić ich do zawarcia zgody i przymierza za cenę odzyskania przez nich wolności i poddania ich wsi pod zwierzchnią władzę Maja Gaja Kri. Musiałby on wówczas dostać od władz kolonialnych awans na królika tych okolic, ale zdaje mi się, że to nie byłoby trudne, prawda, panie doktorze?

— O, z całą pewnością. Przecież władzom administracyjnym ogromnie na tym zależy, by pomocniczy aparat ładu i bezpieczeństwa rekrutował się spośród tubylców.

— Proszę, idźcie i próbujcie z nimi porozmawiać. Jeśli się uda, niech jeńcy wezmą udział w uczcie. Jeśli nie, pomyślimy co robić dalej.

Bartek i doktor de la Roche oddali żołnierski ukłon i wyszli.

Maciek, założywszy ręce na plecach, począł krążyć po izdebce. Miał do przemyślenia wiele, ale zaledwie zdążył kilka razy zawrócić w ciasnych ścianach swego apartamentu, gdy uwagę jego zwrócił jakiś szelest za boczną kotarą. Nie zwracając niby na to żadnej uwagi, Maciek przeszedł jeszcze raz izbę i po bardzo lekkim falowaniu kotary poznał, że za nią na pewno stoi jakiś człowiek. Mogła to być jedynie siostra Maja Gaja Kri albo...

Maciek zwrócony teraz ku oknu posłyszał nagle wyraźnie suchy szelest odgarnianej gwałtownie kotary z rafii i jakby zduszone, wściekłe sapanie przerwane krótkim stęknięciem. Nie odwracając się Maciek jednym susem odskoczył w bok, w tej samej chwili jakaś potężna postać z dzidą w ręku runęła z rozmachem w miejsce, z którego on ledwo zdążył uskoczyć.

Powietrze przeszył wściekły krzyk i napastnik odbiwszy się od ściany zawrócił niemal małym skokiem ku Maćkowi błyskając ostrzem dzidy.

Raz po raz huknęły dwa strzały i na podłogę izby opadła z łoskotem czarna bryła łypiąca straszliwymi, płonącymi szalem oczami i bryzgająca krwawą pianą z ust.

Na odgłos strzałów do izby wpadli wartownicy i na widok drgającej na ziemi postaci zamarli w przerażeniu.

— Huli Guli Han! Huli Guli Han!

Maciek schował dymiący jeszcze rewolwer i wyszedł na polanę. Przykro mu było, że zabił człowieka, a jednak... śmierć tego szaleńca, zdolnego wskutek swej strasznej choroby do nie wiadomo jakich czynów, przyniosła ulgę nie tylko Maćkowi, ale i całej osadzie.

XIII. POŻEGNANIE PRZYGODY

Po wczorajszych przeżyciach, a szczególnie po nocnej uczcie zwycięzców, Maciek czuł ból i zamęt w głowie. W uszach szumiała mu jeszcze muzyka tam-tamów, śpiewy tubylców, ich tańce i żywiołowa radość. Przed oczami chłopca przesuwały się ich twarze rozradowane zwycięstwem, pojednaniem z sąsiadami, huczną ucztą, podarunkami przywiezionymi przez Maćka...

Spał zaledwie parę godzin. Zerwał się o świcie i wyszedł na polanę. Ranek wstawał piękny i radosny. Maciek przemierzając polanę tam i z powrotem, całą pierśią chłonał rześkie powietrze.

W miarę jak śpiew ptaków stawał się coraz głośniejszy a dzień gorętszy, wspomnienia nocy poczęły ustępować miejsca myślom o dniu dzisiejszym.

Trzeba było zakończyć przygodę w Niam-Niam. Przede wszystkim musiał Maciek zapoznać się dokładnie z opracowaną przez kapitana Nowotnego trasą powrotną i ustalić termin odlotu. W Chartumie będzie go oczekiwał kochany przyjaciel z Entebbe, a w Warszawie... tatuch... szkoła... Miał ochotę zabrać się od razu do działania: obudzić Bartka, doktora, swych czarnych przyjaciół, spakować rzeczy, przygotować „Orła”.

Ale, ba! Wieś przecież do samego świtu tańczyła. Pogodzeni wrogowie obchodzili zwycięstwo pokoju oraz objęcie królowania przez Maja Gaja Kri. Teraz wszyscy śpią i nie ma mowy, by udało się ich przywołać do przytomności. Postanowił więc odczekać jeszcze kilka godzin, a tymczasem przejść się nieco po dżungli. Nagle, przedzierając się między dwoma krzakami, potknął się o jakąś kłodę, która poruszyła się ospale i zawołała ze złością głosem dobrze znanym Maćkowi:

— Co za cholera depce mi po nagniotkach, nie daje usnąć przyzwoitemu ministrowi!

Maciek zawołał uradowany:

— Halo! Bartek! Wstawaj, panie kapralu, muszę z tobą pogadać!

— Tu nie ma żadnych Bartków ani kaprali, jeno pan ekscelencja Bartłomiej Paciorek, minister spraw wojskowych i zagranicznych państwa Niam-Niam, raczy wycoczywać po uczcie, wydanej na cześć zwycięstwa jego wychowanka, Maćka, Króla Powietrza!

— A tu mówi Maciek, Król Powietrza!

Bartek, jakby tknięty elektrycznym prądem, zerwał się na nogi:

— Przepraszam, panie pułkowniku, ale ja...

— Rozumiem, panie kapralu! Trzeba było jednak posłuchać mnie i nie pić tyle tego sfermentowanego soku palmowego.

— Stało się ...upp! — Bartek czknął i bezsilnie rozłożył ręce.

— Gdybyś, pułkowniku, wiedział, jaką ja tragedię... upp... przeżywam, na pewno nie brałbyś mi mojego zapomnienia... upp... za złe.

— Mało mnie wzruszają twoje dramaty i twoja czkawka, panie kapralu. Chodzi o to, że musimy stąd jak najprędzej odlecieć.

— O, mój królu, choćby dziś!

— Widzę, że ci tu coś bardzo dokuczyło.

— Jeszcze nie za bardzo, ale lada dzień może być groźnie!

— Czyli najwyższy czas, żeby ratować cię z opresji.

— Pułkowniku! Całą tę część życia, którą już przeżyłem, z rozkoszą ci oddam, jeżeli tylko... aż mi czkawka przeszła!

— Więc, panie kapralu! Proszę w tej chwili przystąpić do przeglądu „Orła” i przygotowania go do lotu.

— Ależ, pułkowniku! Musimy godnie pożegnać naszych przyjaciół, a oni są jeszcze nieprzytomni po całonocnej uczcie.

— Więc niech sobie na razie spokojnie śpią, a my tymczasem przygotowujemy się do podróży.

Krzątanina Maćka i Bartka wokół „Orła” i w zajmowanej przez nich kwaterze wkrótce obudziła doktora i Maja Gaja Kri, którzy szybko zorientowali się w zamierzeniach przybyśców i odbyli z miejsca krótką i poufną naradę.

Ostre sygnały gwizdków przedarły powietrze, a w chwilę później polana się zaludniła. Większość uczestników wczorajszej uczt wypelzła nie z chat, lecz z dżungli.

Ludność wsi oraz wszyscy wczorajsi wrogowie, dowiedziawszy się, że król Maja Gaja Kri zarządza ucztę pożegnalną na cześć ich młodziutkiego, białego przyjaciela, Króla Powietrza, mimo zmęczenia, z zapalem rzucili się do wykonywania rozkazów.

Pięćdziesięciu co najlepszych myśliwych udało się na łowy świeżej zwierzyny i ptactwa. Kobiety przystąpiły z ochotą do gotowania ryżu i prosa, przygotowania bananów i orzechów ziemnych oraz pieczenia kukurydzy.

Okryta chwałą armia pana kaprała, do której dobrowolnie wstąpili wszyscy jeńcy, przeprowadzała paradne ćwiczenia. Kilkunastu sprytnych wyrostków jęło się zaprawiać do harmonijnego grania.

Tylko w kwaterze Maćka panowała cisza. Pochylony nad mapą z uwagą studiował trasę powrotnego lotu przez Afrykę i Europę do Warszawy. Musiał także przygotować list pożegnalny do tubylców. Pochłonięty całkowicie tą czynnością, Maciek nie spodziewał się, jak uroczyste pożegnanie gotują mu gospodarze, zresztą nie bez wydatnej pomocy Bartka.

Oto pan kaprał, pomny europejskich obyczajów, w pewnej chwili przerwał paradne ćwiczenia armii i wraz ze swymi bohaterami zaczął budować trybunę. Rąbano drzewo, piłowano pale i układano je według wskazówek Bartka w schody, na których znajdowało się wzniesienie dla Króla Powietrza.

Po paru godzinach Bartek zameldował Maćkowi, że mieszkańcy wioski zgromadzeni na placu czekają na niego. Wszelkie ceremonie były z góry ustalone przez Maja Gaja Kri, doktora de la Roche i Bartka, przy czym uwzględniono aż czterech wodzów plemion pokonanych wczoraj, a dziś wchodzących w skład unii państwa Niam-Niam.

Do południa było jeszcze parę godzin, gdy Bartek skończywszy raport wyszedł przed kwaterę Maćka i ostrym gwizdkiem dał znak swojej armii, by rozpoczęła uroczystość.

Pod okiem niedoszłego ministra spraw wojskowych państwa Niam-Niam, Leu-Pau-Pau, kaprała Paciorka, uformował się wspaniały pochód.

Na czele pochodu biegły dzieci pogwizdując na palcach w takt marsza granego przez królewską kapelę.

Tuż za orkiestrą postępowało w czwórkach 50 żołnierzy z paradnie nastawionymi oszczepami i wspaniałymi pióropuszcami na głowach.

Za tym oddziałem wojska szło najpierw czterech dostojnych wodzów sąsiednich plemion; następnie królik Maja Gaja Kri i adiutanci, którzy na wielkim kawałku kory nieśli królewskie insygnia, a więc skórzany kołpak lotniczy, barwnie przybrany, pistolet do rakiet i drążek z „żelaznego ptaka”.

Tuż za nimi szedł sam Król Powietrza, Maciek, przystrojony w pasy z nabojami i z dużą gwiazdą na piersiach. Za królem dwóch żołnierzy niosło walizkę królewską.

Teraz pod wodzą kaprała dwudziestu żołnierzy ciągnęło umajonego „Orła”. Pochód zamykało osiem czwórek wojska, tak samo jak pierwszy oddział maszerujących paradnie. Dokoła zaś pochodu tłoczyła się ludność wioski, oszołomiona istic królewskim widowiskiem.

Tak domaszerowano do trybuny.

Miejsce na wzniesieniu, na przygotowanym już olbrzymim tronie, zajął Maciek, wyniesiony na siedzenie przez obu ministrów, którzy usiedli obok niego. Przy tronie stanęła warta złożona z dwóch żołnierzy, wachlująca Króla Powietrza palmowymi liśćmi. Tuż obok Maćka usiadł Maja Gaja Kri, a trochę niżej czterech świeżo mianowanych dostojników.

Ludność zajęła miejsce na trybunach. Wojsko zaś otoczyło cały plac, ustawiając naprzeciw tronu żelaznego ptaka.

Wszystko to odbywało się wśród niesłychanej wrzawy, okrzyków, nawoływań, odgłosów orkiestry.

Gdy jednak Maciek powstał z tronu i wyciągnął rękę na znak, że chce mówić, tłum uspokoił się. Polanę zaległa głęboka cisza.

Król Powietrza począł głosem donośnym czytać po polsku swój list pożegnalny, napisany prosto i serdecznie:

Drodzy Czarni Bracia!

Spędziliśmy wśród Was wiele radosnych chwil wypełnionych wzajemną pomocą, życzliwością i przyjaźnią. Dobrze nam było z Wami i żal nam, że musimy Was opuścić. Ale oto czas nam wracać do ojczyzny.

Cieszy nas, że mogliśmy Wam pomóc uwolnić się od nieszczęsnego szaleńca Huli Guli Hana, który usiłował Was wciągnąć w swoje niegodziwe poczynania. Przyjemnie nam, że mogliśmy Wam pomóc w przywróceniu władzy prawowitemu królowi, Maja Gaja Kri. Wierzymy, że z pomocą czcigodnej starszyny i obranych dziś wodzów sąsiednich plemion będzie Wam panował sprawiedliwie i mądrze.

Dziękujemy z serca za gościnę i przyjaźń. Zachowamy o Was na zawsze najlepsze wspomnienia, o co i Was prosimy.

Żegnajcie Drodzy Bracia!

Podpisano:

Maciek, Król Powietrza

Maciek skończył i usiadł. Wprawdzie poza Bartkiem nikt nie zrozumiał tego przemówienia wygłoszonego po polsku, ale tłum, dotychczas zasłuchany w chłopięcy głos Maćka, teraz za przykładem Bartka i doktora de la Roche począł bić huczne brawa. A gdy doktor przy pomocy Maja Gaja Kri przetłumaczył tekst listu, polanę zaległa głęboka cisza.

Maciek powstał teraz po raz drugi ze swego wzniesienia i podszedł do świętego drzewa mangowego, na którego pniu widniała wycięta i wygładzona przez Bartka prostokątna ramka. W tę ramkę Maciek wetknął swój list. Równocześnie podnieśli się wodzowie sąsiednich wsi i wraz z Maja Gaja Kri podeszli do świętego drzewa. Płonące ciekawością spojrzenia zebranych skierowały się ku świętemu drzewu. I oto, w myśl nauki Bartka, królik Maja Gaja Kri, a po nim czterej wodzowie, używając węgla z wczorajszego ogniska, narysowali pod podpisem Maćka na liście pięć czarnych krzyżyków na znak zgody, pokoju i przyjaźni.

Gdy ostatni z wodzów położył krzyżyk i odszedł od świętego drzewa, zerwał się huragan oklasków. Na twarzach tubylców malowało się szczere wzruszenie.

Maćkowi na ten widok oczy zaczęły niepokojąco błyszczeć i kto wie, czy dzielny Król Powietrza nie chlipnąłby nagle zwyczajnym dziecięcym płaczem, gdyby uwagi jego nie zwróciło zniknięcie Bartka. Pan kaprał, który jeszcze przed chwilą stał na czele swojej armii, nagle jak by się pod ziemię zapadł.

Chłopcem wstrząsnął dreszcz niepokoju. Przecież zaledwie kilka godzin temu oznajmił Bartkowi, że odleca zaraz po uroczystym pożegnaniu. Niemożliwe było, żeby Bartek o tym nie pamiętał lub chciał się spod tego rozkazu wyłamać. Musiało się tedy coś stać. Albo Bartek samowolnie odszedł od samolotu, albo...

Ale samolot przecież stał naprzeciw trybuny i nikt w nim nie siedział.

Tymczasem dano już znak do rozpalania ognisk i rozpoczęcia uczyty pożegnalnej. Po chwili na polanie zalanej żarem słonecznym płonęły liczne ogniska, nad którymi rażno skwierczały tłuste połacie upolowanej zwierzyny.

Maciek podążył do chaty, by zabrać swoje rzeczy i przenieść je na samolot. Ledwie jednak wszedł do izby, zauważył, że ktoś tu musiał przed chwilą gospodarować, bo i zapasy

prowiantów, i rzeczy leżały już poukładane obok siebie, przygotowane do przeniesienia. Teraz Maciek zrozumiał, że Bartkowi naprawdę bardzo się śpieszyło do odlotu.

— Bartek! — zawołał zaglądając do sąsiedniej izdebki.

Wprawdzie i ta izdebka była pusta, ale za to uszy Maćka uderzył pisk i krzyk kilkunastu głosów, dochodzących z szopy mieszczącej się z tyłu chaty wodza i z drugiej izdebki doskonale widocznej.

Wrota szopy były przymknięte, ale wrzask i pisk zdradzały, że wewnątrz musiało się coś dziać.

Maciek wyskoczył przez okno i po chwili stanął w otwartych wrotach szopy. Ale to, co zobaczył, było tak niesamowite, że przez dłuższy czas stał oniemiały, i dopiero zrozumiałszy sytuację wybuchnął głośnym śmiechem.

Oto dzielny pan minister Leu-Pau-Pau leżał na ziemi skrępowany sznurami, z ustami zatkanymi szmatą i ostatkiem sił wił się w walce z kilkunastoma czarnymi dziewczętami, wśród których rej wodziła siostra wodza, Kaniia.

Na widok Króla Powietrza, przysiadającego ze śmiechu w otwartych wrotach, dziewczęta w jednej chwili odskoczyły pod ścianę, z czego od razu skorzystał Bartek, by wypchnąć z ust knebel.

— Ratuj, królu! — zdyszany głosem wyrzucił z siebie biedny bohater.

Gdy Maciek wreszcie opanował śmiech i podszedł do leżącej ofiary, dziewczęta jak spłoszone kuropatwy w jednej chwili wyfrunęły z szopy i z piskiem rozbiegły się na wszystkie strony.

— Bój się Boga, Bartek, co to ma znaczyć?

— Ach, pułkowniku! To jest właśnie mój dramat! I pomyśleć, że to wszystko przez jeden pocałunek.

— Przez jaki pocałunek?

— Ano, zaraz pierwszego wieczoru, w czasie uczty, zlitowałem się nad tą czarną diabliczką, Kanią, bo widząc, że ona jedna nie bierze udziału w zabawie, podszedłem do niej i pocałowałem ją. Ale to naprawdę, pułkowniku, tylko z litości i prawie tak jak siostrę.

— Ach, teraz rozumiem, dlaczegoś potem nie chciał ze mną lecieć do Stanleyville.

— No, trudno, podobała mi się ta czarna kotka, a przy tym nauczyła mnie ich języka w kilka dni. Ale żebym zaraz miał się żenić i to z nimi wszystkimi...

— Co ty, Bartek, wygadujesz?!

— Prawdę mówię, pułkowniku. Kilka z nich podpatrzyło moją... znajomość z Kanią i dalej do mnie również w zaloty. A sprytne były, małpki takie, że aż dziw mnie brał na ich podejścia i fortele.

— Musiałeś im coś obiecywać.

— Chciałem je tylko wychować na damy dworu, bo przecież mieliśmy tu zostać. Ale jakieś, pułkowniku, wyleciał do Stanleyville, Kaniia zwabiła mnie do dżungli i dalej napierać na mnie, że chce zostać moją żoną.

— A ty co na to?

— Ach, pułkowniku! Co tu dużo gadać. Po co mi to wszystko. A po dzisiejszym napadzie nie chcę pozostać tu ani pół godziny dłużej.

— A w jaki sposób porwały cię dzisiaj?

— Gdyś ty skończył mowę, ja szybko poszedłem do chaty, aby przenieść na „Orla” nasze provianty i rzeczy. Już byłem w połowie roboty, gdy nagle we wrotach szopy stanęła Kaniia i zapłakana poczęła wyciągać do mnie ręce. Wiadomo, mam miękkie serce, więc wziąłem sznur koralików i poszedłem do niej, aby ją pocieszyć, boć zawsze to moja nauczycielka. Tymczasem, ledwie wszedłem do szopy, wrota nagle się zatrzasnęły i ze wszystkich stron rzuciła się na mnie gromada jej sojuszniczek. Myślały, że jak mnie zwiążą i ukryją, to ty odleć bez mnie, a wtedy... Och, Maćku, mróz mnie przelatuje na samą myśl o tym! Piętnaście

czarnych żon!

— Więc zmykaj, bracie, teraz do samolotu i zapuszczaj motor, bagaż ja przeniosę z doktorem de la Roche. Tylko nie daj się już skusić żadnym uśmiechom ani łzom.

A w tym czasie pod świętym drzewem, mimo słonecznego skwaru, ucztą już się rozpoczęła i dopiero ostre wybuchy zapuszczonego motoru przypomniały mieszkańcom wioski rzecz najważniejszą: odlot Króla Powietrza. Tłum zrazu oniemiał, a po chwili całą falą rzucił się w stronę żelaznego ptaka. Zrobił się taki tłok i wrzask, że dopiero energicznemu królikowi Maja Gaja Kri i jego wojsku udało się po dłuższej szarpaninie zaprowadzić jaki taki ład.

Bartek siedział już w samolocie, a doktor de la Roche i Maciek stali przed aparatem żegnając się serdecznie. W obecnej sytuacji doktor de la Roche z wielką radością pozostawał w Niam-Niam i obiecywał sobie, w oparciu o królika Maja Gaja Kri, wiele dobrego dokonać.

Na wezwanie Maćka, Maja Gaja Kri i wodzowie sąsiadów królika wyszli przed tłum. Maciek począł po kolei obejmować ich za szyje i całować w policzki. Potem zwrócił się do tłumu stłoczonego wokół, zacisnął dłonie przed sobą na znak pożegnania i pozwolił serdecznym łzom spłynąć po policzkach.

Wtem przez tłum, pod samą pierś samolotu przedarła się gromadka młodych dziewcząt z Kaniią na czele i z rękami wyciągniętymi do siedzącego wewnątrz samolotu Bartka poczęły wołać jedna przez drugą po polsku:

— Bartek! Bartek! Ja kocham ciebie!

To przywołało Maćka do przytomności. Jednym skokiem znalazł się przy kierownicy „Orła”. Tłum rozstąpił się.

Potężne wydmuchy płuc żelaznego ptaka i jego powolne, majestatyczne ruszanie z miejsca uciszyło zebranych. Mieszkańcy wioski z rozczeniem spoglądali na odlot swego małego, a przecież wielkiego Króla Powietrza.

Oderwał się „Orzeł” od ziemi i jął zataczać nad polaną coraz wyższe kręgi, aż wreszcie zamigotał niesłychanie wysoko w słońcu maleńkim punkcikiem i wreszcie zniknął w błękitie.

Tłum nie zdołał jeszcze odetchnąć i milczał zapatrzony w niebo, gdy stamtąd właśnie, wprost z nieba, na sam środek polany spadła, otoczona paciorkami, skórzana czapka Króla Powietrza

„Orzeł” radośnie warcząc pruł rzeźkie na tej wysokości powietrze. Maciek pochylił się nad mapą i przyrządami, by ustalić kierunek lotu zgodnie z wyznaczoną trasą. Wtem jednostajny dotąd warkot motoru począł się nagle rwać. Maćka ogarnął silny niepokój. Czyżby jakiś nieprzewidziany defekt? Warkot przeszedł w urywany, gromki stukot, w który wdarł się równocześnie czyjś zdenerwowany głos: „Maciek! Maciek!” Chłopak odwrócił głowę, by spojrzeć na Bartka, chociaż zdawało mu się, że głos nie stamtąd dochodzi i w tym momencie stracił panowanie nad sterami. Samolot runął w dół...

* * *

Gdy po sekundzie Maciek ocknął się z bezgranicznego przerażenia i przetarł oczy, stwierdził że oto jest w swoim mieszkaniu w Warszawie, siedzi w wygodnym fotelu u nóg łóżka, które... było puste. Nie mógł zrozumieć, co się stało. Do przytomności przywołało go energiczne stukanie w drzwi i głos stróżki:

— Maciek! Maciek!

Zerwał się na nogi.

— Już wstaję! — zawołał w stronę drzwi.

Ogarnął go dziwny żal. Jeszcze nie chciał wierzyć w to, co zdawało się oczywiste. Spojrzał na zegarek: wskazywał godzinę 7.00, rzucił okiem na kalendarz: 9 czerwca. Na stole, w tym miejscu, gdzie położył list do ojca, wybierając się jakoby w jego zastępstwie w podróż samolotem, leżała istotnie biała, zapisana kartka. Sięgnął po nią drżącą ręką i przeczytał:

Kochany Synu!
Lecę zgodnie z rozkazem. Wbrew naszym wczorajszym obawom, czuję się dziś zupełnie
zdrów. Wróć za tydzień. Sprawuj się dobrze i ucz się pilnie.

Całuje Cię gorąco
Twój ojciec

SPIS ROZDZIAŁÓW

I.	Pierwszy lot „Orłem”	02
II.	Na powietrznych bezdrożach	07
III.	W gościnie u sąsiadów	11
IV.	Burza	19
V.	W krainie Niam-Niam	26
VI.	Król powietrza	31
VII.	Bartek zakłada republikę	43
VIII.	W Stanleyville	48
IX.	Przygoda na szosie	57
X.	Śnieg na równiku	64
XI.	Co może jedno „psiakrew”	68
XII.	Rozprawa w puszczy	77
XIII.	Pożegnanie przygody	83